cena 12 PLN (w tym 8% VAT) www.panstwo.net indeks 211060 #206 10/2023

Tomasz Łysiak
ELSTERA – RZEKA POMIĘDZY KRAINĄ ZDRADY A KRAINĄ WIERNOŚCI

Piotr Lisiewicz
WYRZUCIĆ Z WIMBLEDONU FASZYSTĘ OD ANDERSA!

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
NOWE PAŃSTWO

TREPY Z PRL CHCĄ ZNOWU RZĄDZIĆ POLSKĄ ARMIĄ

W wielu krajach mówi się o istnieniu lobby wojskowego, które zabiega o więcej środków na armię, żołnierzy czy zakupy uzbrojenia. W III RP powstał twór nieznany dotąd światu: lobby generałów-pacyfistów, krytykujących nadmierne ich zdaniem wydatki na armię.



FOT. ADOBE STOCK (2), WIKTOR DĄBKOWSKI/PAP, TOMASZ GZELL/PAP, LECH MUSZYŃSKI/PAP, LESZEK SZYMAŃSKI/PAP, RAFAŁ GUZ/PAP

ILUSTRACJA MARIUSZ TROLIŃSKI STUDIO

ISSN 1895-4960

eprasa.pl 506c78f0aa

TEMAT NUMERU ▼ 4–17



Trepy z PRL chcą znowu rządzić polską armią / 4

IDEE ▼ 18–36



Elstera – rzeka pomiędzy krainą Zdrady a krainą Wierności / 18

HISTORIA ▼ 38–65



Wyrzucić z Wimbledonu faszystę od Andersa! / 38

SPOŁECZEŃSTWO ▼ 70–83



Być wiernym pomimo wszystko... / 70

ŚWIAT ▼ 84–97



Chińskie szpiegowanie na sterydach / 84

Spis treści

TEMAT NUMERU

Piotr Lisiewicz
Trepy z PRL chcą znowu rządzić polską armią /4

Piotr Grochmalski
Tuska V rozbiór Polski /10

Ryszard Czarnecki
Patologia /17

IDEE

Tomasz Łysiak
Elstera – rzeka pomiędzy krainą Zdrady a krainą Wierności /18

Ewa Polak-Pałkiewicz
Powrót do domu ze świata po drugiej stronie lustra /22

Z prof. Andrzejem Zybertowiczem rozmawia Grzegorz Wszołek
Sztuczna inteligencja zdetronizuje człowieka? „Nie pytajmy czy, tylko kiedy i w jakiej kolejności” /30

Jakub Augustyn Maciejewski
Granice reliktowe w mentalności Polaków /34

HISTORIA

Piotr Lisiewicz
Wyrzucić z Wimbledonu faszystę od Andersa! /38

Dariusz Jarosiński
Narocz. Tutaj się wszystko zaczęło /44

Agnieszka Kowalczyk
Jak pokonać system zagłady. O ucieczce z KL Auschwitz /50

Tomasz Gromadka
Andrzej Kurbski – pierwszy rosyjski dysydent /56

Józef Piłsudski
W dziesiątą rocznicę powstania Legionów /62

SPOŁECZEŃSTWO

Stefan Czerniecki
Być wiernym pomimo wszystko. Migawka w brazylijskiej faweli pod Mongaguá /70

Krzysztof Karnkowski
Uwagi do „Raportu” /78

Małgorzata Matuszak
Masturdating – dbanie o siebie czy narcyzm? /81

ŚWIAT

Hanna Shen
Chińskie szpiegowanie na sterydach /84

Antoni Rybczyński
Najemnicy, firmy, trolle. Dzielą spadek po Prigożynie /88

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji /92

oprac. Antoni Rybczyński
Zielony, niebieski, karmazynowy. Trzy ukraińskie „kliny” niepokoją Kreml /94

Stałe rubryki



Katarzyna Gójska
Zabójcza konsekwencja
NA POCZĄTEK 3



Małgorzata Matuszak
Czym jest... bliskość
KATECHIZM INTELIGENTA 29



Ryszard Czarnecki
Zimbabwe i skrawek Polski
CZARNECKO TO WIDZĘ 33



Marek Kalinowski
Coś więcej niż koncert
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 37



Krzysztof Wołodźko
Polska i Kościół oczami Cenckiewicza
DZIENNIK LEKTUR 66



Marcin Wolski
Linia Wisły
PAPKULTURA 98



Tomasz Sakiewicz
Niemiecki problem – suwerenna Polska
OSTATNIE SŁOWO 99

miesięcznik
WYDAWCA
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.
REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
NOWE PAŃSTWO

ZESPÓŁ
Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Bogusław Dopart, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Marek Kalinowski, Krzysztof Karnkowski, Agnieszka Kowalczyk, Piotr Lisiewicz, Ewa Polak-Pałkiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Bohdan Urbankowski, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski, Krzysztof Wołodźko

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński

DTP
Aleksander Razcwarkow

KOREKTA
Maria Fijołek, Irena Biśta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
www.prenumerata.swsmedia.pl
prenumerata@swsmedia.pl
tel. 605 900 002
NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW

NIEZALEŻNE WYDAWNICTWO SP. Z O.O.
BANK PEKAO SA
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelew z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW)

DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960

eprasa.pl 306c78f0aa



Katarzyna Gójska

Zabójcza konsekwencja

Donald Tusk prowadził do bólu konsekwentną politykę rozbrajania RP, likwidowania wszelkich jednostek wojskowych mogących stanąć na drodze ewentualnego ataku Moskwy na nasz kraj. W gruncie rzeczy oczyszczał teren, by realizacja wrogiej operacji wobec Polski była jak najmniej skomplikowana.

Gdy spojrzymy na działania środowiska politycznego Donalda Tuska wobec wschodnich terenów Rzeczypospolitej, dostrzeżemy konsekwentne pomijanie tych ziem. Omijały je inwestycje, plany rozwoju infrastruktury – a na tzw. taśmach prawdy czołowi działacze PO używali wobec nich języka pogardy. Po ujawnieniu planów obrony Polski z 2011 roku widać jak na dłoni, że to nie tylko jakieś odczucie obcości ówczesnego premiera do wschodu Polski, wynikające zapewne z jego ponadstandardowego przywiązania do wpływów niemieckich na Polskę – nawet takich będących wprost zaborem czy okupacją – lecz także uznanie, że są one niejako terenem nie do końca polskim, należącym się komu innemu, było prawdziwym źródłem tej polityki. W Polskę wschodnią nie inwestowano, nie rozwijano jej, bo przyjęto założenie, iż to nie do końca Polska. W planach obrony ta część kraju miała trafić pod zarząd Kremla. Rząd Donalda Tuska nawet nie silił się na próbę obrony tych ziem. Politycy, wybrani przez nich dowódcy wojskowi mieli pełną świadomość, że stan naszej armii nie daje realnych szans na obronę całego terytorium, ale też bardzo świadomie odrzucali szansę na znaczącą poprawę naszych możliwości. Tusk oszukiwał opinię publiczną w sprawie tarczy antyrakietowej – opowiadał bajki o wzmacnianiu sojuszu z naszym głównym i zupełnie kluczowym sojusznikiem, a faktycznie realizował oczekiwania Kremla. Prowadził do bólu konsekwentną politykę rozbrajania RP, likwidowania wszelkich jednostek wojskowych mogących stanąć na drodze ewentualnego ataku Moskwy na nasz kraj. W gruncie rzeczy oczyszczał teren, by realizacja wrogiej operacji wobec Polski była jak najmniej skomplikowana. To dlatego politycy głównej partii opozycyjnej odpowiadają wściekłością na każdą próbę rozmowy na temat strategii obrony z czasów ich lidera. Bo nie mają pomysłu, jak jej bronić. Trudno im się zresztą dziwić. Rząd Platformy co najmniej zakładał, że wschodnia część kraju może wypaść poza nasze granice, i dlatego uznano, że nie ma co kierować tam funduszy. Pomijanie gospodarcze ziem na wschód od Wisły było po prostu konsekwencją przyjęcia założenia, że gdyby Rosja napadła na naszą ojczyznę, to rozpoczęłaby skuteczną okupację wschodnich województw. A jeśli tak miałoby być, to nie ma co pakować w nie poważnych środków. Tyle tylko, że nikt nie zmuszał Tuska i jego przybocznych do forsowania z żelazną konsekwencją tej polityki. Nie było też okoliczności, które determinowały zgodę na pozostawienie na pastwę Moskwy wschodu Polski. Tusk mógł współdziałać z Prezydentem Lechem Kaczyńskim i blokować imperializm Rosji. Mógł wykorzystać szansę, jaką była realna gotowość Amerykanów na budowę w Polsce elementu najważniejszego systemu obronnego USA, co skutkowałoby obecnością wojskową Waszyngtonu na terenie naszego kraju. Tusk miał wybór. Mógł działać na rzecz interesu Polski, walczyć o niego tak jak śp. Prezydent Kaczyński, ale mógł też realizować interesy sojuszu Berlina i Moskwy. Dokonał wyboru – sam obsadził się w roli nadaktywnego realizatora drugiej z opcji. Tyle tylko, iż ta jego decyzja dla milionów Polaków oznaczała realne ryzyko śmierci, porywania dzieci, utraty majątku, wywózki czy tortur. W najlepszym wypadku w wyniku sfingowanego referendum staliby się obywatelami Federacji Rosyjskiej i zostaliby wcieleni do jej armii atakującej zachodnie części naszego kraju. Donald Tusk jako premier Polski wykreował sytuację, która dla naszej ojczyzny mogłaby się skończyć piekłem. Takim samym, jakie widzieliśmy i widzimy na Ukrainie. Zdjęcia matek piszących swym kilkuletnim dzieciom dane rodziców na plecach mogłyby być zrobione nie w Mariupolu, a pod Hajnówką czy Ostrowią Mazowiecką. Mieliśmy wielkie szczęście, że splot wydarzeń na świecie okazał się dla nas korzystny i rosyjska agresja obrała inny cel. Gdyby Ukraina nie wypadła z rosyjskiej strefy wpływów, nasze bezpieczeństwo byłoby wystawione na wielką próbę. ■

eprasa.pl 506c78f0aa

Piotr Lisiewicz



Trepy z PRL chcą znowu rządzić polską armią

„Minister nie odrobił lekcji z podstaw ekonomii i za to wszystko, co dziś tak ochoczo kupuje, będą płacić nie nasze dzieci, ale nasze wnuki" – straszył niedawno gen. Mieczysław Gocuł. Zdaniem gen. Mirosława Różańskiego jeśli opozycja wygra wybory, to czas na „krok, który będzie wymagał pewnej odwagi", czyli zerwanie niektórych umów międzynarodowych na zakup uzbrojenia. Powrót do władzy nad wojskiem czerwonych generałów to jedno z największych zagrożeń dla bezpieczeństwa Polski. W wielu krajach mówi się o istnieniu lobby wojskowego, które zabiega o więcej środków na armię, żołnierzy czy zakupy uzbrojenia. W III RP powstał twór nieznany dotąd światu: lobby generałów-pacyfistów, krytykujących nadmierne ich zdaniem wydatki na armię.

eprasa.pl 506c73f0aa



ILUSTRACJA MARIUSZ TROLIŃSKI STUDIO
FOT. ADOBE STOCK (2), WIKTOR DĄBROWSKI/PAP, TOMASZ GZELL/PAP, LECH MUSZYŃSKI/PAP, LESZEK SZYMAŃSKI/PAP, RAFAŁ GUZ/PAP

Zbigniew Herbert w swoim głośnym tekście z 1994 roku opublikowanym w „Tygodniku Solidarność" napisał, że „wojna nie jest rzeczą najgorszą, najgorsza jest niewola i życie we władzy ciemniaków". I w tym kontekście wymienił dwie kategorie polskich generałów: „Proponuję, aby zastanowić się nad dwoma szeregami nazwisk wyższych polskich i nie całkiem polskich dowódców. Konstanty Rokossowski, Michał Żymierski, Wojciech Jaruzelski, Mieczysław Moczar, Piotr Kołodziejczyk (O Jezu, a cóż to za wojacy), a z drugiej strony generałowie, cieszący się najwyższym szacunkiem rozumnej i wolnej części społeczeństwa – Franciszek Kleeberg, Tadeusz Kutrzeba, Władysław Anders, Stanisław Sosabowski, Stanisław Maczek, Emil Fieldorf. Zdaje się, że obraziłem paru żyjących generałów. Stało się to nieprzypadkowo, najwyraźniej zrobiłem to z rozmysłem".

Ten podział pozostał aktualny do dziś, co na nowo uświadomił nam serial „Reset", w którym ujawniony został dokument, który wstrząsnął opinią publiczną w Polsce. Nazywał się „Koncepcja operacji dla planu użycia Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej. Samodzielna Operacja Obronna". Został on podpisany 30 maja 2011 roku przez gen. Mieczysława Cieniucha, ówczesnego szefa Sztabu Generalnego, i zakładał, że w sytuacji agresji rosyjskiej polskie siły zbrojne bronić się będą „na rubieży rzek Wisły i Wieprza".

W „Gazecie Polskiej" postawiłem wówczas tezę, że nie jest możliwe, by armię do walki z Moskwą zbudowali ludzie wychowani w jej kulcie. A są głównymi ekspertami opozycyjnych mediów w sprawach militarnych. Generał Mirosław Różański – dowódca kompanii w manewrach „Przyjaźń" z Armią Czerwoną, gen. Bogusław Pacek – bezpieczniak z WSW, gen. Mieczysław Bieniek – delegat na IX Zjazd PZPR, gen. Mieczysław Cieniuch – wykształcony na dwóch moskiewskich uczelniach, gen. Mieczysław Gocuł – w PRL wychowanek dywizji, której pierwszym dowódcą był Jaruzelski, czy gen. Waldemar Skrzypczak – który 13 grudnia stał w czołgu pod Stocznią Gdańską.

Dla wielu z tych ludzi wybory 15 października to „bój ich ostatni". Trepy z komuny, wysłane w międzyczasie na liczne kursy w państwach zachodnich, marzą o rządzeniu w roku 2023 armią NATO lub wpływie na nią, a to obiecuje im opozycja.

▶ Po dwóch moskiewskich uczelniach ustawił obronę na Wiśle

Generał Cieniuch, który podpisał się pod wspomnianym dokumentem, w LWP służył od 1970 roku. Kształcił się na aż dwóch moskiewskich uczelniach. Najpierw w Związku Sowieckim, w latach 1979–1982 w Wojskowej Akademia Wojsk Pancernych im. Marszałka Związku Sowieckiego R.J. Malinowskiego w Moskwie. Potem w latach 1990–1992 w Związku Sowieckim i po jego upadku w Rosji – w Wojskowej Akademii Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych ZSRR im. Woroszyłowa w Moskwie. W LWP awansował aż do funkcji szefa sztabu – zastępcy dowódcy 20. Warszawskiej Dywizji Pancernej im. marszałka Konstantego Rokossowskiego, tego z listy Zbigniewa Herberta.

„Koncepcja operacji dla planu użycia Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej. Samodzielna Operacja Obronna" zakładała, że w sytuacji agresji rosyjskiej polskie siły zbrojne bronić się będą „na rubieży rzek Wisły i Wieprza".

Dokument podpisany w 2011 roku przez Cieniucha zatwierdził Bogdan Klich, minister obrony w rządzie Donalda Tuska. „Wygląda to tak, jakby zgadzano się na likwidację państwa polskiego w jego dzisiejszych granicach" – mówił o nim Jarosław Kaczyński, zaś minister Mariusz Błaszczak podkreślał, jakie byłyby skutki oddania niemal połowy kraju Rosjanom: „Białystok, Biała Podlaska czy Rzeszów mogłyby podzielić los Buczy, Irpienia czy Hostomela".

Odpowiedzialność za rozbrojenie polskiej armii spada w pierwszej kolejności na Donalda Tuska i jego rząd, czyli polityków PO i PSL. Ale z tymi politykami współpracowali wojskowi, którzy realizowali i często otwarcie popierali tamte rozwiązania. To ludzie o bliźniaczo podobnych życiorysach – w komunistycznym LWP, a potem na średnim dowódczym szczeblu w latach 90., w gnijącej armii pokazanej w filmach „Kroll" czy „Samowolka". A dziś przeważnie w stanie spoczynku, bo ich czynna kariera wojskowa po kompromitacji z czasów polsko-rosyjskiego pojednania wydawała się być skończona.

Ale po napaści Rosji na Ukrainę pojawili się oni w mediach w roli ekspertów od… walki z Rosją. Naj-

eprasa.pl 506c78f0aa

bezczelniej w świecie zaczęli się pojawiać w nich nie jako surowo przepytywani winowajcy szkodliwych decyzji, narażających bezpieczeństwo Polski, lecz jako… fachowcy od sytuacji na polu walki, a nawet recenzenci działań polskiego rządu. Z czasem zaś trafili także na konferencje organizowane przez opozycyjne partie polityczne.

„Chore zbrojenia"

Nie ma wątpliwości, że gdyby opozycja doszła w Polsce do władzy, to do jej pierwszych decyzji należałoby zatrzymanie odbudowy polskiej armii, która rozpoczęła się za rządów PiS. We wrześniu 2022 roku odbyła się konferencja pod patronatem Bronisława Komorowskiego i Aleksandra Kwaśniewskiego, w czasie której mówiono o tym wprost. A wypowiedzi przedstawicieli poszczególnych opozycyjnych ugrupowań były praktycznie jednobrzmiące. „Te himarsy, które moim zdaniem doprowadzą do nieszczęścia. No co to znaczy, że chcemy kupić 500?!" – złościł się Janusz Zemke, główny specjalista Lewicy od obronności. Zdaniem owego byłego sekretarza KW PZPR w Bydgoszczy oraz inspektora w Instytucie Podstawowych Problemów Marksizmu-Leninizmu przy KC PZPR owe zbrojenia są… chore: „Ja powiem wprost, ja nie mogę zrozumieć – także wojskowi, których się o to pytam – po co nam tyle haubic, artylerii rakietowej? Jeżeli jeszcze nie tak dawno mówiliśmy, że maksimum, którego potrzebuje polskie wojsko, to było 120 krabów, prawda? To miało być pięć dywizjonów po 24, że tak powiem, sztuki. A dzisiaj to jest tysiąc, to jest chore!".

Zdaniem Mirosława Różańskiego, wtedy eksperta Polski 2050, a obecnie jej kandydata na senatora, gdy opozycja przejmie władzę, musi podjąć „krok, który będzie wymagał pewnej odwagi", czyli zerwać niektóre umowy międzynarodowe na zakup uzbrojenia. Ich zrywanie zasugerował także Tomasz Siemoniak z PO, ubolewając, że to może się nie wszystkim spodobać: „Pierwszy skreślony program, no to się zostaje agentem". Opozycja zamierza zabrać się też za Ustawę o obronie ojczyzny, którą wcześniej poparła.

Największą obawą opozycji okazała się ta, o której wspomniał Siemoniak, że gdy zerwie owe umowy i zrezygnuje z zakupów, „opinia publiczna" uzna ją za rosyjską agenturę. Marek Biernacki z PSL wyrażał to wprost: „My staniemy wtedy przed dylematem, że opinia publiczna powie tak: no i co, rządzicie i rezygnujecie z zakupów broni. PiS miał rację, że jesteście zdrajcami i sługusami Rosji. Macie »Z« wypisane na czole". Dlatego zalecał: „To musimy zacząć dzisiaj i o tym głośno mówić. I nie bać się też krytyki. My musimy krytykować rzeczywistość".

Generałowie-pacyfiści

Powrót do władzy nad wojskiem czerwonych generałów, realizujących plany cytowanych polityków, to jedno z największych zagrożeń dla bezpieczeństwa Polski. W wielu krajach mówi się o istnieniu lobby wojskowego, które zabiega o więcej środków na armię, żołnierzy czy zakupy uzbrojenia. W III RP powstał twór nieznany dotąd światu: lobby generałów-pacyfistów, krytykujących niemal każde zakupy dla armii oraz w ogóle nadmierne ich zdaniem wydatki na nią.

> Nie ma wątpliwości, że gdyby opozycja doszła w Polsce do władzy, to do jej pierwszych decyzji należałoby zatrzymanie odbudowy polskiej armii, która rozpoczęła się za rządów PiS.

Wystarczy posłuchać ich wypowiedzi na temat zakupów uzbrojenia, realizowanych przez rząd PiS. Najbardziej szokuje fakt, że ludzie, którzy w 2011 roku nie widzieli innej możliwości obrony Polski, niż na Wiśle, bo polska armia była słaba, a przewaga – choćby artyleryjska – wroga była ogromna, dziś oprotestowują zmiany i zakupy, w wyniku których Polska ma być silniejsza i wreszcie zdolna do obrony polskiej granicy wschodniej.

Generał Mieczysław Gocuł, w latach 2010–2013 I zastępca szefa Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, a w latach 2013–2017 szef Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, a więc człowiek, którego wina za ówczesny stan wojska jest ogromna, zaatakował niedawno plany rządu dotyczące zwiększenia liczebności polskiej armii. W wywiadzie dla portalu o2.pl stwierdził: „Tylko szaleniec może powiedzieć, że armia w czasie pokoju ma liczyć 300 tys. żołnierzy. Utrzymywanie w ramach pokoju 300 tys. żołnierzy?

eprasa.pl 506c78f0aa

Życzyłbym sobie, aby na czas wojny było ich w takim razie 600 tys.".

Wypada postawić pytanie, czy obecny czas, gdy za naszą wschodnią granicą trwa okrutna wojna, faktycznie można nazwać „czasem pokoju"?. Przy okazji Gocuł postraszył tym, że przez takie zakupy możemy wpaść w gospodarcze tarapaty: „Minister nie odrobił lekcji z podstaw ekonomii i za to wszystko, co dziś tak ochoczo kupuje, będą płacić nie nasze dzieci, ale nasze wnuki". Wypowiedź Gocuła polecił Tomasz Siemoniak, odpowiadający za sprawy obronności w PO, który napisał na Twitterze: „Generał Mieczysław Gocuł (szef Sztabu Generalnego Wojska Polskiego w latach 2013–2017) bezlitośnie o psuciu polskiej armii pod rządami PiS… Warto przeczytać!".

Różański, wróg Wojsk Obrony Terytorialnej

Do tych, którzy otwarcie wrócić chcą do decydowania o polskiej obronności poprzez politykę, należy wspomniany gen. Mirosław Różański, główny ekspert od spraw wojskowych Polski 2050 Szymona Hołowni, oczywistego koalicjanta partii Tuska. W wyborach 15 października kandyduje na senatora z poparciem całej opozycji.

Generał Różański to wojskowy z dużym stażem. W 1982 roku, gdy czołgi jeździły po ulicach, wstąpił do PZPR. W 1989 roku był dowódcą kompanii w czasie manewrów z bratnią Armią Czerwoną „Przyjaźń 1989".

Różański również ponosi kluczową odpowiedzialność za stan armii w czasach resetu, bo w latach 2012–2013 kierował Departamentem Strategii i Planowania Obronnego MON. Pełnił też funkcję pełnomocnika MON ds. reformy systemu zarządzania, kierowania i dowodzenia Siłami Zbrojnymi. To kierowany przez niego Departament wydał zatwierdzoną przez rząd Strategię Rozwoju Systemu Bezpieczeństwa Narodowego. 9 czerwca 2015 roku prezydent Bronisław Komorowski mianował go na stanowisko Dowódcy Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

Po odejściu z wojska za rządów PiS Różański atakował utworzenie Wojsk Obrony Terytorialnej, potem chwalonych za działania w czasie pandemii czy podczas obrony polskiej granicy. Na nich wzorowali się terytorialsi ukraińscy. „WOT to nic więcej niż propagandowy chwyt ministra Macierewicza. Bardziej fikcyjny twór niż realna siła bojowa […]. Proszę mi wierzyć, że w razie wojny nie będzie z nich wielkiego pożytku" – twierdził Różański w tygodniku „Polityka" 27 listopada 2018 roku.

Natomiast 16 kwietnia 2019 roku w „Dzienniku Gazeta Prawna" Różański krytykował nadmierne przemieszczanie polskiego wojska… na wschód: „Sytuacja, w której chcemy rozmieścić cały potencjał przy granicy wschodniej, jest niebezpieczna, bo weszlibyśmy w strefę oddziaływania środków nie tylko takich jak Iskander, ale również artylerii rakietowej Federacji Rosyjskiej".

We wrześniu 2022 roku w czasie wspomnianej konferencji zorganizowanej przez Bronisława Komorowskiego i Aleksandra Kwaśniewskiego, mówił on, że gdy opozycja przejmie władzę, musi zerwać niektóre umowy międzynarodowe na zakup uzbrojenia.

4 kwietnia 2023 na spotkaniu przedwyborczym Różański wypowiedział słowa, które odbiły się szerokim echem: „Każdy, kto chce przygotować Polskę do obrony, tutaj na terytorium, czy to będzie Podlasie, Podkarpacie, Wielkopolska, czy nie daj Boże nawet tutaj – Zachód, to znaczy, że chce naszemu krajowi, naszej ojczyźnie zafundować Buczę, Irpień, Mariupol. Dzisiaj powinniśmy myśleć o tym, żeby odsuwać zagrożenie, a nie zastanawiać się, jak będziemy bronić, że tak powiem, kolejnych rubieży".

Krytykował także zakup amerykańskich czołgów, proponując w zamian niemieckie: „To leopardy są czołgami, które dla większości krajów NATO-wskich są czołgami podstawowymi. Decyzja z kupnem amerykańskich abramsów, według mnie miała charakter tylko zadowolenia pana prezesa. Dla nich wszystko co niemieckie jest złe, bo teraz wszystko, co robimy, musimy mieć amerykańskie". Równie krytycznie nastawiony był do zakupów w Korei Południowej: „Będziemy krajem, który ma zadatki do tego, żeby na defiladzie wyglądało to naprawdę elegancko. Będzie duży, mały i średni. Nie widzę najmniejszego uzasadnienia dla tych decyzji, które zostały podjęte, jeśli chodzi o zakupy czołgów".

Pacek zabiega o wykłady Makarowa

Bohaterem niedawnego odcinka „Resetu" stał się Bogusław Pacek, który w 2013 roku zapraszał na debatę w Akademii Obrony Narodowej rosyjskiego ambasadora, a później zabiegał o wykłady rosyjskiego generała Makarowa. „Tematem, który porusza dziś relacje polsko-rosyjskie, jest sprawa katastrofy smoleńskiej. Proszę o niezadawanie pytań dotyczących Smoleńska" – mówił w czasie debaty Pacek. „Będę bardzo wdzięczny, jeśli uszanują państwo moją prośbę. Z szacunku dla tej tragedii i z szacunku także dla gościa spotkania" – mówił generał w odniesieniu do ambasadora FR Aleksandra Aleksiejewa.

Pacek to funkcjonariusz wojskowej bezpieki z czasów PRL – w latach 1978–1979 odbył przeszkolenie w Centrum Szkolenia Wojskowej Służby Wewnętrznej w Mińsku Mazowieckim. W 1979 roku wstąpił do zawodowej służby wojskowej i przydzielony został do Oddziału WSW w Gdańsku. Służbę pełnił m.in. na sta-

eprasa.pl 506c78f0aa

nowisku oficera dochodzeniowo-śledczego. W 1985 roku przeniesiony został do Wydziału WSW 7. Łużyckiej Dywizji Desantowej w Gdańsku i wyznaczony na stanowisko oficera. W 1988 roku objął stanowisko zastępcy szefa Wydziału WSW 7 BOW.

W jakiej roli zaczął pojawiać się w mediach po wybuchu wojny na Ukrainie człowiek o tak kompromitującym życiorysie? Rzecz jasna w roli eksperta od walki z… Moskwą, której w czasach komunizmu służył, a w czasach resetu się z nią bratał.

Zakup himarsów, mających ogromne znaczenie w czasie wojny na Ukrainie, krytykował następująco: „Druga strona jest fatalna. To jest coś, co nazywam wbiciem noża w plecy polskiemu przemysłowi zbrojeniowemu. Dzisiejszy dzień jest dniem radości dla wojska, ale rozpaczy dla przemysłu zbrojeniowego". „Te zakupy trzeba będzie spłacać, a jaką mamy pewność, że sytuacja gospodarcza będzie dobra? Co, jeżeli będzie kryzys, a dochody państwa spadną? Będziemy decydować, czy wydajemy pieniądze na szkoły i szpitale, czy na zbrojenia?" – pytał też.

▶ Delegat na zjazd PZPR: „Żołnierze nie mogą być wciągani w sympatie czy antypatie polityczne"

Generał Mieczysław Bieniek w LWP służył od 1969 roku. W 1981 roku ukończył Akademię Sztabu Generalnego im. gen. broni Karola Świerczewskiego. Jak pisał Dziennik.pl, „zaczynał jako młody, dynamiczny oficer, delegat na zjazd PZPR. Swoje pierwsze kroki stawiał pod czujnym okiem gen. Edwina Rozłubirskiego, prawej ręki gen. Czesława Kiszczaka". Na stopień generała awansowany został 10 listopada 2010 roku przez prezydenta Bronisława Komorowskiego.

Obecnie w mediach krytykuje działania PiS. Niedawno były delegat na zjazd PZPR powiedział Wirtualnej Polsce: „Żołnierze nie mogą być wciągani w sympatie czy antypatie polityczne"! Był bowiem bohaterem artykułu „Kampania PiS zdemaskowana. Generał nie zostawia suchej nitki na władzy". Z kolei w radiu TOK FM recenzował zakupy dla polskiej armii: „Gdybyśmy chcieli te wszystkie plany zrealizować, będzie to kosztowało około 100 mld zł. Czyli kolejne i jeszcze kolejne pokolenie Polaków będzie za to płaciło".

Wcześniej, w 2014 roku, przewidywał na łamach „Wprost" następujący przebieg wydarzeń na Ukrainie: „Dozbrajanie ochotniczych batalionów byłoby jakąś przeciwwagą, z drugiej jednak strony jeszcze bardziej nakręciłoby wojenną spiralę. Sądzę, że spotkanie prezydentów Poroszenki i Putina, które odbędzie się w Mińsku, będzie być może początkiem dialogu i doprowadzi do deeskalacji konfliktu w przyszłości".

▶ Skrzypczak z czołgu przed Stocznią Gdańską

Przeciwko ujawnieniu kompromitującego rządy PO-PSL dokumentu zaprotestował gen. Waldemar Skrzypczak. Skrzypczak od 2011 roku pełnił funkcję doradcy ministra obrony narodowej Tomasza Siemoniaka, a w latach 2012–2013 podsekretarza stanu w Ministerstwie Obrony Narodowej.

Odpowiedzialność za rozbrojenie polskiej armii spada w pierwszej kolejności na Donalda Tuska i jego rząd, czyli polityków PO i PSL. Ale z tymi politykami współpracowali wojskowi, którzy realizowali i często otwarcie popierali tamte rozwiązania.

Trzeba dodać, że Skrzypczak krytykował wcześniej likwidowanie jednostek wojskowych przez rząd PO-PSL, ale twierdził, że to wina polityków, a wojskowi nie mieli z tym nic wspólnego. Okazało się, że jednak mieli. „Ja nie wiem, czy jest jakieś słowo, które określiłoby to, co zrobiono" – skomentował ujawnienie dokumentu Skrzypczak. „Ten dokument jest konsekwencją dokumentów doktrynalnych NATO-wskich, jego ujawnienie jest ujawnieniem części filozofii NATO, czyli to zdrada" – twierdził.

Przypomnijmy, że gen. Waldemar Skrzypczak 13 grudnia 1981 roku dowodził kolumną czołgów jadących na Gdańsk. Miały one „zabezpieczać" akcje pacyfikacyjne. W Gdańsku jego czołg znalazł się w tłumie protestujących ludzi. „Baliśmy się tak samo, jak ci, którzy byli wokół nas z koktajlami Mołotowa. Może i oni mieli więcej odwagi, bo rzucali w nas. My byliśmy tak spięci tym, co się może wydarzyć. Nie widzieliśmy tej granicy, która może spowodować użycie broni. Pewnie granicą byłoby to, gdyby weszli na czołgi i zaczęli nas wyciągać i mordować" – wspominał w TVN24. ■

eprasa.pl 506c78f0aa

Piotr Grochmalski



Tuska V rozbiór Polski

Rząd PO-PSL likwidując 1. Warszawską Dywizję, otworzył na oścież drogę rosyjskiej armii do uderzenia na stolicę Polski. Największa aglomeracja i wszystkie kluczowe instytucje zapewniające istnienie państwowości zostałyby zniszczone lub sparaliżowane w pierwszych dniach wojny. To byłaby gigantyczna apokalipsa. Okupacja rosyjska objęłaby Lublin, Rzeszów, Przemyśl, Chełm, Puławy, Siedlce, Białystok, Elbląg, Olsztyn. Rozpoczęłyby się rabunek, niszczenie, masowe plądrowanie. Według przygotowanych przez FSB list polskiej inteligencji, zaczęłyby się mordy na skalę totalnego ludobójstwa. Powstałaby cała sieć obozów koncentracyjnych. Piąty rozbiór Polski stałby się faktem.

eprasa.pl 506c78f0aa



FOT. PAWEŁ SUPERNAK/PAP

To był wyrok na Polskę – opracowany w 2011 roku zgodnie z politycznymi dyrektywami rządu Donalda Tuska „Plan użycia sił zbrojnych RP Warta – 00101" zakładał, że strategiczna linia obrony przed agresją Rosji będzie przebiegała na linii Wisły i Wieprza. Już po siedmiu dniach rosyjskie wojska pancerne miały opanować całą wschodnią Polskę. Mieliśmy się bronić przez maksymalnie dwa tygodnie w oczekiwaniu na wsparcie NATO. Tak naprawdę jednak Sojusz w swojej historii nigdy nie stanął przed koniecznością uruchomienia procedury art. 5 (w 2001 roku została zastosowana do walki z terroryzmem po ataku na World Trade Center, a nie przeciwko innemu państwu). W tamtym czasie sojusznicze siły mogłyby wejść skutecznie do akcji najszybciej po 50 dniach. Ale wówczas cała Polska mogła już być pod okupacją rosyjską. Przerażające, że – w wyniku decyzji politycznych – armia miała oddać niemal bez walki Polskę wschodnią i liczyć, że Wisła powstrzyma uderzenie Rosji.

▶ Jak rząd PO-PSL demolował potencjał polskiej armii

Czeczenia, Gruzja, Syria i Ukraina pokazały, w jaki sposób rosyjskie formacje masakrują ludność cywilną. Ten szokujący scenariusz był efektem celowego niszczenia za kadencji PO i PSL potencjału sił zbrojnych. Gdy Rosja się zbroiła i coraz bardziej otwarcie deklarowała swoje ambicje ekspansji terytorialnej, w odpowiedzi ekipa Tuska demolowała potencjał polskiej armii. Na przesmyku suwalskim, który odgrywał strategiczną rolę w ramach NATO, zapewniając logistyczne połączenie Sojuszu z Litwą, a dalej Łotwą i Estonią, minister obrony Edmund Klich, w ramach „przemian strukturalnych", zniszczył 31 grudnia 2010 roku 14. Suwalski Pułk Artylerii Przeciwpancernej im. Marsz. Józefa Piłsudskiego. Na kierunku Bramy Przemyskiej zlikwidował w Lublinie 3. Brygadę Zmechanizowaną Legionów im. Romualda Traugutta. Ale najbardziej zmasakrowano obszar, który Rosja traktowała jako kluczowy kierunek uderzenia na Zachód – Bramę Brzeską. Nie tylko zniszczono od lutego do września 2011 roku 1. Siedlecki Batalion Rozpoznawczy, lecz przede wszystkim, w lutym 2011 roku, rozpoczęto zagładę 1. Warszawskiej Dywizji Zmechanizowanej im. Tadeusza Kościuszki z dowództwem w Legionowie. Już 6 lipca 2011 roku było po wszystkim. Najważniejszy związek taktyczny na wschodniej ścianie Polski przestał istnieć. Z pozostałych przy życiu trzech dywizji, dwie były dyslokowane przy granicy z Niemcami (11. Lubuska Dywizja Kawalerii Pancernej w Żaganiu, a 12. Dywizja Zmechanizowana w Szczecinie), a jedna (16. Dywizja Zmechanizowana) miała swoje dowództwo w Elblągu. Redukcja decy-

epr asa.pl 506c78f0aa

zją polityczną potencjału obronnego Polski do trzech dywizji oznaczała, że rząd Tuska faktycznie rezygnuje z obrony granic Polski. Po prostu było to niewykonalne.

Zdrada Polski

Rząd PO-PSL likwidując 1. Warszawską Dywizję, otworzył na oścież drogę rosyjskiej armii do uderzenia na stolicę Polski. Największa aglomeracja i wszystkie kluczowe instytucje zapewniające istnienie państwowości zostałyby zniszczone lub sparaliżowane w pierwszych dniach wojny. To byłaby gigantyczna apokalipsa. Okupacja rosyjska objęłaby Lublin, Rzeszów, Przemyśl, Chełm, Puławy, Siedlce, Białystok, Elbląg, Olsztyn. Rozpoczęłyby się rabunek, niszczenie, masowe plądrowanie. Według przygotowanych przez FSB list polskiej inteligencji, zaczęłyby się mordy na skalę totalnego ludobójstwa. Powstałaby cała sieć obozów koncentracyjnych. Piąty rozbiór Polski stałby się faktem.

Na Edmundzie Klichu, psychiatrze, ciążyła już śmierć w Smoleńsku w 2010 roku sześciu polskich generałów – gen. Bronisława Kwiatkowskiego, gen. Andrzeja Błasika, gen. Tadeusza Buka, gen. Włodzimierza Potasińskiego, admirała Andrzeja Karwety i gen. Kazimierza Gilarskiego. W tej putinowskiej zbrodni śmierć poniosło całe dowództwo polskiej armii, a także prezydent Lech Kaczyński, prezydent na uchodźstwie Ryszard Kaczorowski i kwiat polskiej inteligencji. Nigdy w długiej historii RP nie zdarzyło się coś podobnego. Równie porażające jest jednak to, iż tę śmierć rząd PO-PSL wykorzystał do przyspieszonego zbliżenia z Rosją, państwem, które nie ukrywało swojego wrogiego stosunku do Polski.

Wielkie manewry białorusko-rosyjskie Zapad-2009 obejmowały ćwiczenie pacyfikowania buntu mniejszości polskiej na Białorusi. Ale było to połączone z desantem na plażę, która imitowała nasze wybrzeże. Symulowano też wówczas uderzenie taktyczną bronią atomową na Warszawę. Tusk nie protestował. A gdy w 2013 roku, na manewrach Zapad-2013, sytuacja się powtórzyła i znów elementem ćwiczonej agresji na Polskę było użycie broni atomowej, rząd Tuska i prezydent Bronisław Komorowski udawali, że nic się nie dzieje, że to normalne, iż państwo, z którym graniczymy, analizuje wariant zabicia setek tysięcy Polaków jednym atomowym ciosem. Gdy w 2013 roku zapytano o to ówczesnego szefa BBN, gen. Stanisława Kozieja, czy powinniśmy na takie zachowanie Kremla wysłać dyplomatyczną notę i protestować, błyskotliwie stwierdził: „Dlaczego? Jeżeli ktoś ma wojsko, to wojsko musi ćwiczyć". Ten skrajny serwilizm wobec Kremla i lęk na samą myśl, iż można zaprotestować, wydawał się nie mieć granic. Rosjanie z łatwością odkrywali w otoczeniu Tuska ów typ raba (niewolnika), ludzi głęboko uformowanych w sowieckiej, rabskiej mentalności. Jarosław Bratkiewicz, który był jednym z głównych kreatorów polityki wschodniej Tuska, stwierdza: „W kilka dni po katastrofie napisałem notatkę, którą skierowałem do dwóch tylko adresatów: ministra Sikorskiego oraz profesora Rotfelda. […] W rzeczonej notatce zawarłem propozycje działań, które podtrzymywałyby ten rozpęd stosunków polsko-rosyjskich, jaki im nadało spotkanie 7 kwietnia [2010 Tuska z Putinem w Katyniu] i jaki wcale się nie załamał po 10 kwietnia, lecz zgoła odwrotnie, pobudził nastroje i refleksje, które zazwyczaj materializują się w tkance pojednania". Jak widać, masowa likwidacja polskich jednostek, w tym 1. Warszawskiej Dywizji, miała być częścią owego „pojednania" zbudowanego na trupach polskich generałów i elity polskiego państwa.

Powrót do przeszłości

A przecież te manewry miały zdemolować nas mentalnie. Przypomnieć brutalne wspomnienia – 4 września 1981 roku Związek Sowiecki, wzdłuż polskiej granicy, rozpoczął manewry Zapad-1981, w których wzięło udział do 150 tys. żołnierzy. Według ówczesnych ocen NATO, były to największe, w powojennej historii ZSRS, ćwiczenia wojskowe w swojej skali porównywalne jedynie do pacyfikacji Czechosłowacji w 1968 roku przez Układ Warszawski. Poprzedziły je manewry zarządzone przez Moskwę pod kryptonimem „Sojuz 81" w marcu i kwietniu, które – w trakcie ich przeprowadzania – zostały przedłużone bezterminowo. Tamta manifestacja brutalnej siły przez Moskwę miała zabić w Polakach nadzieję na narodowe odrodzenie. Była presją i wsparciem dla polskich komunistów, aby zdecydowali się na zniszczenie „Solidarności". Stanowiła wsparcie dla przeprowadzenia puczu wojskowego i wyprowadzenia, 13 grudnia 1981 roku, pierwszy raz w dziejach Polski, armii przeciw narodowi. Wówczas operacja była dziełem marszałka Nikołaja Ogarkowa, szefa sztabu sowieckiej armii, a nadzorował ją Dmitrij Ustinow, minister obrony ZSRS. To on, razem z Andropowem, ówczesnym szefem KGB, dwa lata wcześniej, w 1979 roku, przesądzili o rozpoczęciu wojny w Afganistanie.

Samą formułę manewrów już po rozpadzie Związku Sowieckiego i powstaniu FR, reaktywował w czerwcu 1999 roku ówczesny premier Siergiej Stiepaszyn, były szef FSB, odpowiedzialny za pierwszą wojnę rosyjsko-czeczeńską i przygotowania do drugiej. Manewry miały być oznaką sprzeciwu Moskwy wobec przyjęcia do NATO Polski, Czech i Węgier. Atak na Gruzję w 2008 roku ujawnił słabość rosyjskiej armii. Manewry Zapad-2009 miały podnieść jej wartość

eprasa.pl 506c78f0aa

bojową. Rok później Putin zreorganizował podział okręgów wojskowych – tworząc cztery na kierunkach strategicznych dla Rosji – zachodni, centralny, południowy i wschodni. Zachodni był najważniejszy, bo z niego miało nastąpić uderzenie na Polskę i Zachód. Jak zauważał Andrzej Wilk, analityk OSW, ekspert od rosyjskich sił zbrojnych: „Co najmniej od lutego 2013 roku, kiedy rozpoczęły się pierwsze tzw. niezapowiedziane sprawdziany gotowości bojowej, rosyjskie wojsko jest w stadium permanentnych przygotowań do wojny". Wiele elementów ćwiczonych w ramach manewrów Zapad-2013 wykorzystanych zostało w trakcie wojny Rosji z Ukrainą. Wówczas, po raz pierwszy w historii Rosji, parlament dał zgodę armii na zbrojną napaść na inne państwo.

Niżej na kolanach już być nie można

Ale to nadskakiwanie Rosji i traktowanie niepoważne bezpieczeństwa państwa osiągało monstrualne rozmiary. Pewne zachowania musiały szokować nawet Kreml, że z taką łatwością godzimy się nawet na najbardziej bezczelne żądania. W 2007 roku Putin zawiesił udział FR w CFE (Traktat o Konwencjonalnych Siłach Zbrojnych w Europie), który był fundamentem bezpieczeństwa na Starym Kontynencie, wyznaczając możliwe pułapy uzbrojenia dla danych państw. Ale, jak ujawnił gen. Bogusław Samol, który od września dowodził 16. Pomorską Dywizją Zmechanizowaną, w styczniu 2010 roku miał białoruską kontrolę w swojej jednostce, a w dwa miesiące później, Rosji. Trzy lata po zawieszeniu udziału Rosji w CFE! Jak stwierdził: „Trzeba było się im poddać, bo takie były decyzje moich przełożonych". Zapytany, kto na poziomie politycznym zaakceptował to bezczelne żądanie strony rosyjskiej, odpowiedział: „Zadaję sobie to pytanie do dziś".

Generał Samol ujawnia też, w jak skandaliczny sposób ówczesne zwierzchnictwo polityczne traktowało wszelkie plany modernizacyjne polskiej armii. Jak stwierdził 18 sierpnia 2023 roku w wywiadzie dla PAP: „W 2009 roku zaprezentowałem bardzo nowoczesny plan modernizacji Sił Zbrojnych RP na lata 2009–2018, który został opracowany przez zespół oficerów w Zarządzie Planowania Rzeczowego P-8 wspólnie z oficerami z poszczególnych dowództw rodzajów sił zbrojnych, a następnie uzgodniony przez ówczesnych dowódców Rodzajów Sił Zbrojnych. Dokument nie został jednak podpisany przez ówczesnego szefa MON, bo dwóch trzygwiazdkowych generałów – mimo że wcześniej zaakceptowali plan – zanegowało potrzebę modernizacji niektórych systemów uzbrojenia. Plan Modernizacji Technicznej SZ RP na lata 2009–2018 zawierał środki finansowe między innymi na zakup systemów obrony przeciwrakietowej i obrony powietrznej, zakupy okrętów wojennych, artylerii rakietowej i wiele innych systemów uzbrojenia". Wiedział, jak dramatyczne pociąga to za sobą konsekwencje dla bezpieczeństwa państwa. Udał się do ówczesnego szefa sztabu gen. Franciszka Gągora. Poprosił o przeniesienie. Jak wspomina dzisiaj: „Powiedziałem, że nie zgadzam się z tą decyzją. Nad programem pracowaliśmy przez dwa lata, a jego elementy na każdym etapie jego tworzenia były konsultowane i zatwierdzane przez dowództwa rodzajów sił zbrojnych. Okazało się, że dowódcy, którzy wcześniej plan zaakceptowali, nagle go odrzucili. Uznałem, że w takim razie moja praca nie ma sensu, i poprosiłem o skierowanie mnie na stanowisko dowódcy dywizji". Tak wylądował w 16. Dywizji.

Koszmar po Smoleńsku

Po Smoleńsku dewastacja bezpieczeństwa państwa przez ekipę Tuska osiągnęła apogeum, co dramatycznie ujawnił filmowy serial dokumentalny „Reset" realizowany przez prof. Sławomira Cenckiewicza i red. Michała Rachonia. Ujawnione w nim setki dokumentów odkrywają przerażający upadek wszelkiej myśli propaństwowej w ekipie Donalda Tuska i porażające lekceważenie bezpieczeństwa państwa i obywateli RP.

24 listopada 2010 roku, kilka dni przed przylotem do Polski Dmitrija Miedwiediewa, którego Putin obsadził wówczas na jedną kadencję w roli prezydenta FR, Bronisław Komorowski zwołał posiedzenie Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Ściągnął na nie byłych premierów, ministrów obrony i prezydentów, aby rzekomo porozmawiać o długim marszu ręka w rękę z Moskwą. W wystąpieniu przed kamerami Komorowski tak zachwalał ten kuriozalny spektakl: „Przygotowujemy się solidnie do przyjazdu Dmitrija Miedwiediewa. Łączymy z tą wizytą nadzieje nie na jakiś przełom jednorazowy, ale rozpoczęcie marszu w dobrą stronę, bo rozpoczynamy ten marsz w tej chwili coraz intensywniejszy".

Z dzisiejszej perspektywy te brednie, związane przecież z Dmitrijem Miedwiediewem, porażają. To jest ten sam człowiek, który w kwietniu 2023 roku stwierdził: „[...] ale biorąc pod uwagę rolę Polski, jako placówki NATO w Europie, kraj ten na pewno zniknie wraz ze swoim niedorozwiniętym premierem". Na to kuriozalne przedstawienie w BBN Komorowski zaprosił Wojciecha Jaruzelskiego. Za jego zbrodnie Riccardo Orizio umieścił go w 2003 roku na najbardziej szokującej liście żyjących wówczas jeszcze największych bandziorów XX wieku – obok Amina, Bokassy, Hodży, Duvaliera, Mengistu, Miloševića. Książka pod tytułem „Diabeł na emeryturze" w 2004 roku została przetłumaczona na polski. Orizio wspomina rozmowę z Jaruzelskim: „Zaprosił mnie do swego biura, żeby się pożegnać. I żeby

eprasa.pl 506c78f0aa

oznajmić z nieskrywanym wyrzutem w głosie: »Stawia mnie pan w swojej książce obok największych zbrodniarzy naszych czasów. Brakuje tylko Pol Pota«". Ten człowiek, ów „diabeł na emeryturze", który jako pierwszy w długiej historii naszego państwa użył polskiej armii przeciw narodowi w imię ratowania sowieckiej władzy nad Polską i który wiernie służył Moskwie przez całe swoje dorosłe życie, miał doradzać, jak zintensyfikować zbliżenie z Rosją. To dobrze oddaje istotę rządów ekipy Tuska–Komorowskiego.

Towarzysz Jaruzelski chwali Tuska

Ale to wydarzenie ma jeszcze jeden, symboliczny wymiar. Zaledwie cztery miesiące później, 16 marca 2011 roku, Trybunał Konstytucyjny uznał, że stan wojenny był nielegalny, nawet w świetle sowieckiej Polski. W istocie był puczem wojskowym. Trybunał orzekał tak na wniosek byłego rzecznika Praw Obywatelskich, Janusza Kochanowskiego, zamordowanego przez putinowskich bandytów w Smoleńsku. Niemal wszyscy uczestnicy tego gremium, które Komorowski zebrał w BBN-ie tamtego dnia, uczestniczyli w kłamstwie smoleńskim. Większość z nich, jeszcze w czasach PRL-u, głosiło kłamstwo katyńskie. W owym wydarzeniu w BBN-ie odmówił udziału tylko jeden premier – Jarosław Kaczyński.

Dzień po tym posiedzeniu, w którym tak naprawdę główną rolę odgrywał nie Komorowski, ale D. Tusk, Jaruzelski napisał do niego list w stylu bolszewickiej propagandy: „Z wielkim zainteresowaniem wysłuchałem Pańskiego, bardzo ważnego wystąpienia. Pozwoliło ono uzupełnić moją historyczną wiedzę i doświadczenia o ocenę aktualnej sytuacji, a w szczególności o rozmowy prowadzone przez Pana Premiera ze stroną rosyjską. Nie sądziłem, iż w obecnej rzeczywistości taka tonacja jest możliwa. Rosja jest wielkim krajem, istotnym czynnikiem polityki europejskiej i światowej. Dobrosąsiedzkie stosunki z nią mają bardzo duże znaczenie. Natomiast »rakietowa argumentacja«, o której wspomniał Pan Premier – to przykład »napinania muskułów«, mający pomóc w leczeniu kompleksów, przypominać – raczej na wyrost – mocarstwowy status". Jaruzelski z wystąpienia Tuska podczas tego spotkania wyciągnął jasny wniosek – tarcza antyrakietowa, którą zaproponowali nam Amerykanie, będzie torpedowana. Nie tylko potężnie się rozbrajaliśmy, lecz także, w interesie Moskwy, co dobrze rozumiał Jaruzelski, skutecznie Tusk spacyfikował projekt umieszczenia w Polsce elementu tarczy antyrakietowej. Gdybyśmy nią dysponowali, Rosja nie odważyłaby się na agresję na Ukrainę w 2014 roku. I na groźby skierowane wówczas wobec Polski. Jak ujawnił wówczas we wrześniu niemiecki dziennik „Sueddeutche Zeitung", podczas rozmów Manuela Barroso, szefem Komisji Europejskiej, z Petrem Poroszenką, prezydent Ukrainy powiedział, że Putin miał mu oświadczyć, iż gdyby chciał, to w ciągu dwóch dni wojska rosyjskie mogłyby się znaleźć nie tylko w Kijowie, lecz także w Rydze, Wilnie, Tallinie, Warszawie czy Bukareszcie.

Andrzej Nowak w swojej książce „Uległość czy niepodległość" tak komentował te informacje: „Jeżeli Władimir Putin mówi, że w ciągu dwóch dni jego wojsko może być w Warszawie, to wcale to nie znaczy, że to wojsko grzeje już silniki i rzeczywiście za dwa dni do nas przybędzie ze swoją »pokojową« misją. Czy taka decyzja będzie podjęta za dwa miesiące, czy za osiem, jest tu bez znaczenia, chodzi o to, że taki plan, taki projekt, żeby to wojsko uruchomić, jest realnie testowany. Trudno to ukryć. W istocie Władimir Putin tego nie ukrywa, ale – wręcz odwrotnie – podkreśla to na każdym kroku. Teraz chodzi o złamanie woli, a w pierwszej kolejności o złamanie woli polityków polskich, woli obrony przed tego rodzaju zagrożeniem".

Po prośbie u Rosjan

Było znacznie gorzej. Z ujawnionych dokumentów w serialu „Reset" wynika, iż strona polska usilnie zabiegała o głęboką militarną współpracę z Rosją, gotowa do działań zagrażającym bezpieczeństwu RP. Jeszcze w październiku 2010 roku, w czasie posiedzenia Komitetu Strategii Współpracy Polsko-Rosyjskiej, po polskiej stronie powstała koncepcja nawiązania bardzo bliskiej współpracy z rosyjskim ministerstwem obrony. Forsował ten projekt m.in. Bratkiewicz, zaufany człowiek Sikorskiego do kontaktów z Rosją. MON przyjął to entuzjastycznie. Klich natychmiast wyraził chęć spotkania się w Moskwie z ówczesnym szefem rosyjskiego resortu obrony, Anatolijem Sierdiukowem. Był jednak drobny problem – Rosja kręciła nosem. Jak czytamy w jednej z notatek MON: „Utrzymanie dobrych stosunków z Rosją pozostaje jednym z priorytetów polskiej polityki bezpieczeństwa. MON podejmuje działania na rzecz powrotu do współpracy wojskowej z MO FR, jednak zauważalny jest dystans i wstrzemięźliwość strony rosyjskiej wobec polskich propozycji nawiązania partnerskiej współpracy". Klich 1 lutego 2011 roku odbył konsultacje z Nikołajem Patruszewem, który wówczas – na zaproszenie gen. Kozieja – gościł w BBN-ie. Ten były generał KGB, który sam przedstawiał siebie jako jednego z twórców kariery Putina, był jednym z największych wrogów Polski. Podczas tego spotkania Klich prosił Patruszewa, aby wstawił się za niego i załatwił mu spotkanie z Sierdiukowem. Wstępnie zaakceptował też propozycję „konsultacji w sprawie reformy sił zbrojnych". Szliśmy na kolanach do Rosjan, ale oni zachowali zde-

eprasa.pl 506c78f0aa

cydowany dystans. Za to ekipa Tuska dawała czytelne sygnały, likwidując jednostki i redukując armię, że nie traktuje poważnie bezpieczeństwa Polski.

Zbrodnia przeciwko narodowi

Owe niszczenie podstaw bezpieczeństwa państwa polskiego, poprzez rozwiązywanie formacji i blokowanie planów modernizacji, doprowadziło do powstania owego „Planu użycia sił zbrojnych RP Warta – 00101". Klich, zatwierdzając ten dokument, niszczył fundamenty bezpieczeństwa narodowego. Masakrował też Konstytucję RP. Stanowi ona w art. 5, iż „Rzeczpospolita strzeże niepodległości i nienaruszalności swego terytorium". Świętym więc obowiązkiem rządu jest tworzenie takich sił zbrojnych, które są w stanie wykonać ten konstytucyjny nakaz. Artykuł 26 Konstytucji stwierdza jednoznacznie, iż „Siły zbrojne RP służą ochronie niepodległości państwa i niepodzielności jego terytorium oraz zapewnieniu bezpieczeństwa i nienaruszalności jego granic". Zniszczenie potencjału obronnego sił zbrojnych poniżej progu, który zapewnia realizację art. 26, jest największą zbrodnią przeciwko narodowi, jaki władza polityczna może popełnić. Fakt masowej likwidacji jednostek był główną przyczyną, iż siły zbrojne – w wyniku decyzji politycznej – nie byłyby w stanie zapewnić obrony polskich granic. Ale mimo to nie wolno tworzyć dokumentu sprzecznego z art. 26 Konstytucji.

Generał Waldemar Skrzypczak w książce „Jesteśmy na progu wojny" stwierdza, iż w wyniku zniszczenia 1. Dywizji Warszawskiej „brakuje nam wojska na głównym kierunku obrony przed przeciwnikiem, czyli na kierunku brzesko-warszawskim. […] Polskim siłom zbrojnym brakuje ewidentnie jeszcze jednej dywizji. To nie tylko mój wniosek, lecz również Amerykanów i przedstawicieli innych państw ze sztabów NATO. […] Potencjał, który mamy, jest po prostu niewystarczający, żeby się oprzeć pierwszemu uderzeniu Rosji. […] Teraz z każdej gry wojennej, która jest prowadzona z udziałem NATO, wynika, że Polska ma za mało wojska". W momencie gdy to stwierdzał w 2018 roku, minister Mariusz Błaszczak, kontynuując prace swego poprzednika, Antoniego Macierewicza, rozpoczął formowanie 18. Dywizji Zmechanizowanej, która zamknęła Bramę Brzeską. We wrześniu 2022 roku MON zaczęło tworzyć 1. Dywizję Piechoty Legionów także na ścianie wschodniej, a we wrześniu 2023 roku zapowiedziano powstanie wkrótce szóstej dywizji.

To byłaby prawdziwa rzeź

W 1996 roku ukazała się w USA książka autorstwa byłego sekretarza obrony, Caspara Weinbergera i Petera Schweizera „The Next War". Zawierała ona fabularyzowane gry wojenne w Pentagonie, które analizowały scenariusze pięciu potencjalnych globalnych konfliktów. Jeden z nich opisywał agresję Rosji na Polskę 15 marca 2006 roku. Oto jego streszczenie.

W 2000 roku na Kremlu zasiadł gen. Aleksander Karaszczuk, który wygrał wybory. Miał on cechy podobne do Putina. Ogłosił projekt odbudowy rosyjskiego imperium. Wojnę w 2006 roku miała rozpocząć operacja, którą Rosja próbowała zrealizować w Ukrainie – wymordowanie elity politycznej państwa, która przypomina też mord smoleński. Według scenariusza Pentagonu, polski rząd, ze względu na nagromadzanie rosyjskich sił na Białorusi na początku 2006 roku, zrobił tajne, wyjazdowe posiedzenie pod Białymstokiem. Grupa Specnazu GRU przedostała się przez granicę i dotarła do budynku, w którym odbywało się spotkanie. „Prawie natychmiast napastnicy wyważyli drzwi i wdarli się do środka. Gdy znaleźli się w sali konferencyjnej, rozpoczęli ogień z broni maszynowej. Potem zniknęli tak szybko, jak się pojawili. W ciągu zaledwie kilku sekund zginęli członkowie polskiego rządu i większość wyższych oficerów wojska". To był początek agresji.

„W czasie gdy wojska pancerne przekraczały granicę w Polską, rosyjskie samoloty zaatakowały lotniska i stanowiska dowodzenia, w różnych miejscach tego kraju. Hordy bombowców Tu-160 i Su-34 przelatywały z hukiem nad wschodnią Polską, rozświetlając niebo wybuchami bomb, które zrzucały na dziesiątki celów. Dwie polskie dywizje piechoty opierały się lawinie pocisków i czołgów przez ponad sześć godzin. Potok rosyjskich tanków, które sunęły zmarzniętą równiną, wydawał się bez końca. Kiedy rosyjskie samoloty unieszkodliwiły artylerię, Polacy mogli przeciwstawić sześciu dywizjom tylko lekką broń, granaty i nieliczne egzemplarze broni przeciwpancernej. Niestety stalowe rosyjskie pancerze okazały się silniejsze niż żelazna odwaga Polaków". Porażka dywizji obrońców na południowy wschód od Warszawy zmusiła polski rząd „do opuszczenia miasta i ustanowienia tymczasowej stolicy w Szczecinie, w pobliżu granicy niemieckiej. […] Kiedy kolumna samochodów wjeżdżała do Warszawy, miasto wydawało się posępne, prawie wymarłe. […] Nowe rosyjskie wysunięte stanowisko dowodzenia mieściło się w gmachu Ministerstwa Obrony, szarej okazałej budowli przy dużej arterii komunikacyjnej w centrum miasta. Generał Płatonowo wszedł do utrzymanego w czysto gotyckim stylu gabinetu ministra obrony. Czekał tam generał major Martow, zuchwały dowódca czołgistów, który […]przedarł się przez granicę. Jego T-80 pokonały środkowoeuropejską równinę i dotarły do Warszawy z niewielkimi stratami. […] Usiedli na sofie i zapalili papierosy. – Wiesz, Martow, byłem w tym pokoju dwadzieścia lat temu. […] Organizowaliśmy wyjście sowieckich sił z Warszawy. […] Dobrze być tu z powrotem". Roześmiali się obaj.

eprasa.pl 506c78f0aa

Scenariusza cd. Przestroga przed ostateczną zagładą Polski

Po masakrze Gdańska, Łodzi, Poznania, Krakowa, 11 kwietnia, a więc po 27 dniach wojny, wojska rosyjskie otoczyły Szczecin (w tym scenariuszu formacje NATO próbowały wesprzeć siły polskie, ale Rosja użyła przeciwko francuskim wojskom desantowym taktyczną broń atomową. Spowodowało to zatrzymanie wojsk NATO na granicy niemiecko-polskiej. Musieliśmy się bronić sami). „Wczesnym rankiem odgłosy artylerii przerodziły się w nieprzerwany grzmot. Już drugi dzień potężne rosyjskie działa ostrzeliwały Szczecin, ostatni wysunięty posterunek wolnej Polski, a zamknięci w mieście jak w pułapce mieszkańcy i żołnierze mogli jedynie czekać na nieuchronne wkroczenie rosyjskich oddziałów. W wilgotnej, ciemnej piwnicy komunalnego budynku, który pełnił funkcję siedziby polskiego rządu, Władysław Radkiewicz [w tym scenariuszu premier Polski powołany na tę funkcje po wymordowaniu przez Rosję całej Rady Ministrów – przyp. aut.] wkładał do skórzanej teczki ostatnie dokumenty. Ewakuacja była dla niego szokiem emocjonalnym i w głębi duszy obawiał się, że mogą minąć dziesiątki lat, zanim będzie mógł wrócić do kraju. Idąc samotnie w stronę wyjścia, wpadł na generała Krynickiego [według scenariusza dowódcę obrony Polski] – w wytartym mundurze, z brudną twarzą i oczami podkrążonymi z niewyspania. – Andrzej, nie ma sensu zostawać – próbował go przekonywać Radkiewicz. – Żeby walczyć, musimy wrócić kiedy indziej. Krynicki tylko potrząsnął głową i z posępną miną poszedł w stronę stojących w kącie urządzeń łączności Postanowił zostać. [...] Była godzina 11.00, gdy siły rosyjskie ruszały do ostatecznego uderzenia [...] Rosjanie odnieśli zwycięstwo w tym najkrwawszym dniu w historii rosyjskiej armii od czasu II wojny światowej. Tuż przed zmrokiem strzały ucichły ostatecznie. Dopiero wtedy oddziały generała Martowa weszły do miasta główną ulicą. Po jej obu stronach ciągnęły się zwały gruzów. Wolna Polska wydała ostatnie tchnienie".

Porażająca przestroga dla Polski

Ten szokujący scenariusz, sfabularyzowany, aby mógł w ten sposób łatwiej dotrzeć do opinii publicznej, winien być potężnym ostrzeżeniem dla całej klasy politycznej w Polsce. Tym bardziej, iż agresja na Polskę miała być początkiem III wojny światowej. Książka ukazała się w Polsce w 1999 roku. Jej główny autor, Caspar Weinberger, był w ekipie prezydenta Ronalda Reagana szefem resortu obrony. Uchodził za jednego z kluczowych twórców planu „Gwiezdnych Wojen", które przyspieszyły upadek Związku Sowieckiego. Paradoksalnie zmarł 28 marca 2006 roku, gdy według jego scenariusza miała już trwać agresja na Polskę. Wstęp do tej publikacji napisała Margaret Thatcher, żelazna premier Wielkiej Brytanii, która zmarła 8 kwietnia 2013 roku, gdy Rosja coraz brutalniej parła do konfrontacji. We wstępie pisała ostrzegawczo: „Następne podobieństwo między okresem zimnej wojny a teraźniejszością polega na tym, że jedynym sposobem utrzymania pokoju i wolności jest zapewnienie pokojowo nastawionym, demokratycznym państwom – których jądro w dalszym ciągu tworzą Stany Zjednoczone i ich sojusznicy – militarnej przewagi nad państwami agresywnymi i siejącymi niezgodę. Nie da się temu zaprzeczyć nawet przy maksimum wielkoduszności".

Rząd PO-PSL postępował radykalnie odwrotnie. Dokonał prawdziwej masakry naszego potencjału obronnego – zlikwidował 629 jednostek organizacyjnych Sił Zbrojnych RP. Ale też uderzono w bezpieczeństwo wewnętrzne państwa, zamykając z ponad 800 posterunków policji – 400! W tle agresji na Gruzję w 2008 roku psychiatra Klich zlikwidował 16. Brygadę Zmechanizowaną w Morągu (strategiczny Przesmyk Suwalski) i 36. Brygadę Zmechanizowaną (Trzebiatów). Potem rozpoczęło się pełne szaleństwo. Rząd PO-PSL działał dokładnie odwrotnie do przestrogi Thatcher. Tusk musiał mieć świadomość, że manifestacyjnie degradując siły zbrojne, zachęca Rosję do zbrojeń i agresji. Otwiera tym samym drogę Putinowi do V rozbioru Polski. A równocześnie prowadzili podwójną grę z NATO.

Według ujawnionych w 2011 roku tajnych materiałów dyplomatycznych przez WikiLeaks, jest też Depesza Nr 08Warsaw1409 z 12 grudnia 2008 roku, w której Radosław Sikorski stwierdzać miał, że po sierpniowej agresji na Gruzję w 2008 roku należy uznać, że atak Rosji na Polskę jest możliwy w ciągu 10–15 miesięcy. A gdy 10 kwietnia 2010 roku rzeczywiście Rosja dokonuje agresji, mordując w Smoleńsku polską elitę, Tusk wspierany przez Sikorskiego i ludzi pokroju Jarosława Bratkiewicza wykorzystuje to wydarzenie do pogłębienia resetu z Rosją. „Plan użycia sił zbrojnych RP Warta – 00101" był tylko przełożeniem na wymiar militarny dyrektyw politycznych rządu Tuska, które prowokowały Rosję do polityki siły i agresji. Likwidacja 1. Dywizji Warszawskiej wprost zachęcała Rosję do szybkich zbrojeń. Minister Obrony FR, Anatolij Sierdiukow, ogłosił wielki program modernizacji armii. Jego następca Siergiej Szojgu w 2013 roku odbudował 4. Dywizję Kantemirowską i 2. Dywizję Tamańską, które stały się podstawą 1. Gwardyjskiej Armii Pancernej. Ten największy na świecie pancerny związek operacyjny, wsparty siłami 6. i 20. armii, miał uderzyć na Warszawę i zrealizować marzenie Putina V rozbioru Polski. ■

Tekst jest rozwinięciem artykułu, który ukazał się w nr 39/2023 „Gazety Polskiej".

eprasa.pl 506c78f0aa



Ryszard Czarnecki

Patologia

Należy powiedzieć o pewnej patologii – i to coraz bardziej odczuwalnej. Rzecz w generałach, którzy oskarżają polski rząd o wszystko, co najgorsze w dziedzinie obronności państwa, a sami przyczyniali się do polityki rozbrajania Polski, zmniejszania armii, relokacji wojsk, a przynajmniej akceptowali tę politykę, która przecież odsłaniała wschodnią granicę Polski przed potencjalnym agresorem (Rosją).

Udział byłych wojskowych w życiu politycznym, w tym w polityce, to norma w USA czy Izraelu. Zdarza się również w Wielkiej Brytanii. Chodzi oczywiście o ludzi, którzy zakończyli służbę wojskową. Tylko „za komuny", w ZSRS i jego satelitach, w tym w PRL, powszechnym zwyczajem było wybieranie czynnych wysokich rangą wojskowych do Komitetu Centralnego KPZR czy PZPR (i ich odpowiedników w innych „krajach demokracji ludowej").

W Ameryce do dobrego tonu należy podkreślanie służby w armii. Wielu prezydentów i wiceprezydentów oraz kandydatów na te stanowiska odnosiło się do swoich doświadczeń w wojsku w okresie II wojny światowej. Po czasie, kiedy nie było to modne, zaczęto przyznawać się również do służby w Korei, Wietnamie, a potem i w innych krajach z Afganistanem i Irakiem włącznie.

Zatem, jak widać, jest to pewna norma, choć skala i intensywność zaangażowania w politykę generalicji i wyższych oficerów w różnych krajach i na różnych kontynentach jest różna. Warto zwrócić uwagę, że prezydentami dwóch państw członkowskich Unii Europejskiej są generałowie. Ciekawe, że oba państwa są z naszego regionu Starego Kontynentu. Chodzi o wybranego w ubiegłym roku lokatora Hradu, generała Petra Pavela w Czechach, i pełniącego urząd już drugą kadencję prezydenta Bułgarii, generała lotnictwa Rumena Radewa. Ci byli wojskowi uzyskali silny demokratyczny mandat i stali się ważną częścią świata polityki.

W Polsce mieliśmy i mamy kilku posłów, którzy byli zawodowymi oficerami. Są tacy na przykład w PiS czy w Trzeciej Drodze. Uważam to za rzecz i dobrą, i naturalną. Na pewno nie zaszkodzi ona cywilnej kontroli nad armią.

Należy jednak powiedzieć o pewnej patologii – i to coraz bardziej odczuwalnej. Widać ją zwłaszcza teraz, w okresie kampanii wyborczej. Chodzi o sytuację, w której „ubrał się diabeł w ornat i na mszę dzwoni". Rzecz w generałach, którzy oskarżają polski rząd o wszystko, co najgorsze w dziedzinie obronności państwa, a sami przyczyniali się do polityki rozbrajania Polski, zmniejszania armii, relokacji wojsk, a przynajmniej akceptowali tę politykę, która przecież odsłaniała wschodnią granicę Polski przed potencjalnym agresorem (Rosją).

A teraz kolejne już polskie przysłowie: „Zapomniał wół, że cielęciem był". Gdy czytam wypowiedzi odsądzające od czci i wiary kolejnych ministrów obrony z rządów Beaty Szydło i Mateusza Morawieckiego, których autorem jest były dowódca generalny Rodzajów Sił Zbrojnych Mirosław Różański, a dziś kandydat na senatora z ramienia opozycyjnego paktu senackiego – to się po prostu nie chce wierzyć. Mam bowiem fotograficzną pamięć i pamiętam, jak ten wielki krytyk Antoniego Macierewicza (i Mariusza Błaszczaka zresztą też) stał tuż obok szefa MON, tegoż Antoniego Macierewicza, gdy informował on o utworzeniu spec-komisji smoleńskiej. Doprawdy nikt końmi Różańskiego tam nie ciągnął.

A teraz ponownie szybka podróż za Atlantyk. Generałowie czy wyżsi oficerowie angażują się politycznie zarówno po stronie republikanów, jak i demokratów. Spierają się i krytykują – ponieważ przekroczyli granice świata polityki, gdzie konflikt jest oczywistością. Wszak jedna rzecz jest święta: gdy chodzi o budżet armii, wydatki na obronność, nakłady na nowe technologie, uzbrojenie i amunicję – w tym obszarze żaden generał republikanin nie będzie domagał się cięcia budżetu amerykańskiej armii dlatego tylko, że rządzą demokraci. I odwrotnie. Nikt z wojskowych i ich rodzin, do których przecież się odwołują, by tego nie zrozumiał. Tymczasem nad Wisłą generał Różański publicznie atakuje rządową wizję budowy okrętów podwodnych w Szczecinie czy zakup amerykańskich samolotów F-35. Generał w barwach opozycji mówi: „Nie stać nas na nie". W Ameryce byłoby to nie do pomyślenia. Gdy dziennikarz sugeruje, że jednak warto kupić samoloty najnowszej generacji, Różański, ku osłupieniu zapewne wielu, mówi, że nie należy tego robić „kosztem służby zdrowia"!

Cóż, tu przynajmniej ten pan i ci panowie są konsekwentni i przewidywalni. Kiedyś zwijali armię – dziś sprzeciwiają się jej rozwojowi…

eprasa.pl 506c78f0aa



Tomasz Łysiak

ELSTERA

– rzeka pomiędzy krainą Zdrady a krainą Wierności

W nurtach Elstery 19 października 1813 roku zginął polski Książę Niezłomny, depozytariusz polskiego honoru, świadczący – całym swoim życiem, wyborami, których dokonał, decyzjami które powziął, a wreszcie ostatnimi dniami i poświęceniem ostatecznym – o tym, że Słowo, za którym idą współgrające z nim czyn i postawa życiowa, ma znaczenie fundamentalne. Odmęty Elstery jawią się tu jak rzeka z mitów greckich, którą Charon przewozi do Krainy Honoru tych, którzy honorem żyli.



FOT. ŁAZIENKI-KROLEWSKIE.PL

Przedśmiertne słowa Danuty Siedzikówny „Inki": „Powiedzcie mojej babci, że zachowałam się, jak trzeba" – są jednymi z najpiękniejszych wyznań wiary w polskość. Oznaczają one, że postawa nieugięta, wymagająca powiedzenia „NIE", nawet wobec ryzyka największej ofiary, śmierci, wynika z decyzji podążania drogą antenatów, którzy pozostawili nam w spadku testament moralny. Ten testament to nakaz „zachowywania się jak trzeba", czyli dokonywania takich wyborów życiowych, w których patriotycznie ukształtowane sumienie podpowiada – jaka droga jest wyborem propolskim, a jaka umiejscawia człowieka w obozie zaprzaństwa i zdrady.

Postrach Moskali

Książę Józef, emblemat polskości w dobie napoleońskiej, stał się także w tej mierze jednym z elementów mitu polskiego, na którym budowane było wychowanie kilku kolejnych pokoleń, aż po to wkraczające w dobę wielkiej wojny, mającej nam przynieść niepodległość. Zbyt dużym zresztą uproszczeniem jest liczenie czasu zaboru i niewoli podsumowywane liczbą 123 lat. W końcu okres Księstwa Warszawskiego był czasem Polski niepodległej. Owszem, będącej w niezwykle silnych związkach z Francją i Bonapartem, ale suwerennej w swych decyzjach – to polityczne małżeństwo Polski z Francją nie było narzucone siłą, z zewnątrz, lecz stanowiło wynik wyboru i kalkulacji związanej z ideą odbudowy pełnej państwowości w wymiarze przedrozbiorowym, zadeklarowanej przez sejm polski w 1812 roku. Konfederacja Generalna ogłosiła, 28 czerwca, pełne wskrzeszenie państwa polskiego i odebranie Rosji Ziem Zabranych. Do tego oczywiście potrzebne było pokonanie Moskali. To, jak wiemy, nie powiodło się Napoleonowi, a powrót z Rosji zamienił się w przerażający pochód śmierci, w którym mróz zbierał śmiertelne żniwo w szerach Grande Armée. W czasie zmagań z Moskalem Polacy zapisywali najpiękniejsze karty w historii polskiego oręża. Nasi Szwoleżerowie byli postrachem kozaków. W pamiętnikach szwoleżera Józefa Załuskiego zachowały się opisy niesamowitych zachowań Polaków w trakcie odwrotu Francuzów. Nie bez przyczyny to nasi żołnierze stanowili ariergardę – osłaniając plecy żabojadów. Bo to Polaków Moskale bali się jak ognia.

Honor armii

Opisał też Załuski jednego z tych „najwierniejszych z wiernych" – pułkownika Pawła Jerzmanowskiego. Pułkownik walcząc w Rosji, był już weteranem o dobrej znajomości nie tylko wroga, lecz także psychiki własnego żołnierza, m.in. dbał, by ludzie ze szwadronu byli zawsze wyspani. Wjeżdżał do wiosek dosłownie pod samym nosem kozaków, ustawiał straże na wszystkich możliwych wejściach i dawał się wyspać wojsku we w miarę godnych warunkach. Co więcej – żołnierz mógł tam zjeść, a i dla koni znajdowano jakąś paszę. Wszystko oparte było na ryzyku, odwadze, ale jednocześnie przekonaniu, że taka twarda, harda postawa wzbudza szacunek. I u swoich, i u wroga. Po noclegu nieraz okazywało się, że armie się przesunęły, a wioska jest już na terenie Moskali. Jerzmanowski dawał wówczas rozkaz do nagłej szarży spomiędzy budynków, dzięki zaskoczeniu pokonywano przeciwnika i przedostawano się do swoich. „Gorliwość Jerzmanowskiego dochodziła do tego stopnia – zanotował Załuski – że jeżeli się zdarzyło, iż w tych codziennych utarczkach tylnej straży szwoleżer jaki przedmiot mundurowy utracił, np. że mu czapka spadła, formowano szwadron i robiono szarżę dla odzyskania straconego przedmiotu, żeby się nieprzyjaciel tym jakoby trofeum poszczycić nie mógł". Skutek był taki, że kozacy tak strasznie się nas się bali, że kurtki mundurowe naszych szwoleżerów były w cenie w Armii Francuskiej, chodziły jako przedmioty „magiczne", które zakładane na żołnierza powodowały lęk u wroga. Jednak był w tym jeszcze ważny element – zachowań honorowych, związanych z twardą, nieugiętą, niezłomną postawą.

Jak kończył opowieść o Jerzmanowskim Załuski? „Tak więc nasz pułk zakrywał ostateczną kolumnę armii francuskiej aż do Elby i kiedy Napoleon przybył z Francji, książę Eugeniusz, który od 16 stycznia 1813 roku objął był komendę, przedstawił mu pułkownika Jerzmanowskiego, jako oficera nadzwyczajnego, któremu winien jest wiele, a szczególnie zachowanie honoru armii".

Tego samego roku, w październiku, doszło pod Lipskiem do bitwy, która przeszła do historii pod nazwą Bitwy Narodów (to ją upamiętnia nazwa hali we Wrocławiu, zwana Halą Stulecia, choć przyjmując perspektywę polską, a nie niemiecką, pruską, powinna nosić imię księcia Józefa). W czasie bitwy, w dramatycznej sytuacji zginął książę, który uznał, iż lojalność, dane słowo, trwanie przy sojuszniku, nawet wtedy, gdy wichry wojny wieją w drugą stronę, jest powinnością człowieka honorowego. Po drugiej stronie znajduje się obszar sprzeniewierzenia ideałom i zdrady. Nie ma tu światłocieni, szarości. Jest wyraziste „albo-albo". Tym jaśniej błyszczy postać księcia Pepi, im mocniej przypomnimy sobie postawę jego stryja, króla Stanisława Augusta Poniatowskiego. Podobno gdy w 1792 roku Józef Poniatowski dowiedział się o przystąpieniu króla do Targowicy, wyglądał jak rażony gromem…

eprasa.pl 506c78f0aa

Bronić całości Polski

Dwie dekady wcześniej zaś inny Polak, także kierowany wewnętrznym odruchem, głosem sumienia polskiego, usiłował nie dopuścić do aktu grabieży polskiej ziemi. 19 kwietnia 1773 roku poseł na sejm, Tadeusz Reytan, wraz z posłami Samuelem Korsakiem i Stanisławem Bohuszewiczem sprzeciwiali się zawiązaniu konfederacji pod przewodnictwem Adama Ponińskiego, która miała umożliwić zatwierdzenie aktu rozbioru. Scena, upamiętniona przez Matejkę, ma niezwykły, symboliczny, najmocniejszy jak się da wymiar polskiego „Nie!" rzucanego obozowi zdrady. „Chyba po moim trupie" – krzyczał Reytan, rozdzierając szaty na piersiach i tarasując wyjście z sali sygnatariuszom. Zresztą, co ważne, czyn Reytana nie był jedynie wykwitem jego własnego patriotyzm, czy też wskazaniem sumienia w wymiarze osobistym. W końcu imć pan Tadeusz otrzymał, jako poseł nowogrodzki, wyraźne instrukcje ze swego sejmiku: „Bronić całości Polski z narażeniem życia i mienia". Cóż za niesamowita, piękna instrukcja! Reytan, popierany przez Korsaka i posłów litewskich, został przez sąd konfederacji ukarany zaocznie za swe „wichrzycielstwo" na kary kryminalne i utratę (konfiskatę) majątku. Cała ta słynna scena, rozgrywająca się na sali sejmowej, miała jeszcze jedno, istotne pendant – to mocarstwa zaborcze wydały nakaz (!), by salę opróżniono! Ale Reytan, Korsak i Bohuszewicz nie zamierzali słuchać Moskali czy Prusaków. Co więcej, zablokowali posłów chcących wyjść z pomieszczenia. Reytan zaklinał ich, by ojczyzny nie sprzedawali, załamywał ręce, zasłaniał wyjście, rzucając się na ziemię i krzycząc, by po jego ciele przeszli ci, którzy chcą ciało Polski rozczłonkować. No i znaleźli się posłowie, którzy zaczęli przez niego „przestępować". Pierwszy był Jezierski. Po nim następni. Trzydzieści sześć godzin trwał ów strajk Reytana, który na znak protestu także nic nie jadł. I dopiero po owym długim czasie, zdruzgotany tym, co się stało, poseł z Nowogródka opuścił salę. 8 sierpnia 1780 roku, w swej rodzinnej Hruszczówce, popełnił samobójstwo. Nie mógł znieść ciężaru narodowej zdrady – którą widział na własne oczy… Wybór znowu kosztuje życie. Mówienie „nie" jest zadaniem trudnym i obciążającym.

Szlak honoru

Po śmierci księcia Józefa pozostała nie tylko narodowa żałoba, lecz takze pamięć o nim oraz o jego postawie. Młody kapitan Wilczek, który już za rządów Rosjan w Warszawie nie był w stanie patrzeć na upokorzenia serwowane polskiemu wojsku przez księcia Konstantego, też w końcu palnął sobie w łeb. Potem nadeszły czasy kolejnych powstań i zrywów. Wszystkie miały formę sprzeciwu wobec opresji i wiązały się z najbardziej dramatycznymi wyborami, w których na szali trzeba było postawić zdrowie, życie, majątek rodzinny. Po powstaniu listopadowym ogień walki nie wygasł całkiem – była przecież partyzantka Zaliwskiego. A po powstaniu styczniowym? Śmierć księdza Brzóski nastąpiła w wiele miesięcy po powieszeniu przez Moskali Traugutta i jego współpracowników. Wreszcie w roku 1866 wybuchło, ciągle mało znane, powstanie zabajkalskie, w którym iskrę rzuciła grupa zesłańców, „niewolników" budujących drogę wokół jeziora Bajkał. Czy mieli szansę na wygraną? Praktycznie żadnej. Pomimo tego postanowili się bić, próbować przez góry Mongolii i Chin przedzierać do ojczyzny. Szlakiem honoru. Szlakiem księcia Józefa.

Po nich przyszły kolejne pokolenia. W dobie przed wybuchem I wojny światowej, na stulecie śmierci księcia Pepi wydawano książki i broszury o nim. A biografia Szymona Askenazego stała się jedną z lektur budujących ducha nowej polskiej armii, lepionej rękami najlepszego „budowniczego" – komendanta Józefa Piłsudskiego.

Ułani Byliny czy szwoleżerowie z Drugiej Brygady, którzy szarżowali pod Rokitną, mieli czapki paradne wzorem nawiązujące bezpośrednio do epoki napoleońskiej. Były symbolem nieprzerwanej walki o niepodległość, wskrzeszały blask napoleońskich orłów. Po Legionach sprzed ponad wieku do boju ruszały kolejne Legiony. Dzieło i testament księcia Józefa odzywały się w piersiach młodych strzelców ruszających w bój z krakowskich Oleandrów. W wiek po śmierci człowieka, któremu Bóg powierzył honor Polaków. ■

Dzieło i testament księcia Józefa odzywały się w piersiach młodych strzelców ruszających w bój z krakowskich Oleandrów. W wiek po śmierci człowieka, któremu Bóg powierzył honor Polaków.

eprasa.pl 506c78f0aa



Ewa Polak-Pałkiewicz



Powrót do domu ze świata po drugiej stronie lustra

„Nawrócenie przypomina przejście przez komin ze świata po drugiej stronie lustra, gdzie wszystko jest niedorzecznie zdeformowane, do świata prawdziwego, stworzonego przez Boga, a wtedy zaczyna się cudowny i niekończący się proces odkrywania Go" – pisał wiele lat po odnalezieniu się w Kościele katolickim Evelyn Waugh, pisarz należący dziś do ścisłej czołówki autorów katolickich Anglii.

eprasa.pl 506c78f0aa

W słynnej powieści Evelyna Waugha „Znowu w Brideshead", której akcja toczy się częściowo w czasie ostatniej wojny, jej bohater opisuje spotkanie z domem dawnych przyjaciół, w którymi często bywał. Zabytkowy pałac pustoszeje pośród wojennego chaosu. Właścicielka służy rannym gdzieś daleko. Bohater, kapitan stacjonującego w pobliżu oddziału – a w istocie sam autor, bo książka ma cechy autobiograficzne – niedawno nawrócony na katolicyzm, odwiedza pałacową kaplicę. Nic tu nie wskazuje na szalejącą wokół nawałnicę. „[…] lampa w stylu art paliła się znowu przed ołtarzem. Odmówiłem modlitwę, […] kuta okrągła lampa o wschodnim wzorze, zapalona ponownie przed obitymi miedzią drzwiczkami tabernakulum, płomień, który starzy rycerze widzieli ze swoich grobowców, ten płomień znowu się pali dla innych żołnierzy, znajdujących się z dala od domu, odległych sercem bardziej niż Akra czy Jerozolima[…]".

Kapliczka z figurkami świętych

Evelyn Waugh (1903–1966) należy do ścisłej czołówki pisarzy angielskich. We wspomnieniach i tomie korespondencji, którą wydano po jego śmierci, zawarł kronikę swojego życia, także duchowego. Zadawał pytania, dlaczego tak wielu współczesnych Anglików zerwawszy z religią, zapisało się na kursy taniej nowoczesności, na których w mozole i pocie czoła „gubią zamiast odnajdywać". Oddalili się od źródła życia na znacznie większą odległość niż Akra czy Jerozolima.

Waugh opisał także dramatyczną historię utraty wiary. Był synem londyńskiego wydawcy i krytyka literackiego Arthura Waugh, który oprócz głębokiego przekonania, że „wiara w Boga oraz imperium angielskie to synonimy", odznaczał się zagadkowym niepokojem o syna. Lękał się, by nie odstąpił od drogi wytyczonej przez wyznawany w rodzinie anglikanizm i nie „zboczył" ku Rzymowi. Konwersje na katolicyzm wśród ludzi pióra, artystów, uczonych zdarzały się w Anglii w tamtym czasie nader często, począwszy od słynnego przejścia do Kościoła katolickiego wybitnego teologa ks. Johna Newmana, późniejszego kardynała, beatyfikowanego przez Benedykta XVI. Arthur Waugh zadedykował dziewięcioletniemu Evelynowi wiersz, który zaczynał się od słów: „Wszystkie drogi ponoć wiodą tam, gdzie Rzym stoi, / Lecz ty, Evelynie, zostań w domu twoim…", a kończył płomiennym zapewnieniem: „Pomnij, że Anglia wciąż jeszcze na przedzie – / Jej to serce i dusza, jej Wiara prym wiedzie". Tymczasem Evelyn urządził w swoim pokoju kapliczkę z figurkami świętych, lichtarzami i kwiatami. W mosiężnej popielniczce palił przed nimi kadzidła i odprawiał modlitwy. Tematem rysunków wrażliwego na piękno liturgii chłopca były anioły i święci. Ojciec obserwujący z niepokojem „pasję rytualistyczną" syna, nie przypuszczał, że z niej właśnie zrodzić się miała po latach głęboka wiara katolika i „miłość do Mszy łacińskiej". Rodzice umieścili chłopca w szkole prywatnej. Prestiżowy Lancing College miał na celu „zdrową edukację anglikańską dla klas wyższych", jak deklarował jej założyciel, zaznacza biograf pisarza Joseph Pearce.

Wieże imponującego kościoła, które rzucały cień na kamienne budynki szkoły, były niższe jedynie od opactwa w Westminsterze i katedry w York. Nastrój, jaki stwarzało otoczenie, idealnie odpowiadał religijnej i wrażliwej naturze chłopca. Evelyn zaczął zagłębiać się w Biblię; pochłaniając zarazem chciwie „Boską Komedię". „Jak na ironię", pisze Joseph Pearce, „to właśnie pobyt w Lancing College przyczynił się do utraty wiary przez Waugha. Ściślej mówiąc, siłą sprawczą sceptycyzmu religijnego stał się propagowany tam modernizm teologiczny. Waugh zapamiętał destrukcyjny wpływ zwłaszcza jednego z nauczycieli. Młody agnostyk, pełen werwy nauczyciel religii, Rawlison, przybył do szkoły w 1918 roku „i natychmiast, choć nieświadomie, zabrał się do kruszenia wiary piętnastoletniego Evelyna Waugha" i jego kolegów.

„Talent pedagogiczny" biskupem

Rawlison miał wiele osobistego uroku i talent pedagogiczny. Evelyn został prymusem kółka teologicznego Rawlinsona i jego zapatrywania stawały się coraz bardziej postępowe. Na kartce z rozprawką, w której sam zaproponował po raz pierwszy „coś na kształt agnostycyzmu", jego nauczyciel napisał: „Brawo, nielichy z ciebie teolog, Waugh!". Dalej wypadki potoczyły się z szybkością lawiny. „Waugh pod kierownictwem Rawlinsona przeszedł sprawnie do lichej teologii, by wkrótce ją odrzucić[…], teologia Rawlisona zaczynała od rozluźnienia formy, po czym stopniowo traciła wszelką formę". Czyż ukoronowaniem „postępu" w teologii nie jest jej zniknięcie? – pyta Pearce. Ambitny nauczyciel wiodący swoich uczniów, pełnych entuzjazmu dla poznawania prawdy, „zostawiwszy za sobą ruiny i zgliszcza, jeśli spojrzeć na skutki nauk głoszonych w Lancing", został wkrótce anglikańskim biskupem Derby.

Siedemnastoletni Evelyn zanotował w dzienniczku: „W ciągu minionych tygodni przestałem być chrześcijaninem (nic wielkiego!) […] już przynajmniej od pół roku jestem ateistą – pod każdym względem". Odnotowywał narastającą z każdym dniem niechęć, a wręcz odrazę do rytuałów kościel-

FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl 506c78f0aa

nych. Sakrament bierzmowania swoich rówieśników odebrał jako czystą groteskę. „Stadko wystraszonych dzieci składa mnóstwo ślubów, których nigdy nie dotrzyma, a wszystko w obliczu wystrojonego w pstre szmatki przebierańca jak z obrazka Dulaca oraz ponurych i groźnych nauczycieli" – zanotował. „Były arcyrytualista zakochany w ceremoniale i scenerii anglokatoliocyzmu, przedzierzgnął się w cynicznego antyklerykała" – kwituje Pearce.

W szkole całkowicie zarzucono apologetykę – obronę i rozumowe uzasadnianie prawd wiary, tak ważne dla młodych ludzi. „Wysuwaliśmy wszelkie obiegowe wątpliwości, i pozostawały one bez odpowiedzi. Zachęcano nas do »myślenia samodzielnego«, a takie myślenie wiodło nas ku wnioskom negatywnym" – wspominał pisarz. Jednemu z przyjaciół, z którymi włóczył się po łąkach w okolicach Lancing, młody Waugh aspirujący ku skrajnemu cynizmowi, udzielił kategorycznej nauki: „Musisz chodzić z nosem przy ziemi, Carey, jeśli tylko spojrzysz w górę albo nawet przed siebie, jesteś skończony [...]. Człowiekiem rządzi wyłącznie własny interes, Carey [...]. Jestem pewny, że nie istnieje żadne ostateczne dobro ani zło".

Przed maturą połowa jego klasy była już zdeklarowanymi agnostykami lub ateistami. Nigdy nie podsunięto im żadnego antidotum na młodzieńcze zwątpienia. Ów dryf w stronę pseudointelektualnej niewiary przywiódł wkrótce Waugha na skraj rozpaczy. Niespełna dwudziestoletni absolwent wyznaniowej szkoły gwałtownie zerwał kontakt z rodzicami. Popadł w alkoholizm, podejmował parokrotnie próby samobójcze.

Powrót do domu

Wczasie studiów w Oksfordzie Evelyn natychmiast dał się wchłonąć pijackiej kompanii zblazowanych młodzieńców z zamożnych domów, Klubowi Hipokrytów, którego został sekretarzem. Ratował go jednak pociąg do dobrej literatury, umiał też docenić obecność na uniwersytecie ludzi nieprzeciętnej umysłowości. Prawie wszyscy byli świeżej daty konwertytami na katolicyzm i wprowadzili go w krąg niebanalnych lektur i poważnych dysput o wierze i Kościele. Oczywiście wciąż namiętnie kłócił się z nimi „o Kościół katolicki". Po jednym z wykładów słynnego konwertyty Ronalda Knoxa, syna anglikańskiego biskupa, który został katolickim księdzem i cenionym pisarzem, a który powoływał się na twórczość Gilberta K. Chestertona, Waugh wyznał w jednym z listów, że „w samym sercu jego wojowniczego agnostycyzmu »Chesterton mruga zachęcająco jak gwiazda«". I nie mógł nie uznać za arcydzieło wydanej właśnie książki Chestertona „Wiekuisty człowiek".

Począwszy od roku 1926 Waugh na przemian upijał się do nieprzytomności i rzucał się na książki katolickie, które pochłaniał w ciągu jednej nocy. Przerwał studia w Oksfordzie. Został wyrzucony z posady prowincjonalnego nauczyciela za pijaństwo. W przerwach ataków rozpaczy marzył, by zostać księdzem. W stanie psychicznego rozchwiania

W świecie intelektualnym i artystycznym wieść o nawróceniu Waugha na katolicyzm wywołała szok. Dzienniki londyńskie pełne były słów wyrażających głęboką konsternację, że pisarz tak zdolny, „cieszący się sławą zaprzysięgłego rzecznika nowoczesności", mógł wstąpić do Kościoła rzymskiego.

i zarazem u progu definitywnej duchowej przemiany napisał książkę „Zmierzch i upadek", którą krytyka oceniła pochlebnie. Ważnym argumentem na rzecz wiary i przejścia do Kościoła katolickiego okazała się decyzja jego sympatii, Oliwii Plunket Green, słynnej piękności, wcześniej słynącej w środowisku artystycznym z ekscentrycznych póz i strojów, znanej ze snobizmu, dekadenckich obyczajów, prowokującego zachowania i alkoholizmu. Pod wpływem mistyków hiszpańskich, św. Teresy z Avila, św. Jana od Krzyża, przeżyła głębokie nawrócenie i – wraz ze swoją matką Gwen Plunket Green, arystokratką, także obracającą się w kręgach artystycznej bohemy – przyjęła wiarę katolicką w 1930 roku. Do końca życia pozostała gorliwą katoliczką, żyła w samotności. W tym samym roku do Kościoła katolickiego wstąpił 26-letni Evelyn Waugh.

Wprowadził go tu jezuita, ojciec Martin D`Arcy. O nawróceniu pisarza napisał po latach: „[…] połączenie chorej duszy, umęczonej i karmiącej się pustką, ze

eprasa.pl 506c78f0aa

stanowczym umysłem ustrzegło go przed uwiedzeniem przez cieszące się popularnością bałwany [...]. Chciał poznawać i rozumieć to, co uważał za objawienie Boże [...]. Osobiście nigdy nie spotkałem się z katechumenem, który wiarę wiązałby tak silnie z prawdą [...]. Nieugięte jasne myślenie wspomożone łaską przyniosło mu w końcu odpowiedź, której szukał, a owoce tego możemy oglądać w tym, co potem napisał".

Pragnienie prawdy, najbardziej podstawowy głód człowiek – stłumione w okresie dzieciństwa i młodości – przezwyciężyło załamanie, gorycz i rozpacz młodego pisarza.

Wobec zagrożenia chaosem

W świecie intelektualnym i artystycznym wieść o nawróceniu Waugha na katolicyzm wywołała szok. Dzienniki londyńskie pełne były słów wyrażających głęboką konsternację, że pisarz tak zdolny, „cieszący się sławą zaprzysięgłego rzecznika nowoczesności", mógł wstąpić do Kościoła rzymskiego. „Jak to możliwe, że obrońca wszystkiego, co nowe, przedzierzgnął się w zwolennika wszystkiego, co minione?".

Sam pisarz podkreślał, że dokonał wyboru cywilizacji chrześcijańskiej, która przeciwstawia się nawałnicy chaosu. Jedynej zresztą prawdziwej cywilizacji, utożsamianej przez niego z moralną konstytucją Europy. Cywilizację naszego kontynentu „zrodziło chrześcijaństwo i bez niego nie ma ona znaczenia ani mocy, którym warto byłoby dochować wierności" – mówił. Jej przeciwieństwem jest ideał materialistycznego, zimnego, zmechanizowanego państwa. „Nie jest dłużej możliwe uznawać korzyści płynące z cywilizacji i jednocześnie odrzucać nadprzyrodzoną postawę, na której się ona opiera" – wyjaśniał. Nie da się też poprzestać na narodowym Kościele Anglii, który stawał się już w czasach Waugha „jedynie kościołem klubu golfa i garnizonu". Zaś Kościół katolicki „nie jest klubem towarzyskim posługującym się swoistym słownictwem, lecz przyrodzonym miejscem człowieka, z którego ludzie na własną zgubę się wypędzają".

Wyspa trzeźwości

Nieprzeliczone konwersje anglikanów na katolicyzm u schyłku XX wieku i obecnie przypominają nieco sytuację sprzed prawie stu lat. „Na początku lat trzydziestych fala nawróceń na katolicyzm zmieniła się niemal w potop i przez całą tę dekadę w samej Anglii rocznie notowano około dwudziestu tysięcy nawróceń" – pisze Pearce, zdając fascynujące relacje z historii nawróceń i konwersji na katolicyzm takich osobistości życia intelektualnego i artystycznego, jak: Gilbert K. Chesterton, Robert H. Benson, Ronald Knox, Maurice Baring, Thomas Stern Eliot, L. Sayers, Edith Sitwell, John Gray, Alfred Noyes, Arnold Lunn, Roy Campbell, Christopher Dawson, Brocard Sewell, Edmund Taylor Whittaker, Hugh Ross Williamson, Ernst F. Schumacher (z pochodzenia Niemiec, z wyboru Anglik) i wielu innych.

Waugh należy dziś do ścisłej czołówki pisarzy katolickich Anglii, jego książki osiągają rekordowe nakłady. Tajemnicą tej popularności jest fakt, że odkrył, jak podkreśla jego biograf, „w pijanym świecie wyspę trzeźwości, światło za zasłoną mroku, głębię za przybrzeżną płyciną". Wiele lat po odnalezieniu się w Kościele katolickim pisarz podsumował swoją przemianę: „Nawrócenie przypomina przejście przez komin ze świata po drugiej stronie lustra, gdzie wszystko jest niedorzecznie zdeformowane, do świata prawdziwego, stworzonego przez Boga, a wtedy zaczyna się cudowny i niekończący się proces odkrywania Go".

Mógłby powtórzyć za Hilaire Bellokiem: „Wiara, Kościół katolicki, odkryty i uznany, tryumfalnie wkracza w rzeczywistość niczym dostrzeżony na morzu ląd, który z początku braliśmy za chmurę. Im bardziej się do niego zbliżamy, tym bardziej jest prawdziwy, tym mniej fantazyjny. Im bardziej bezpośredni i zewnętrzny jest jego głos, tym mniejsze wątpliwości budzi jego reprezentatywny charakter, jego »osoba«, jego głos. Metafora nie polega na tym, że ludzie się w nim zakochują, ale na tym, że odnajdują dom. »To jest to, czego szukałem. Tego potrzebowałem«. Jest to sam wzór umysłu, matryca, do której w każdym miejscu pasuje obrys osamotnionej i bezbronnej duszy" (z listu H. Belloka do Katherine Asquith).

Frank Sheed, wydawca dzieł konwertytów, którzy wstąpili do Kościoła katolickiego w latach 20. i 30., określał tę falę nawróceń jako „katolickie odrodzenie intelektualne". Zwracał przy tym uwagę, że katolików z urodzenia jest wśród angielskich pisarzy i artystów cieszących się zasłużoną sławą zdecydowanie mniej. „Nawróceni stanowią co najwyżej dziesięć procent wspólnoty katolików: to, że osiemdziesiąt procent pierwszorzędnych pisarzy wywodzi się z tych dziesięciu procent, wydaje się dowodzić już to jakiejś niebywałej giętkości języka u nawróconych, już to jakiegoś niedowładu w tej mierze u katolików z urodzenia". Hilaire Belloc, który nie musiał się nawracać, a był dla wielu niedawnych agnostyków ogromną inspiracją, uważał, podobnie jak Chesterton, że wątpliwości sceptyków nie są jedynie ich prywatnym problemem – wprost uderzają w nasze ziemskie życie, wprowa-

eprasa.pl 506c78f0aa

dzają zamęt w nasz świat, zwłaszcza w sposób myślenia, niszczą zdrowy rozsądek. Nowe pogaństwo jest wszechogarniającym chaosem, pisał w 1929 roku. Trzeba mu stawić czoła, by nie doszło do cywilizacyjnej katastrofy. „Jednak katolicy angielscy – nieświadomie i instynktownie – uchylają się przed obowiązkiem. To wy, nawróceni, wykonujecie całą tę potrzebną pracę".

Doktorku nie do zniesienia!

Pisarz i poeta Hilare Belloc (1870–1953) był jedną z najbarwniejszych i najbardziej wyrazistych postaci życia literackiego i kultury angielskiej tamtego czasu. Katolik z krwi kości, nieustraszony szermierz i szyderca (gdy było to nieodzowne), a na co dzień człowiek pogodny i tryskający humorem, miłośnik wsi angielskiej.

Z pochodzenia Francuz, angielski patriota, mocno zaangażowany w życie publiczne. „Panowie, jestem katolikiem" – oświadczył w czasie swego pierwszego publicznego wystąpienia w 1906 roku, gdy kandydował w wyborach do Izby Gmin. „Jeśli to możliwe, codziennie uczestniczę w Mszy świętej. To [wyjął z kieszeni różaniec] jest różaniec. Codziennie klękam i odmawiam te paciorki. Jeżeli odrzucicie mnie ze względu na moją religię, będę dziękował Bogu, że oszczędził mi poniżenia bycia waszym reprezentantem". Mimo zjadliwej kampanii przeciwników, której głównym hasłem było: „Nie głosuj na Francuza i katolika!", pisarz został wybrany. W działalności politycznej równie ostry jak w swym pisarstwie, cięty język łączył z żywym poczuciem humoru, polemiki były jego namiętnością. „W demokracji mamy prawo odpowiadać na pytania, lecz nie mamy prawa stawiać pytań" – pisał sarkastycznie w „Daily News", „od stawiania pytań nadal jest polityczna arystokracja".

Swojego przyjaciela Gilberta K. Chestertona bronił żarliwie przed atakami doktrynalnych liberałów. W jednym z satyrycznych wierszy z cyklu „Wierszy do wykładowcy", lubianym szczególnie przez studentów, pisał:

Doktorku cytowany na własną zgubę,
Akademiku nieznany, rozumie kaleki,
Bądź hańbą mego wiersza okryty na wieki.
Nieprzyjemny Doktorku o sercu z kamienia,
Doktorku mały, Doktorku nie do zniesienia,
Chłodny Doktorku o kwaśnym oddechu,
Doktorku wzgardzony, Doktorku pełen grzechów […]
Powoli ustaję, lecz zaczekaj do wtorku,
Mój gniew jeszcze nie wygasł, nikczemny Doktorku,
Znów napiszę o tobie, zmoro utrapiona,
Coś ważył się znieważyć mego Chestertona!...

Gilbert K. Chesterton, dziś cieszący się o wiele większą sławą niż niesłusznie zapomniany Belloc, był nie tylko przyjacielem, lecz także uczniem pisarza. Swoje nawrócenie w dużej mierze zawdzięczał właśnie jemu. Dwa dni po oficjalnym przejściu autora „Kuli i krzyża" do Kościoła katolickiego (w lipcu 1922 roku), Belloc pisał w liście do Chestertona: „Muszę teraz coś powiedzieć (nie mogłem powiedzieć tego wcześniej, zanim uczyniłeś ten krok […]. brzmiałoby to jak wymyślona namowa). Kościół katolicki jest eksponentem Rzeczywistości. Jest prawdziwy. Jego nauczanie w sprawach dużych i małych jest opisem tego, co jest. To właśnie akceptuje podstawowy akt rozumu. To właśnie potwierdza świadomie wola".

Belloc był gorącym obrońcą Kościoła wojującego – w obronie jedynej Prawdy. Stopniowo stawał się też coraz bardziej wojowniczy w sprawach politycznych, jak podkreśla Joseph Pearce.

Złudzenia demokracji

Belloka irytowała pozorowana demokracja, fasadowy parlamentaryzm. Niepokoił go także gotujący się do skoku socjalizm, co było tak widoczne w pierwszym ćwierćwieczu XX wieku w społeczeństwie angielskim, w teatralnych i zwodniczych dysputach toczących się w parlamencie i na łamach prasy. Belloc widział, jak dalece społeczeństwo przemysłowe ugrzęzło w ślepej uliczce. Przewidywał trzeźwo, że kolejne, które przyjdzie po nim, będzie w jeszcze gorszej sytuacji – będzie par excellence społeczeństwem niewolników (pisał o tym w książce „The Servile State"). Realną alternatywę widział w społeczeństwie dysponującym prawem własności do prywatnych dóbr materialnych poddanych szerokiej dystrybucji (o tym, jak dalekowzroczne były jego przewidywania, można się przekonać, czytając społeczne rozdziały encyklik Benedykta XVI). Razem z grupą przyjaciół domagał się systemu podatkowego i innych bodźców sprzyjających drobnym przedsiębiorstwom, a nie rekinom biznesu. Był entuzjastą społeczeństwa agrarnego i powrotu do prostszego i bardziej naturalnego stylu życia. Daleki był jednak zawsze od wyznawania modnych dziś, a wtedy kiełkujących ekologicznych utopii.

„Cywilizacja przemysłowa" – prorokował w 1928 roku – „która dzięki Bogu uciska tylko tę małą część świata, z którą jesteśmy nierozerwalnie związani, rozsypie się, kładąc tym samym kres swej nieprawdopodobnej nikczemności […]. Albo rozsypie się, pozostawiając po sobie pustynię, albo uczyni z ludzkich mas zastępy zadowolonych niewolników

eprasa.pl 506c78f0aa

zarządzanych przez garstkę bogatych. Wybór należy do was". W jednym z satyrycznych wierszyków szydził z infantylnych nadziei na techniczno-przemysłowy raj: „Za kilka niedługich lat / Ropy nadejdzie czas. / Niech cieszy się cały świat, / Obetrze łzy każdy chwat. / Praca nie zmęczy już was".

Belloc podkreślał nierozerwalne połączenie sfery religii i polityki. Był przeświadczony, że współczesny kapitalizm przemysłowy mógł zaistnieć i rozwinąć się tylko dlatego, że dokonano bezwzględnej i barbarzyńskiej grabieży cywilizacji katolickiej w czasach reformacji. Konwersja na katolicyzm tak znaczącej części anglikanów – zarówno w jego czasach, jak i przed paroma dekadami – potwierdza słuszność diagnoz Belloka. Postawa, jaką zajmował publicznie, zawsze była kwintesencją antyekumenizmu (jeśli ekumenizmem nazwiemy dzisiejsze próby godzenia wszystkiego ze wszystkim w dziedzinie religijnej). Twierdził niezmiennie, że rzeczywiste porozumienie między ludźmi – narodami, rasami i klasami – możliwe jest tylko w oparciu o ortodoksyjny katolicyzm. Wszystko to, co odchodzi od płaszczyzny, jaką wyznacza nauczanie rzymskiego Kościoła, jest jego zdaniem polityczną grą, mistyfikacją i maskaradą. Głosił, że Kościół katolicki jest jedyną siłą twórczą Europy.

Lunna dość brutalnie Ronald Knox napisał do niego: „Dziękuję panu za uznanie, bo ufam, że jest to jakieś uznanie, jeśli nawet podobne temu, jakie względem kapitana Hooka żywił goniący go krokodyl". Sam Lunn pracując nad książką „Roman Converts", odkrył, że „większość wierzeń przypisywanych bezkrytycznie katolikom nie była w istocie ich wierzeniami", a oni sami mają nie tylko wielką klasę intelektualną, lecz także intelektualną uczciwość. Coraz bardziej irytowało go podejście do chrześcijaństwa ludzi pokroju H. G.Wellsa, Huxleya i „wielu innych proroków nowoczesności", widział w nim „przygnębiającą mieszankę wyszczekanego zadufania z ignorancją". W liście do popularnego w prasie ateistycznego filozofa, C.E.M. Joada, zaznaczał, że ma pretensję do typu krytyki wobec chrześcijaństwa, jaką on reprezentuje nie dlatego, że odmawia uznania chrześcijaństwa, lecz dlatego, „że nie potraficie się powstrzymać przed krytykowaniem wiary, dla której zbadania jesteście zbyt leniwi". Wielu czytelników Arnolda Lunna odkrywało w nim – po jego nawróceniu w 1933 roku, w dużej mierze za sprawą zetknięcia się z dziełami św. Tomasza z Akwinu – najbardziej niezmordowanego apologetę katolickiego w całym pokoleniu. W XX wieku odrodzeniu katolickiemu towarzyszyło wyraźne odrodzenie neotomistyczne, podkreśla Pearce.

> Sam Waugh podkreślał, że dokonał wyboru cywilizacji chrześcijańskiej, która przeciwstawia się nawałnicy chaosu. Jedynej zresztą prawdziwej cywilizacji, utożsamianej przez niego z moralną konstytucją Europy.

Wśród żarłocznych krokodyli

W pismach Belloka czytelnicy odkrywali „sens europejskiej jedności, jaki stworzyła wiara a zniszczyła schizma", jak pisał inny gorący umysł tamtych czasów, nawrócony za sprawą Belloca, Arnold Lunn – podróżnik, alpinista (pionier wspinaczki na nartach i twórca nowoczesnego slalomu) oraz prozaik, przez długie lata jeden z najgłośniejszych przeciwników katolicyzmu i zaciekły krytyk nawróconych. Polemizując z nimi gwałtownie w swoich książkach, odkrył jednak ku swemu zdumieniu, że nie zamierzają oni odpowiadać w tym samym napastliwym tonie. Zaatakowany przez

Belloc cenił w apologetyce Lunna walor rycerskości. Obu pisarzy połączyło przyjęcie wiary zakorzenionej w rozumie oraz twórczość literacka czysta w formie, pełna nadziei, unikająca sentymentalizmu i czułostkowości, trafiająca do tych, którzy szukają dla wiary argumentów rozumowych. Obydwaj byli zwolennikami życia na wsi, obydwaj wiele zawdzięczali Europie kontynentalnej. „Belloc wyrażał coś, co również i ja czułem" – wspominał po latach Lunn swoje tajemnicze przeczucie późniejszego nawrócenia, gdy jako narciarz bywał tak często w Alpach. „W katolickich dolinach alpejskich czułem się jak u siebie w domu. Dzwon na Anioł

eprasa.pl 506c78f0aa

Pański, niewielkie górskie kapliczki, nie ociosana figurka jakiegoś miejscowego świętego w górskim kościółku, przemawiały do mnie językiem, który – jak w jakiś niejasny sposób odczuwałem – był kiedyś moim…".

Przestroga przed barbarzyńcą

Hilaire Belloc w niezapomniany sposób opisywał Nowego Barbarzyńcę: „Siedzimy i obserwujemy barbarzyńcę, tolerujemy go. W długich okresach pokoju zupełnie się go nie boimy. Bawi nas jego brak szacunku, jego komiczne odwrócenie naszych starych tradycji. Nasze stałe zasady pokrzepiają nas, więc się śmiejemy. Ale kiedy tak się śmiejemy, obserwują nas wielkie i straszne twarze. Są tuż za naszymi plecami i nie ma na nich cienia uśmiechu".

„Trudno sobie wyobrazić świat sprzed 2000 lat, zanim przyszedł Chrystus" – dodaje amerykańska autorka Randy Angel. „Jak to jest – żyć w pogańskim świecie, rządzonym przez strach i przesądy, w świecie bez sumienia i bez litości. W świecie, gdzie barbarzyńca czekał u bram, by gwałcić, rabować i deptać ślady cywilizacji". Randy Angel jest pewna, że dziś Nowy Barbarzyńca już nie czatuje u bram, żyje wśród nas. „Przehandlował opaskę biodrową na białą marynarkę lub cały elegancki garnitur, swoją włócznię zamienił na stopień naukowy. Może nawet postarał się o uśmiech na twarzy – lub maskę uśmiechu. Mówi nam wszystko o sobie i co zamierza zrobić. A my – tolerujemy go. Zapraszamy go nawet w publiczne miejsca, do szkół, a także do naszych domów. Nie boimy się go! Mówi, że przyszedł po nasze dzieci, a my mu je oddajemy. Uspokajamy nasze sumienia i śmiejemy się. Nie czujemy strachu […]".

Belloc był jednym z tych ludzi czynu, którzy widząc zagrożenie, nie cofnęli i nie zamilkli. Ten, któremu nawrócenie zawdzięcza tak wielu ludzi pióra w Anglii, nie szukał argumentów dla swoich zwątpień, które nawiedzały go jak każdego człowieka, trwał w prawdzie, której starał się służyć. „Moją decyzją jest wiara. Zbiorowa, zorganizowana. Osobowość, nauczanie. Rzecz, a nie teoria" – pisał w liście do Chestertona.

Gilbert K. Chesterton nie miał wątpliwości co do tego, jakim szaleństwem i katastrofą dla człowieka i świata jest odrzucenie filozofii realistycznej – i zarazem, że powrót do niej przez ludzi naszej cywilizacji jest tylko kwestią czasu. Bo w porównaniu z paradoksami Kanta, Hegla i pragmatystów, jest to filozofia zdrowego rozsądku. „Religia rzymskokatolicka będzie […] jedyną religią racjonalistyczną […]. powrót scholastyki będzie po prostu powrotem zdrowego psychicznie człowieka […]. Mówić, że nie ma bólu, lub substancji, lub zła, lub różnicy między człowiekiem a zwierzęciem, lub różnicy między czymkolwiek a czymkolwiek innym – to rozpaczliwy wysiłek, który ma na celu zniszczenie całego doświadczenia i poczucia rzeczywistości. Kiedy taka postawa przestanie być krzykiem mody, szybko się ludziom uprzykrzy i raz jeszcze poszukają czegoś, co nada kształt chaosowi i zachowa proporcje ludzkiego umysłu".

Dziś, gdy tak wielu ludzi na własną prośbę rezygnuje z używania rozumu i zadowala się karykaturalnym obrazem rzeczywistości kreowanym przez media, biograf Chestertona, Waugha i Belloka przypomina ich diagnozy dotyczące współczesności. Ich trafność budzi respekt. Sam zresztą autor tych biografii stał się „połowem" twórców, o których pisał.

Urodzony w 1961 roku Joseph Pearce, pochodzący z liberalnej rodziny o antykatolickich tradycjach, w młodości neofaszysta i rasista, przyjął katolicyzm pod wpływem lektury książek Chestertona, Belloka, Knoxa. Jako filolog i krytyk literacki zajął się analizą inspiracji katolickich w twórczości największych mistrzów języka angielskiego. Przedstawiając wizerunki swoich bohaterów i ich duchową walkę, ale także barwne i malownicze życie bardzo ze sobą zżytego środowiska artystycznego i intelektualnego tamtych lat, ludzi często mocno zaangażowanych w życie polityczne swojego kraju, nie wahał się ujawnić tych okresów ich życia, gdy zasilając szeregi „ułomnych, przegranych, wydrążonych ludzi" (z „Ziemi jałowej" T. S. Eliota) „nie dostrzegali pustki w swoim życiu powstałej po zniknięciu Boga". Wyzwolenie z jałowości, ustawicznych mdłości i poczucia obrzydzenia do samych siebie przychodziło wraz ze dostrzeżeniem, że „Kościół jest jedyną rzeczą, która zbawia człowieka od poniżającej niewoli bycia dzieckiem swojego czasu" (G. K. Chesterton).

W wykładzie wygłoszonym w Wielkiej Auli Uniwersytetu Londyńskiego w 1927 roku Chesterton mówiąc o groźbie bolszewizmu wiszącą nad Europą zaznaczył, że towarzyszy jej niebezpieczeństwo rozległego rozlania się wulgarności w całej sferze kultury. „[…] zło, przed którym pragnę przestrzec, nie jest nadmiarem demokracji, nadmiarem szpetoty, nie jest nadmiarem anarchii. Można je uchwycić następująco: jest równaniem w dół". Głębsze środki zaradcze przeciw temu złu, stwierdza, nie są natury politycznej, choć polityka musi być uwzględniana, lecz teologicznej. Ideę tę podchwycił J.S. Lewis i stała się ona centralną myślą jego dzieła. ■

Cytaty za: Joseph Pearce, „Pisarze nawróceni. Inspiracja duchowa w epoce niewiary", przekład Robert Pucek, Warszawa 2003.

eprasa.pl 506c78f0aa

Małgorzata Matuszak

Czym jest... bliskość

Bliskość ma miejsce przede wszystkim w relacjach z osobami, które są dla nas w jakiś sposób ważne, i jest wielowymiarowa. Możemy mówić o bliskości wynikającej z samej obecności człowieka, czyli tej czysto fizycznej; o bliskości emocjonalnej, związanej z odczuwanymi i przeżywanymi wspólnie uczuciami; o bliskości intelektualnej, która wiąże ludzi na poziomie możliwości rozumienia siebie nawzajem; i o bliskości duchowej, mogącej wiązać ludzi podzielających te same wartości i przekonania, wspierających się wzajem w duchowym rozwoju i wierze.

Bliskość nigdy nie jest poczuciem całkowitej jedności z kimś, ale jest przestrzenią, w której czujemy się przyjęci przez kogoś, akceptowani i kochani jako my właśnie. Przestrzenią, w której możemy być sobą. W tym też sensie bliskość daje nam wolność, nie tę negatywną, będącą negacją czegoś, lecz pozytywną, umożliwiającą bycie sobą w odniesieniu do drugiego człowieka, i do bycia razem z nim. Bliskość zakłada oddzielność, ale nie jest odcięciem się od kogoś. Wręcz przeciwnie, to w poczuciu bliskości z kimś możemy się otworzyć i poczuć ważnymi dla kogoś. Oddzielność bowiem nie wyklucza w tym przypadku więzi. Więź ta ma wszak wymiar wolnego związania z tym, co wspólne z drugim człowiekiem, nie jest zaś wiązaniem, które więzi. Więź, której towarzyszy bliskość, ma raczej wymiar przynależności do tego, co ludzi łączy, jako że oboje dobrowolnie i z radością w tym uczestniczą.

Dając komuś pełną bliskość, dajemy drugiemu możliwość doświadczenia naszej obecności w każdym wymiarze – na poziomie obecności fizycznej, duchowej, emocjonalnej i intelektualnej. Nie zawsze taka pełna bliskość jest możliwa. Często też zapominamy o tym, że będąc blisko przy kimś, możemy dać mu również możliwość uczestniczenia w innych jej wymiarach. Poprzestając na samej bliskości fizycznej, bywamy niedostępni emocjonalnie czy duchowo, a to wywoływać może u drugiego dojmujące poczucie samotności. Obecność fizyczna jest bowiem tym, co dopiero inicjuje bliskość, ale nie jest warunkiem wystarczającym dla wystąpienia innych jej form. Dopiero różnorodne formy bliskości, chociaż nie zawsze możliwie do uzyskania, dają nam poczucie szczęścia w byciu z drugim człowiekiem.

Trzeba też pamiętać o tym, że aby dać człowiekowi przestrzeń do bliskości z nami, potrzebna jest nasza zgoda na samych siebie i na drugiego człowieka. Jeśli nie kochamy siebie, tym bardziej komuś drugiemu nie możemy dać naszej miłującej bliskości. Tak samo jest z akceptacją i możliwością pełnego przyjęcia siebie w różnicach, które istnieją między ludźmi. Bliskość nie likwiduje bowiem sama z siebie różnic. Wręcz na odwrót, ona pozwala im się manifestować i wyrażać komuś drugiemu w swojej autentyczności. I pomimo istnienia różnic i tego, że ludzie nie są jednakowi, bliskość pozwala na przyjęcie tych różnic i danie prawa nam i komuś do tego, kim jesteśmy.

Czy bliskość jest możliwa bez rozumienia, poznania i doświadczania w pełni samego siebie? Można by powiedzieć, że tak, ale niekoniecznie w każdym wymiarze. Im więcej jest w nas otwartości na siebie, tym więcej też na kogoś drugiego. Jeśli jednak w jakimś wymiarze chcemy ukryć siebie, nie jesteśmy szczerzy sami ze sobą i zaprzeczamy sobie, tak samo będziemy traktować kogoś drugiego, nie dając mu tym samym możliwości do pełnego wyrażenia siebie.

Należy pamiętać, że pełna bliskość wymaga odsłonięcia się przed kimś drugim, który staje się w tym momencie lustrem, w którym widzimy siebie. Im więcej w widzianym odbiciu rys i im trudniej nam przyjąć siebie w pełni, tym trudniejsza będzie dla nas taka bliskość. Bo ów drugi w bliskości z nami ukaże nam to, czemu chcemy zaprzeczyć, a swoim zachowaniem wywoła w nas to, co w sobie odrzuciliśmy. Dlatego ucząc się bycia razem, musimy równocześnie uczyć się bliskości, budowania zatem przestrzeni, w której gotowi będziemy na przyjęcie zarówno kogoś, jak i siebie, ujrzanym w oczach drugiego. Bliskość jest trudna. Bliskość jest ryzykowna. Ale jest wspaniała. ■

eprasa.pl 506c78f0aa



Sztuczna inteligencja zdetronizuje człowieka? „Nie pytajmy czy, tylko kiedy i w jakiej kolejności”

Grzegorz Wszołek



Obecnie z niektórych naukowych badań wynika, że Chat GPT jest bardziej kreatywny niż 97 proc. ludzi. To śmiało można założyć, że w przyszłości na wszystkich lub prawie wszystkich polach kompetencji AI będzie bardziej niezawodna od człowieka – z prof. Andrzejem Zybertowiczem, socjologiem i doradcą prezydenta Andrzeja Dudy, o zagrożeniach i przyszłości sztucznej inteligencji rozmawia Grzegorz Wszołek.

eprasa.pl 506c78f0aa

▶ Panie Profesorze, świat AI wkroczył z przytupem w nasze życie. Nie ma dnia, by nie mówiło się o sztucznej inteligencji, wykorzystywanej też coraz częściej w biznesie, a nawet polityce. Czy AI stanowi zagrożenie dla ludzkości?

Wśród najwybitniejszych ekspertów, w tym twórców rozwiązań, które umożliwiły powstanie Chata GPT, nie brak głosów, że tak jest. AI jest postrzegana jako nie tylko poważne, lecz także najpoważniejsze zagrożenie, w obliczu którego kiedykolwiek stała ludzkość. Wchodzące w grę zagrożenia mają charakter wielowymiarowy. Rozciągają się od względnie niedużych zaburzeń stabilności systemów społecznych, do których AI się przyczyni, poprzez wstrząsy kalibru cywilizacyjnego, aż po kompletną likwidację ludzkości.

▶ Jak brzmi uzasadnienie do postawienia tak mocnej tezy?

Argumentacja jest wielowymiarowa. Wskażę tu jeden aspekt, na który zwrócił uwagę Geoffrey Hinton. Jest on uważany za jednego z ojców chrzestnych AI, a o jego wiarygodności poza dorobkiem badawczym świadczy m.in. to, że kilka miesięcy temu porzucił pracę w firmie Google, aby móc bardziej swobodnie wypowiadać się na temat problemów związanych z AI. Otóż Hinton wskazał, że im bardziej zaawansowany, im lepszy jest system AI, tym trudniej go kontrolować. W tym kontekście przywoływane są dwa, zresztą powiązane ze sobą, argumenty. Po pierwsze, emergencja – czyli nieoczekiwane wyłonienie się, szczególnie widoczne w przypadku Chata GPT4 – takich nowych kompetencji, które nie były temu systemowi „zlecone" przez twórców systemu. Po drugie, co z emergencją się wiąże, problem tzw. czarnoskrzynkowości AI.

▶ Na czym on polega?

Dla przeciętnego użytkownika czarną skrzynką jest już telewizor. Wiemy, jak go włączyć, skąd docierają do telewizora fale radiowe, ale nie rozumiemy, jak to się dzieje, że zamieniane są one w obraz i dźwięk. Przeciętny użytkownik zwykle nie ma o tym pojęcia, ale dobrze rozumieją to konstruktorzy. Tymczasem od kilku ostatnich lat, jeszcze przed powstaniem Chata GPT, systemy AI poprawnie wykonują zlecone im zadania (na przykład interpretowanie danych medycznych pod kątem rozpoznania pewnych chorób), ale my, ludzie, już nie rozumiemy, w jaki sposób to robią. Słowem – zbudowaliśmy systemy, które nadal będąc w fazie początkowej, zaskakują nas swoimi możliwościami. Nie potrafimy ustalić, jak one uzyskują niektóre swoje rezultaty. Stąd obawy, że takie systemy już niebawem mogą kompletnie wymknąć się spod ludzkiej kontroli, że mogą się rozwijać nie tylko samodzielnie, lecz także w kierunkach, których skutków nie będziemy pojmowali.

A zatem, że rozwijając AI w najlepszym razie wyhodujemy sobie partnera, z którym będziemy musieli prowadzić trudne negocjacje, zaś w najgorszym – władcę, w obliczu którego pozostaniemy całkiem bezradni.

▶ Czy AI wyprze człowieka z miejsc pracy? Coraz częściej podnosi się taki argument w dyskusji. Według przedstawicieli firmy Bluefocus Intelligent Communications Group, sztuczna inteligencja potrafi więcej zaoferować w dziale reklamy od ludzi, dlatego wykorzysta AI zamiast copywriterów i grafików. „Przyjmując nową falę treści generowanych przez sztuczną inteligencję, od dzisiaj postanowiliśmy wstrzymać wszelkie wydatki na zewnętrznych copywriterów i projektantów" – ogłosiła spółka, cytowana wiosną przez Bloomberg. Był to jeden z najgłośniejszych przypadków detronizacji człowieka na rynku pracy.

Niektórzy eksperci ujmują ten problem tak: czy istnieją takie ludzkie umiejętności, których nie można zautomatyzować? I odpowiadają: na gruncie obecnej wiedzy nie potrafimy wskazać takich umiejętności. Zatem kwestią czasu jest, gdy systemy AI będą potrafiły zrobić wszystko, co potrafi dowolny człowiek. Prawie pewne jest, że uczynią to lepiej, szybciej, taniej, a – niejednokrotnie – w zaskakująco odmienny, nowatorski sposób.

Właściwsze pytanie byłoby jednak takie: kiedy i w jakiej kolejności się to wypieranie człowieka wydarzy na masową skalę? Czy wystarczy nam czasu na działania dostosowawcze, w tym na tworzenie nowych miejsc pracy, na tyle szybko, by fale ludzi rozgoryczonych wyrzuceniem na bruk nie zdestabilizowały ładu publicznego?

Zaś w sytuacji, gdyby dzięki wzrostowi produktywności – przyniesionemu przez AI – każdy mógł otrzymywać tzw. bezwarunkowy dochód podstawowy, to problemem może okazać się deficyt sensu życia. Przecież od tysiącleci to praca – nawet ta bardzo ciężka i niemiła – organizowała ludzką energię, porządkowała życie, bywała nie tylko źródłem utrapień, lecz także dumy i tożsamości. Nie mówiąc o tym, że po prostu zagospodarowywała rytm dnia, tygodnia i roku.

▶ A zatem po co tworzy się Chat GPT, o którym powstało mnóstwo artykułów ostrzegających przed używaniem tej technologii?

To dość fundamentalna kwestia. Gdy czytam wywiady z niektórym twórcami AI, przypomina mi się reakcja jednego z wybitnych alpinistów zapytanego o to, dlaczego wspina się na najwyższe góry? Odpowiedział: „Bo są". Otóż pewne rzeczy w świecie cyfrowym są tworzone, gdyż pojawia się taka

FOT. ZBYSZEK KACZMAREK/GAZETA POLSKA

eprasa.pl 506c78f0aa

możliwość – jedni liczą na ekscytację, inni na sławę lub wielkie zyski, jeszcze inni na władzę bez granic.

Wspomniany przed chwilą Hinton mówił o słodyczy odkrycia naukowego, do którego się dąży mimo świadomości poważnego ryzyka, którą przynoszą sukcesy na polu tworzenia AI.

▶ Dlaczego sztuczna inteligencja doprowadza do samobójstwa męża, pracownika w Belgii? Historia wyglądała tak: ponad 30-letni ojciec dwójki dzieci wdał się w konwersację z chatbotem „Elizą". Bardzo interesował się zmianami klimatycznymi, o których rozmawiał z najbliższymi. Według belgijskich mediów, mężczyzna był przekonany, że tylko AI zapobiegnie katastrofie. Technologia zachęcała go do poświęcenia życia w imię uratowania planety. Czy zdarzyły się też inne przypadki targnięcia na życie po kontakcie z AI?

Czytałem tylko o jednym potwierdzonym, belgijskim przypadku. Jak się wydaje, był to swoisty „wypadek przy pracy". AI konwersacyjnie, narracyjnie działała tak, by optymalizować troskę o planetę. Ale konteksty etyczne rozumie dość wąsko. Wtedy całkiem logicznie wyglądać może zasugerowanie komuś, że likwidując siebie, odciąży naszą wymęczoną przez ludzką eksploatację planetę.

▶ Czy Pan profesor korzystał na co dzień ze sztucznej inteligencji? Jak wrażenia?

Wszyscy korzystamy z AI, choćby używając GPS-a albo systemów rekomendacyjnych Netfliksa. Oczywiście z Chatem GPT, po jego udostępnieniu, „porozmawiałem" nieco, by zorientować się, co potrafi. Na przykład AI w wersji udostępnionej przez Binga w odpowiedzi na jedno z moich pytań stwierdziła, że Donald Tusk wytoczył mi proces. O ile wiem, nic takiego nie miało miejsca. To pewnie jest przykład nieraz już opisywanej halucynacji AI. Ale do stwierdzenia, że to Chat GPT halucynuje, potrzebna jest wiedza kontekstowa i doświadczenie życiowe. Jak mają sobie poradzić młodzi ludzie, którzy funkcjonując w zgiełku informacyjnym, często kierują się emocjami jako narzędziem selekcji tego, co przyjmują a co nie, do swoich umysłów?

▶ W moim przypadku sztuczna inteligencja kilka miesięcy temu odpowiadała na zapytanie o imię i nazwisko, że jestem publicystą liberalnych mediów, choć nic takiego nigdy nie miało miejsca. Można domniemywać, że AI w przyszłości będzie bezbłędna?

Na tym świecie chyba nie ma nic doskonałego. Ponieważ jednak już obecnie z niektórych naukowych badań wynika, że Chat GPT jest bardziej kreatywny niż 97 proc. ludzi, to śmiało można założyć, że w przyszłości na wszystkich lub prawie na wszystkich polach kompetencji AI będzie bardziej niezawodna od człowieka. Że mechanizmy korygowania jej błędów zostaną tak udoskonalone, iż bardzo wyraźnie przekroczą sprawność ludzką. Można sobie wyobrazić, że jakaś kolejna wersja Superinteligencji będzie tak sprawna, że nam, wysoce ułomnym ludziom, „wyda się" już całkowicie bezbłędna. Czyli – uwaga – wyda się być bytem omal boskim…

▶ Jakie są jej zalety?

Paradoksalnie zaletą może nie tyle samej AI, co obecnej dyskusji na jej temat, „może" być ponowne przemyślenie przez nas-ludzi filozoficznych (w tym religijnych) podstaw człowieczeństwa.

W tym kontekście smutne (ale niestety niezaskakujące) jest to, że papież Franciszek jeszcze nie ogłosił w sprawie AI encykliki ani też podjęcia prac nad jej przygotowaniem. Przecież to jest pierwszorzędne wyzwanie dla Kościoła.

▶ Co miałoby być bodźcem dla papieża?

Choćby w kontekście słów Chrystusa „Ja jestem drogą, prawdą i życiem". Jestem przekonany, że gdyby taki skok rozwojowy na polu AI, z jakim mamy do czynienia w ostatnim roku, miał miejsce za pontyfikatów Jana Pawła II lub Benedykta XVI, to w przypadku obu tych papieży podjęto by poważny wysiłek teologicznego zmierzenia się z tym wyzwaniem. Chyba najpoważniejszym, przed jakim dotąd stanął rodzaj ludzki.

A wracając jeszcze do pożytków z AI. Mówi się, że dzięki niej mogą zostać rozwiązane przynajmniej niektóre z ważnych problemów, z jakimi zmaga się obecnie ludzkość – zoptymalizowane zostanie zużycie energii i powstrzymamy destabilizację klimatu. Ufam, że znajdziemy lekarstwa na nieuleczalne dotąd choroby i w dodatku lekarstwa te będą dostępne dla wszystkich, a nie tylko dla grup uprzywilejowanych. Że uda się stworzyć bardziej równościową edukację, co przyczyni się do złagodzenia tych niesprawiedliwości, które wynikają z nierównego dostępu do wiedzy. Że AI będzie lepszym demokratycznym władcą niż aż tak bardzo ułomni politycy-ludzie pochodzący z wyborów, gdyż nie da się skorumpować ani wprowadzić w błąd przez lobbystów. Że skoro wszyscy będą mogli żyć w dostatku, to nie będą toczone już wojny. Tego typu mniej lub bardziej utopijne wizje mnożą się na potęgę. Tworzone przez mniej lub bardziej naiwnych techno-entuzjastów. ■

Andrzej Zybertowicz jest profesorem nauk społecznych i doradcą prezydenta RP Andrzeja Dudy ds. bezpieczeństwa państwa. Na Akademii Sztuki Wojennej kieruje Ośrodkiem Studiów nad Wyzwaniami Cywilizacyjnymi.

eprasa.pl 506c78f0aa



Ryszard Czarnecki

Zimbabwe i skrawek Polski

Ojciec Krystian uśmiecha się szeroko jak człowiek, który wie, że pożytecznie spędza swój czas na Ziemi. Pochodzi z Katowic. W Afryce jest już ponad 40 lat. W Zimbabwe, gdzie się spotykamy – 36. Choć od dawna żyje poza ojczyzną i daleko od niej, przejmuje się Polską i modli się za to, żeby rodacy mądrze wybrali.

W Zimbabwe – kraju, którego terytorium jest o jedną piątą większe niż Polski, ale ludności jest dwa i pół raza mniej – posługiwał naszym braciom w wierze na granicy z Botswaną, wśród plemiona Matabele. Opowiada barwnie, że gdy w tamtym regionie Chińczycy budowali szpital, z okolicy poznikały licznie występujące wcześniej węże. Cóż, były jadalne…

Dewiza Republiki Zimbabwe to: „Jedność, Wolność, Praca". Sądząc po wyborach prezydenckich, których byłem oficjalnym obserwatorem – jako jedyny Polak w delegacji Parlamentu Europejskiego – z tą jednością to fikcja. Głosy podzieliły się niemal pół na pół, opozycja oskarża władzę o sfałszowanie wyborów, a oficerowie, przeciwnicy prezydenta Emmersona Mnangagwy i jego wiceprezydenta generała Constantino Chiwenga – jakoś dziwnie przedwcześnie umierają. Oczywiście wszyscy z powodu pandemii COVID-19. Wolność? Aresztowania obserwatorów wyborów z ramienia opozycji na to nie wskazują. Żona opozycyjnego kandydata na prezydenta, zgłoszonego przez CCC (angielski skrót od: Citizens Coalitions for Change, czyli Obywatelska Koalicja na Rzecz Zmiany), stosunkowo młodego posła i prawnika Nelsona Chamisy, powiedziała do męża: „Po co chcesz pływać w basenie, w którym są same aligatory?". To taka metafora polityki wewnętrznej dawnej Rodezji.

Nieźle chyba, jak na Polaka, poznałem południową Afrykę. Gdy chodzi o sąsiadów Zimbabwe, byłem w RPA, Botswanie i Mozambiku. Nie było mnie tylko w Zambii.

Stolica kraju Harare pozbyła się wszystkich kolonialnych symboli – poza jednym. Cały czas jedna z głównych ulic miasta (przy której jest też jedna z rezydencji prezydenta kraju) nosi imię Winstona Churchilla. Skądinąd jeśli o kolonializmie mówimy, to ziemie tworzące obecne Zimbabwe, stały się obiektem zainteresowania Brytyjczyków od drugiej połowy XIX wieku. Dopiero w 1890 roku cały kraj stał się częścią Brytyjskiej Kompani Południowoafrykańskiej. Pierwsza organizacja polityczna czarnoskórej większości powstała dopiero niemalże pół wieku po tym, jak obecne Zimbabwe stało się brytyjską kolonią. Skądinąd napięcia rasowe w dawnej Rodezji, także już po uzyskaniu niepodległości, były znacznie mniejsze niż w sąsiednim RPA. Dość powiedzieć, że nawet wieloletni dyktator Robert Mugawe przez blisko 20 lat tolerował fakt, że biali mieli 70 proc. ziemi w kraju, który już dawno przestał być kolonią.

Na całym świecie, także tutaj, na krańcu Afryki, są ślady polskich stóp. Półtorej godziny drogi od Harare znajduje się miejsce, w którym od 1942 roku aż do końca lat 40. mieszkały nasze dzieci, które armia Andersa wydostała z sowieckiej „nieludzkiej ziemi". Po wojnie pracowali tu polscy salezjanie, franciszkanie i werbiści (wśród nich wspomniany już ojciec Krystian). Jednak najbardziej rozpoznawalnym Polakiem, człowiekiem-instytucją, którego znają tu wszyscy od prezydenta i wiceprezydenta, biznesmenów i hotelowych portierów, jest Wiesław Grabowski – niegdyś trener piłkarskiej reprezentacji tego kraju, który wywalczył wicemistrzostwo Igrzysk Panafrykańskich (do lat 23). Dziś jest wziętym menedżerem piłkarskim, który „eksportuje" do Europy, w tym Polski, wielu piłkarzy, w tym na przykład niegdyś „króla strzelców" polskiej Ekstraklasy Takesure Chinyamę. Żona trenera, Krystyna, zna wszystkie najważniejsze kobiety w republice – jest bowiem wziętym ginekologiem. W ich willi, w której gościli mnie parokroć, jest maszt z polską flagą i wielkie godło Polski – pani Grabowska jest konsulem honorowym Rzeczypospolitej na tym końcu świata.

I tak w sercu Czarnego Lądu znalazłem się nagle na skrawku Polski… ■

eprasa.pl 506c78f0aa





Jakub Augustyn Maciejewski

GRANICE RELIKTOWE W MENTALNOŚCI POLAKÓW

Na mapie wyborczej wyraźnie widać wpływ historii – społeczności oderwane od swoich przodków są bardziej liberalne, co widać na tzw. Ziemiach Odzyskanych. Najbardziej patriotyczna jest Galicja, która od lat głosuje na kolejne wcielenia niepodległościowej prawicy. „Widać rozbiory" – komentują często internauci. Jednak w naszych zachowaniach widać więcej niż rozbiory sprzed dwustu lat.

eprasa.pl 506c78f0aa

Gdy więc patrzymy na mapę wyborczą na przykład z 2011 roku, możemy bardzo precyzyjnie wyznaczyć granice reliktowe – takie, których formalnie już nie ma, ale są skutkiem dawniejszych granic – zaborów. Królestwo Polskie głosowało wtedy na Prawo i Sprawiedliwość, zaś zabór pruski, Wielkie Księstwo Poznańskie i Ziemie Odzyskane – na Platformę Obywatelską. Jak to możliwe, że po stu latach od zamazania tych granic w I wojnie światowej, po zjednoczeniu ziem polskich w II Rzeczypospolitej, po walcach dwóch totalitaryzmów – co do powiatu można dziś dostrzec te granice reliktowe?

Mamy różne odpowiedzi na ten temat, ale wszystkie pokazują, że istnieją bardzo trwałe ciągłości historyczne, które nie są do końca zbadane i zrozumiane. Czy germanizacja w II Rzeszy niemieckiej udała się lepiej niż rusyfikacja w zaborze rosyjskim? A może polskie powstania umocniły postawy konserwatywne? Czy PO odpowiada kodowi kulturowemu zachodniego zaborcy, a PiS gra na tych strunach duszy polskiej, które odpowiadały za narodowe insurekcje?

Granice reliktowe trwają setki lat?

Granice reliktowe nie są przypadkiem tylko polskim. Bardzo wyraźnie mapę wyborczą wynikającą z historycznych uwarunkowań widać także w Rumunii czy w Hiszpanii. Na Ukrainie można zauważyć na przykład granicę sowieckiego ludobójstwa – wielkiego głodu (miliony antybolszewickich chłopów zmarło) i przywiezienia na te tereny Rosjan z głębi ZSRS – dopiero obecna inwazja Rosji zmienia identyfikacje polityczne, ale – nie zmienia mentalności. Ukraińcy ze wschodniej części kraju noszą mocniejsze znamiona zsowietyzowania także w życiu codziennym – mają bardziej roszczeniowy stosunek do państwa, są mniej kreatywni w pracy, mniej elastyczni życiowo, bardziej fatalistyczni. Kilka pokoleń życia razem w jednej republice, a potem w jednej niepodległej Ukrainie nie zniwelowało różnic między Ukraińcem ze Lwowa a Ukraińcem z Doniecka.

Na antypodach Europy swoje granice reliktowe pokazuje nam Hiszpania. Północna Kastylia (Kastylia-Leon) popiera partie chadeckie, prawicę, a w wojnie domowej w latach 30. XX wieku była najbardziej wrogo nastawiona wobec komunistów i socjalistów. O ile wierna lewicy Katalonia nie zaskakuje (zawsze mniejszości i autonomie głosują na lewicę, vide nasza mniejszość białoruska popierająca nawet SLD), o tyle południe Hiszpanii również pozostaje najmniej tradycyjne i najmniej narodowe. Praca Lecha Haydukiewicza „Historical and geographic regionalization versus electoral geography" nie pozostawia tu złudzeń – południe Półwyspu Iberyjskiego trzyma swoją odrębność jeszcze z czasów... średniowiecza.

Otóż historia średniowiecznej Hiszpanii była stopniowym wypieraniem z Półwyspu muzułmańskich emiratów. Katolicka część była na północy, islamska – na południu. Ostatni bastion półksiężyca padł w 1492 roku, wraz ze zdobyciem Grenady. Ziemie, które ponad 500 lat temu były muzułmańskie, są do dziś mniej przywiązane do tradycji swojego państwa niż inne dzielnice!

Nie dysponując wyczerpującymi badaniami nad przyczynami tego stanu rzeczy, można snuć przypuszczenia – czy kolejne pokolenia przekazują sobie ukryte kody kulturowe? A może architektura i miejsca tożsamościowe (kościoły, budynki administracji publicznej, cmentarze) mają swoje dyskretne oddziaływanie? Nie ma dziś pełnej odpowiedzi, ale mechanizm tej ciągłości na pewno występuje.

Człowiek i jego wspólnota kształtują swoją rzeczywistość na wiele sposobów, ale na plecach dźwigają bagaż przeszłości. Jak wielki? I jak dawnej przeszłości?

Najdłuższe trwanie ma tysiące lat?

Jedną z najdłużej trwających konsekwencji historycznych procesów wskazał Oded Galor, izraelsko-amerykański ekonomista, który w swoich badaniach poszukuje przyczyn rozwoju gospodarczego oraz hamulców rozwoju społeczeństw. W swojej pracy „Podróż ludzkości" opisywał wiele nieoczywistych czynników, które wpłynęły na to, że na przykład Europejczycy czy Chińczycy rozwinęli błyskotliwe cywilizacje, a Indianie pozostali na poziomie biegania za bizonami (Galor jest lewicowy, więc nie jest tak dosadny, ale sens przekazuje właśnie taki).

Jedną z tez jest różnorodność genetyczna populacji spowodowana odległością migracyjną od Afryki. Chodzi o to, że ludzkość, odkąd wyszła z czarnego kontynentu, dzieliła się i odłączała od siebie, wędrując coraz dalej – przez Bliski Wschód w dwóch kierunkach – do Europy i do Azji. A potem jeszcze dalej, z Azji przez Cieśninę Beringa do obu Ameryk, a z południowej Azji przez kolejne wyspy do Australii. Ale ta wędrówka „gubiła geny". Galor opisuje, że gdy jakaś część populacji (bardzo bogatej genetycznie, tej, która wyszła z kolebki ludzkości w Afryce!) odłączała się od reszty, by iść dalej, to w starej siedzibie zostawiała niektóry typ ludzi (i ich genów), zabierając „ze sobą tylko pewien podzbiór różnorodności macierzystej kolonii". W uproszczonym przykładzie można by to sobie wyobrazić tak: z Afryki wyszliśmy z całą bogatą pulą genową, która zawierała potencjał na matematyków, hodowców, wojowników, budowniczych, pisarzy, wynalazców, wychowawców i polityków. Ten „pakiet maksimum" założył później cywilizacje Egiptu i Babilonu,

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 506c78f0aa

kolebkę wielu nauk, wierzeń i systemów politycznych. Ale po każdym „wydarzeniu emigracyjnym" – gdy fala ludności zabierała swoje rzeczy i szła osiedlać się dalej – była już coraz mniej genetycznie wyposażona – na przykład znad rzeki Jangcy do Ameryk nie poszli tacy „matematycy" i „wynalazcy", za to zabrali się hodowcy i wojownicy (późniejsi Indianie). W ten sposób rdzenna ludność Europy i Chin tworzyła papierowe pieniądze, proch strzelniczy i republiki, a plemiona w Ameryce Południowej i w Australii (duża „odległość migracyjna" od Afryki) wyspecjalizowały się w hodowli czy plemiennych wojnach.

Abstrahując na chwilę od poziomu trafności teorii Galora (któż to może sprawdzić) trzeba odnotować, że na przykład poziom innowacyjności Europejczyków i Chińczyków w porównaniu do rdzennych Amerykanów może być konsekwencją wydarzeń sprzed 15 tys. lat, kiedy to w północnej Azji kolejna ciekawska grupa ludów przeszła przez zamarznięta Cieśninę Beringa i weszła do Ameryki Północnej, zostawiając jednak mniej awanturniczą, ale mającą inne cechy część populacji. Tysiące lat ponoszenia konsekwencji za ważne wydarzenia!

Długie trwanie postkomunizmu

W świetle takiego oddziaływania przeszłości na teraźniejszość jakże śmiesznie czy ręcz brutalnie głupio brzmią popularne przekonania z lat 90. XX wieku, że kwestie komunistycznej mentalności pozbędziemy się, gdy następna generacja dorośnie i przejmie wiodącą rolę w kraju. Jak się okazuje, przekazujemy sobie z pokolenia na pokolenie niewidoczne gołym okiem cechy psychologiczne i społeczne, które wywierają ogromny wpływ na całe dekady i stulecia. Przecież ten Hiszpan, który osiedlał się w odbitej z rąk muzułmanów Grenadzie w 1492 roku, był taki sam jak Kastylijczyk z północnej części półwyspu. Był dumny z wyparcia Saracenów z Europy, a jednak gdzieś ta jego tożsamość słabła czy się modyfikowała, by 450 lat później jego bardzo dalecy potomkowie chętniej dawali wiarę ulotkom stalinowskiego KGB niż wezwaniom generała Francisco Franco.

Jak więc oddziałuje na nas komunizm, edukacja wyniesiona z programów ministra edukacji w PRL Henryka Jabłońskiego czy kultura wynoszona z programów literackich ministra Włodzimierza Sokorskiego? Pytanie działa oczywiście i w drugą stronę – jak bardzo zryw Solidarności 1980 roku był podbudowany opowieściami dziadków o powstaniach i lekturą Mickiewicza i Sienkiewicza?

Jednak komunizm jako całościowy projekt przebudowy społeczeństwa był programem wstrzykującym w nas całe zespoły cech i tendencji. Jeden z sowieckich ideologów czasów Breżniewa, Michaił Susłow, projektował społeczeństwo tak, by zadowalając się ekonomicznym minimum, nie zajmowało się polityką – w Polsce znalazło to egzemplifikację w dekadzie Edwarda Gierka. Gdy w XXI wieku nad Wisłą pojawiły się postpolityczne koncepcje Donalda Tuska („Nie róbmy polityki, budujmy mosty"), podglebie Gierka-Susłowa mogło okazać się tu płodnym gruntem. A ileż elit polskich nie umie sobie wyobrazić Polski suwerennej, bo w kręgach intelektualnych PRL wiecznie powtarzano sobie, że „w tej sytuacji geopolitycznej" lepiej siedzieć w cieniu silniejszego? Wtedy – ZSRS, dziś – decydentów z Brukseli?

Mechanizmy z przeszłości tkwią w nas czasem bardzo głęboko i niewidocznie, a pamiętajmy, że komunizm był systemem totalnym, który chciał przerobić sposób myślenia, stosunku do wiary, rodziny, gospodarki, kultury – czyż Maje Ostaszewskie i Macieje Stuhry nie pływają w III RP jak ryby w wodzie dzięki wcześniej przygotowanemu akwenowi skarlałej pookrągłostołowej Polski?

Zapłacić rachunki, zrzucić ciężary

Problemem rządów Gierka czy Jaruzelskiego okazuje się więc nie spłata kredytów finansowych, lecz kredytów cywilizacyjnych, które zresztą przyszło gładko zaciągnąć przez wzgląd na wcześniejsze deficyty niepodległości i suwerenności.

Aby jednak przełamać fatalne fatum, należy sobie zdać sprawę z istnienia tych długów, bo skoro na mapie wyborczej widać granice reliktowe zaborów sprzed 100 lat, to o ileż bardziej w naszym systemie społecznym widać etyczne granice reliktowe PZPR.

Dekomunizacja była dla nas wysiłkiem w zakresie zmiany nazw ulic, lustracji polityków czy zniesienia przywilejów emerytalnych dla SB – a przecież to tylko zewnętrzna warstwa sowieckiej toksyny w ciele polskiego organizmu. Nadal nierozliczone mamy media tkwiące korzeniami w zeszytach Jerzego Urbana i teczkach Czesława Kiszczaka, a co dopiero te wewnętrzne, duchowe i intelektualne spustoszenia!

Uświadomienie sobie, że w XXI wiek wskoczyliśmy z niewidzialną, ale niezwykle doskwierająca kulą u nogi, to warunek dalszego rozwoju Polski. Rozliczenie – choćby intelektualne – komunistów to nie maksimum naszych potrzeb, lecz jedynie ich podstawowy, pierwszy etap. Potworek myślenia w wersji homo sovieticus nadal się czai w Polakach, mocniej niż galicyjskie tendencje ku prawicy czy zerkanie potomków przesiedleńców z 1945 roku ku liberałom i lewicy. Dyskusja nad ciężarem PRL i przepracowaniem jego naleciałości nadal jest przed nami. ■

eprasa.pl 506c78f0aa

Marek Kalinowski

Coś więcej niż koncert

40 lat czekaliśmy na odnowioną wersję legendarnego koncertu Talking Heads „Stop Making Sense". Wydarzenie uznane zostało za część dziedzictwa kulturowego Ameryki, znajdując miejsce wśród zbiorów Biblioteki Kongresu. Premierze filmu towarzyszy też wydawnictwo muzyczne, na którym znajdziemy niepublikowane wcześniej utwory.

W nowojorskiej sali słychać już brawa, a kamera Jonathana Demme'a wąskim kadrem śledzi kroki wchodzącego na scenę Davida Byrne'a. Publiczność może czuć się nieco zbita z tropu, lider Talking Heads jest tym razem zupełnie sam. Uruchamia przyniesiony radiomagnetofon i tak z głośników dobiegają już pierwsze dźwięki znanego przeboju „Psycho Killer". Demme doskonale wie, jak budować opowieść, nigdy wcześniej nie nakręcił koncertu, ale ma już za sobą kilka fabularnych dzieł. Ten występ będzie więc czymś więcej niż zwykłym koncertem, to muzyczny spektakl, który na zawsze przejdzie do historii.

W muzyce Talking Heads afrobeat miesza się z funkiem, disco i punkrockiem, wszystko jest dziwne i przerysowane, od choreografii po stroje. Zbyt duże uniformy przypominają stroje robotników, ale stanowią zarazem element znany w japońskiej kulturze. Skąd ten pomysł? Byrne po latach wspomina słowa japońskiego projektanta, które były źródłem inspiracji: „[…] w teatrze wszystko jest większe niż w prawdziwym życiu". Talking Heads czerpiąc z popkultury, nie chcą równocześnie wpaść w jakikolwiek schemat, od początku do końca chcą tworzyć własny świat dźwięków. I to im się znakomicie udało.



Talking Heads, STOP MAKING SENSE, Warner Music

Wróćmy do koncertu. Już przy drugim utworze, akustycznym „Heaven", do Byrne'a dołącza z gitarą basową Tina Weymouth, a kilka minut potem wjeżdżają platformy z perkusją Chrisa Frantza oraz instrumentami klawiszowymi Jerry'ego Harrisona. Artyści zatracają się w szalonym synchronicznym tańcu, wciągając w to również publiczność. Na płycie usłyszymy niepublikowane wcześniej utwory „Cities" i „Swamp".

Z perspektywy lat 80. ubiegłego wieku „wizje", które roztaczał w swoich utworach David Byrne, mogły wydawać się nieco futurystyczne, zwłaszcza dla zachodniego słuchacza. Dzisiaj znaczna część jego tekstów okazuje się szalenie aktualna i już dawno znalazła się w centrum debaty publicznej.

Trasa koncertowa Talking Heads była czymś absolutnie nowatorskim i to na różnych płaszczyznach. Okazała się też niestety wydarzeniem niepowtarzalnym. Po 1984 roku zespół nagrał jeszcze trzy albumy: „Little Creatures", „True Stories" oraz „Naked", ale do koncertów już nie wrócił. Muzycy rozstali się na początku lat 90. skłóceni na wiele lat.

Reedycja filmu i sierpniowa premiera odświeżonego albumu koncertowego sprawiła, że Byrne, Weymouth, Frantz i Harrison przełamali się i znowu stanęli obok siebie na jednej scenie. Wydarzenie miało miejsce na wrześniowym Toronto International Film Festival. Podczas pokazu kinowego widzowie żywiołowo reagowali na kolejne piosenki, do tego stopnia, że trudno było odróżnić ich radość od publiczności koncertu z '84 roku. „Po to właśnie przychodzimy do kin" – komentował wyraźnie zadowolony David Byrne. I ma rację. Magia kina i muzyki Talking Heads działa wciąż z tą samą siłą! I to mimo upływu czterech dekad.

Choć nie ma już szans na nowy, wspólny koncert „Gadających Głów", to członkowie zespołu przynajmniej chętnie dzielą się wspomnieniami. I to chyba dobra puenta dla tej całej niepowtarzalnej, muzycznej historii. ■

eprasa.pl 506c78f0aa

We wrześniu 1939 roku Czesław Spychała, mistrz Polski w tenisie i uczestnik Pucharu Davisa, dostał się do sowieckiej niewoli. Udało mu się z niej uciec i przyjąć nową tożsamość. Jako „Marian Tworowski" był żołnierzem Armii Krajowej i powstańcem warszawskim. Brał udział w słynnym zdobyciu koszar SS w Warszawie przy ul. Koszykowej, gdzie został ranny. Po wydostaniu się z niewoli niemieckiej, trafił do Andersa. Po wojnie Spychała odmówił powrotu do okupowanej przez komunistów ojczyzny, a PRL zrewanżowała mu się dyplomatycznym protestem przeciwko występowi „faszysty" od Andersa na kortach Wimbledonu. Potem był mistrzem Walii, a na Wimbledonie odniósł ponad 20 zwycięstw. Szanowany przez Brytyjczyków, zarządzał kortami wimbledońskimi aż do śmierci w 1994 roku.

Piotr Lisiewicz



Wyrzucić z Wimbledonu faszystę od Andersa!



FOT. NAC

eprasa.pl 506c78f0aa



24 czerwca 1946 roku elegancka publiczność zapełniła trybuny Wimbledonu. Po strasznej wojnie wracała w Anglii normalność. Ale nie dla Polaków. Mimo to w turnieju postanowili wystąpić dwaj znani całej czołówce światowego tenisa żołnierze 2. Korpusu gen. Władysława Andersa – Czesław Spychała i Ignacy Tłoczyński. Ambasada PRL w ostrych słowach zażądała od władz Wimbledonu, by nie mogli oni występować w turnieju jako reprezentanci Polski, gdyż są oni faszystami od Andersa.

Historyk Tadeusz Wolsza w książce „Polacy na emigracji 1945–1956" pisze, że występ Czesława Spychały jako Polaka na Wimbledonie był dotkliwą porażką komunistycznej dyplomacji: „Tłoczyński i Czesław Spychała (żołnierze 2. Korpusu) wzięli udział w wimbledońskim turnieju tenisowym w 1946 r., pomimo protestów ambasady polskiej w Londynie. Na nic się zdały naciski dyplomacji warszawskiej na organizatorów turnieju, że »Tłoczyński i Spychała to żołnierze faszystowskiej armii gen. Andersa«. Z satysfakcją o porażce reżimu warszawskiego donosił »Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza« oraz »Orzeł Biały«". Tak oto ludowa ojczyzna zrewanżowała się żołnierzom batalionu „Ruczaj" za brawurowe zdobycie koszar na Koszykowej.

Junior wszech czasów

Czesław Spychała jest dziś w brytyjskiej Wikipedii, natomiast nie ma go w polskiej! To mówi wszystko o tym, jak skutecznie komunistyczna propaganda usuwała go z historii polskiego sportu. Urodził się 1 stycznia 1917 roku w Poznaniu, czyli w tym samym mieście, co współautor wimbledońskiego skandalu z 1946 roku, sześć lat starszy Ignacy Tłoczyński. „Jeszcze przed odzyskaniem niepodległości w 1918 r., jako dziecko, chodziłem z mego domu na Jeżycach, gdzie się urodziłem, do Lasku Golęcińskiego. Tam na kortach grywali Niemcy. To mnie interesowało i wciągnęło" – wspominał w wywiadzie dla czasopisma „Tenis" Tłoczyński. Gdy Spychała potrafił już podnieść tenisową rakietę, Niemców już w Poznaniu nie było…

„Golęcin, Golęcin, piękna okolica, żeby nie milicja, byłaby stolica" – tak śpiewaliśmy jako kibice Lecha Poznań w latach 80., a potem w przyśpiewce tej słowo „milicja" zastąpione zostało słowem „policja". Sama prawda była w tej piosence, bo okolica miejskiego jeziora Rusałka, które w filmie „Ogniem i mieczem" zagrało rzekę Dniepr, są faktycznie niezwykłej urody, choć naznaczone tragedią rozstrzeliwanych więźniów niemieckiego Fortu VII. A po wojnie komuna zainstalowała tu milicyjny klub – Gwardyjski Klub Sportowy Olimpia. Klub ten nie miał kibiców, bo nikt dopingować milicjantów nie chciał, a jeszcze bardziej wulgarna przyśpiewka głosiła: „Olimpia, Olimpia, to nie poznański klub, to milicyjny klub i za to…", cóż, rymowaliśmy to dalej do sformułowania „w dziób"…

Ale to są wspomnienia ahistoryczne, natomiast sukcesy juniorskie Spychały zaczęły się bardzo wcześnie. Czy można określić je jako największe w historii juniorskiego tenisa w Polsce? Chyba tak, a portal Historia Polskiego Tenisa wylicza to drobiazgowo: „W kategorii do lat 18 zdobył dwa singlowe tytuły mistrza Polski i do dziś pozostaje jedynym mężczyzną, który dokonał tego w odstępie dwóch lat, czyli po raz pierwszy jako 16-latek. W wieku 17 i 18 lat osiągało to dziewięciu tenisistów: Hubert Majewski (1953 i 1954), Andrzej Zenneg (1955 i 1956), Tadeusz Nowicki (1962 i 1963), Bronisław Lewandowski (1964 i 1965), Witold Meres (1966 i 1967), Romuald Szczepanik (1971 i 1972), Michał Gawłowski (1992 i 1993), Przemysław Leśniewski (2001 i 2002) oraz Maks Kaśnikowski (2020 i 2021)".

Zwycięstwo nad mistrzem w Roland Garros

Dalej mowa jest o sukcesach seniorskich: podczas turnieju Roland Garros w 1938 roku 21-letni Spychała pokonał w I rundzie 6:4, 9:7, 9:7 Francuza Yvona Petrę, późniejszego – w 1945 roku – mistrza Wimbledonu. Z kolei według brytyjskiej Wikipedii w Mistrzostwach Francji z tegoż roku dotarł do trzeciej rundy turnieju gry pojedynczej, w której został pokonany w prostych setach przez Roberta Abdesselama.

W tym samym sezonie zadebiutował w reprezentacji daviscupowej, a w meczu z Czechosłowacją wywalczył punkt decydujący o zdobyciu przez Polskę prestiżowego Pucharu Europy Środkowej. W 1938 roku Polska grała z Włochami w drugiej rundzie strefy europejskiej. W grze podwójnej rozegrał Spychała wraz Ignacym Tłoczyńskim mecz z Ferruccio Quintavalle i Valentino Taronim. Przegrali w pięciu setach. Włosi wygrali remis rozgrywany na kortach ziemnych w Mediolanie.

Hanna Konopacka, pierwsza polska złota medalistka olimpijska, po zakończeniu kariery lekkoatletycznej grała w tenisa w mikście z Czesławem Spychałą. Komentatorzy sportowi nadali jej wtedy przydomek „Czerbieta" (zbitek słów: „czerwona kobieta"), gdyż zwykle występowała w czerwonym berecie. W 1939 roku Spychała miał zaledwie 22 lata i uznawany był za jeden z największych talentów tenisowych na świecie. Ale wszystko przerwała napaść Berlina i Moskwy na jego ojczyznę.

„Marian Tworowski", czyli „Żyłka"

W 1939 roku Spychała został zmobilizowany do walki z Niemcami, ale po 17 września trafił do sowiec-

eprasa.pl 506c78f0aa

kiej niewoli. Jak czytamy na portalu Historia Polskiego Tenisa: „został we wrześniu 1939 wzięty do niewoli przez radziecką Armię Czerwoną. Zbiegł z obozu, wrócił do Warszawy i zszedł do podziemia, przybierając tożsamość »Mariana Tworowskiego«. W czasie okupacji był aktywnym członkiem AK – w oddziale, do którego należało wielu sportowców, a zwłaszcza tenisistów: bracia Ignacy i Ksawery Tłoczyńscy, Jerzy Gottschalk, Jan Strzelecki czy Bohdan Tomaszewski".

Taki sam był los jego przyjaciół. 1 września Tłoczyński wstąpił do Związku Walki Zbrojnej, przekształconego w Armię Krajową. Przybrał pseudonim „Igo". Kolportował podziemną prasę. Wraz z Jadwigą Jędrzejowską, tenisistką, finalistką tenisowego Wimbledonu z 1937 roku i Januszem Kusocińskim prowadził gospodę „Pod kogutem".

Jak relacjonuje portal, mimo surowego (groziła nawet kara śmierci) zakazu uprawiania sportu, wydanego Polakom przez władze niemieckie, regularnie trenowali oni na skrytych w głębokim jarze kortach za Instytutem Głuchoniemych przy pl. Trzech Krzyży (opodal ul. Książęcej) i grywali w turniejach organizowanych w podwarszawskich miejscowościach – Konstancinie, Chylicach, Milanówku.

Jak oceniał w „Przeglądzie Sportowym" Zbigniew Chmielewski, była „to jedna z najpiękniejszych kart nie tylko Powstania Warszawskiego, ale także polskiego sportu. W jednym plutonie, owianym legendą, znaleźli się niemal w komplecie wszyscy najlepsi polscy tenisiści lat przedwojennych, gracze drużyny daviscupowej, a także młodzi zawodnicy, będący nadzieją polskiego tenisa". W ataku ranni zostali Spychała i Tłoczyński, a w ostatnich dniach powstania zginął Jerzy Gottschalk. Odznaczenia dla żołnierzy batalionu „Ruczaj" wręczał osobiście gen. Tadeusz „Bór" Komorowski. Spychała został wtedy postrzelony w rękę, a potem trafił do niemieckiej niewoli.

W 2013 roku odbyła się konferencja, w czasie której o akcji tej mówiły osoby działające na rzecz jej upamiętnienia. Z ogromnym wzruszeniem opisywał bohaterów tej akcji najstarszy wówczas polski dziennikarz sportowy, 92-letni Bohdan Tomaszewski: „W mieszkaniu w Alei na Skarpie składałem w grudniu 1939 roku przysięgę w obecności m.in. braci Tłoczyńskich, Czesława Spychały, masażysty Mariana Mi-

Czesław Spychała jest dziś w brytyjskiej Wikipedii, natomiast nie ma go w polskiej! To mówi wszystko o tym, jak skutecznie komunistyczna propaganda usuwała go z historii polskiego sportu.

kołajewskiego, hokeisty Muszyńskiego, przedwojennego prezesa Polskiego Związku Tenisowego radcy Aleksandra Olchowicza oraz nieznajomego – jak się później okazało pułkownika Sanojcy z dowództwa Armii Krajowej". Opowiadał, czym zajmowała się jego grupa: rejestrowała lokalizację oddziałów niemieckich, stacji benzynowych oraz innych obiektów wojskowych na potrzeby konspiracji. W konferencji brali udział żyjący jeszcze żołnierze batalionu „Ruczaj" Zofia Gordon „Iskra", Jan Wojciech Drużyński „Wojtek", Andrzej Dławichowski „Andrzej" oraz Józef Głuchowski „Stach".

▶ Bohaterscy tenisiści, czyli niesamowita akcja na Koszykowej

Jako starszy strzelec „Żyłka" Spychała wziął udział w Powstaniu Warszawskim. 1 sierpnia 1944 roku żołnierze Batalionu „Ruczaj", wyposażeni w granaty i butelki z benzyną, zdobyli szturmem koszary SS przy ul. Koszykowej. Wzięli do niewoli 72 esesmanów, zdobyli około 100 sztuk broni maszynowej, żywność, amunicję oraz samochód opancerzony i ciężarówkę. W powstańczych relacjach nie ma zbyt wielu takich sukcesów.

W akcji wzięli udział czołowi polscy tenisiści – oprócz Czesława Spychały bracia Ignacy i Ksawery Tłoczyńscy, Jerzy Gottschalk, Antoni Smordowski i wybitny lekkoatleta Tadeusz Hanke. Jak pisano później, wysyłając ich do akcji, dowództwo batalionu kierowało się przede wszystkim ich umiejętnością podejmowania szybkich decyzji, sprawnością fizyczną i odwagą.

▶ „Światowcy" w niemieckim oflagu

Po upadku Powstania Spychała trafił do obozu jenieckiego koło Salzburga. Witold Gutkowski we wspomnieniach zatytułowanych „Życie w ciekawych czasach" pisał o obozowym życiu, przywołując moment, gdy pojawiły się tam dary Czerwonego Krzyża: „Wygłodzone bractwo wzięło się żwawo za jedzenie […] Niektórzy spróbowali nawet mydła. Wszystkie opisy w paczce były po angielsku, którego praktycznie nikt

eprasa.pl 506c78f0aa

z nas nie znał. Przekrój społeczny jeńców był bardzo zróżnicowany, z przewagą osób gorzej wykształconych. Niemniej jednak były i osoby o standardzie międzynarodowym – dwóch polskich tenisistów – Spychała i Tłoczyński. Jak opowiadali, byli przed wojną zapraszani przez króla szwedzkiego na rozgrywki tenisowe. Miał on chęć pograć z dobrymi tenisistami, a oni pozwalali mu nawet czasem wygrać".

Realia obozowe wyglądały według Gutkowskiego następująco: „Wprawdzie w paczkach nie było chleba, ale można było przehandlować z wachmanami papierosy na chleb. Papierosy stanowiły coś w rodzaju waluty, nawet pomiędzy jeńcami. Nałogowi palacze potrafili wszystko sprzedać, nawet chleb, za papierosy. W jednej z serii paczek znajdował się tytoń do fajek. Ciemny, bardzo drobno pokrojony. Ponieważ nie mieliśmy fajek, palono go w skrętach gazetowych jak papierosy. Kiedyś z kolegami zapaliliśmy takiego skręta, leżąc na pryczach. Był tak diabelnie mocny, że po zaciągnięciu się, przez chwilę robiło się ciemno przed oczami".

Spychała wyzwolony z niemieckiego oflagu przez aliantów, zaciągnął się do armii Andersa, stacjonującego wówczas w Rimini w północnych Włoszech, z którym przeszedł resztę szlaku bojowego.

Burżujski tenis i kłamstwa na temat powrotu do Polski

Jak czytamy na portalu Historia Polskiego Tenisa, Spychała wyzwolony z niemieckiego oflagu przez aliantów, zaciągnął się do armii Andersa, stacjonującego wówczas w Rimini w północnych Włoszech, z którym przeszedł resztę szlaku bojowego.

A potem „do pojałtańskiej Polski już nie wrócił, ale do tenisa – jak najbardziej". W 1946 roku wygrał w debiucie mecz na kortach Wimbledonu i osiągnął w tym turnieju finał tzw. rozgrywek pocieszenia. „Ta niegdyś bardzo popularna, a dziś zapomniana (chyba niesłusznie) formuła pozwalała pozostać w grze tym, którzy odpadali we wczesnych rundach tenisowych imprez. Nasi reprezentanci odnieśli na tym polu w Wielkim Szlemie trzy zwycięstwa: dwa Jadwiga Jędrzejowska na Wimbledonie (1946 i 1947) oraz Andrzej Licis na Roland Garros (1960)" – piszą autorzy.

O tym, jaki był kontekst awantury o Polaków na Wimbledonie, pisał Robert Radwański, ojciec naszych mistrzyń Agnieszki i Urszuli w magazynie „Tempo". Napisał tam o Tłoczyńskim: „Można się domyślać, sądząc po AK-owskiej karcie, jak bardzo Tłoczyński mógł być rozczarowany powojenną Polską, gdzie mordowano patriotów, torturowano przyjaciół, wreszcie gdzie traktowano tenis jako burżuazyjną dyscyplinę".

Tymczasem prasa PRL wielokrotnie zapowiadała powrót tenisistów do Polski. „Dziennik Zachodni" 24 sierpnia 1945 roku informował w tytule: „Bracia Tłoczyńscy i Spychała żyją", dodając, że zamierzają powrócić do kraju. „Kurier Sportowy" 26–28 sierpnia 1946 roku zapowiadał w tytule: „Ignacy Tłoczyński wróci do Polski". I cytował wypowiedzi Jadwigi Jędrzejowskiej. „Czy nie przyjedzie do Polski? – Tak, gdyż jak mi oświadczył, nie może się doczekać, aby wrócić na stare »śmieci«. Przypuszczam, że przyjedzie na jesień".

Tenis postrzegany jako sport burżuazyjny był w komunizmie często na cenzurowanym. Szczególnie gdy w 1951 roku uciekł z Polski po zawodach w Szwajcarii pięciokrotny mistrz kraju Władysław Skonecki. Prasa okrzyknęła go zdrajcą.

20 zwycięstw w Wimbledonie

Tymczasem Spychała na wygnaniu poślubił Gladys Pilkington. I odnosił sukcesy na Wyspach. Zdobył tytuł mistrza Walii w grze pojedynczej w lipcu 1946 roku oraz tytuł w grze podwójnej wraz z Tłoczyńskim W tym samym roku zdobył także tytuły singlowe na turniejach w Bognor i Middlesex Championships w Chiswick. W kwietniu 1947 roku zdobył tytuł w grze pojedynczej na Tally-Ho!, turnieju Hard Courts w Birmingham, a w lipcu z sukcesem obronił walijski tytuł w grze pojedynczej i deblowej. W sierpniu 1948 roku zdobył kolejne tytuły w grze pojedynczej na Cranleigh Open w Merton Park, West Surrey i New Maldena. We wrześniu pokonał Tłoczyńskiego w finale Mistrzostw Południowej Anglii w Eastbourne, ale wspólnie zdobyli tytuł w grze podwójnej. Tytuły na turniejach Cranleigh i New Malden udało się obronić w następnym roku.

eprasa.pl 506c78f0aa

W 1949 roku zwyciężył w grze pojedynczej na Mistrzostwach Surrey Grass Court w Surbiton, pokonując w finale Geoffreya Paisha. W następnym roku, 1950, stracił ten tytuł na rzecz Narendry Nath, ale w 1951 roku odzyskał go po zwycięstwie w finale z Davidem Samaai. W 1950 roku Spychała i Tłoczyński mieli zagrać w finale mistrzostw hrabstw Midland w Birmingham w grze podwójnej przeciwko Jaroslavowi Drobnému i Billowi Sidwellowi, ale deszcz uniemożliwił grę i nagrodą podzielono się z przeciwnikami.

Jak wylicza portal Historia Polskiego Tenisa, Spychała występował na Wimbledonie aż do 1959 roku, w sumie wygrał tam ponad 20 meczów w singlu, deblu i mikście. Jednocześnie w latach 1946 i 1947 zdobywał tytuły mistrza Walii w singlu i deblu, w parze z Ignacym Tłoczyńskim, a w 1948 roku pokonał go w finale Mistrzostw Południowej Anglii w Eastbourne i… razem wygrali debla. „Ogółem w drugiej połowie lat 40. i na początku 50. zwyciężył w kilkunastu silnie obsadzonych singlowych turniejach w Wielkiej Brytanii. Uczestniczył też w rozgrywkach drużynowych w barwach klubu Polonia, obok I. Tłoczyńskiego, Maksymiliana Stolarowa, Ernesta Wittmanna i pisarza Józefa Garlińskiego" – czytamy.

O Garlickim będzie jeszcze mowa, jednak warto tu zasygnalizować znaczenie tej postaci. Jak pisał portal Dzieje.pl: „Wierność ideałom Polski Niepodległej w powojennej rzeczywistości politycznej zmusiła Józefa Garlińskiego do pozostania poza krajem i zamieszkania na stałe w Londynie, gdzie pracował zawodowo m.in. w kanadyjskim towarzystwie ubezpieczeniowym".

To była robota fizyczna, ale prawdziwą pasją Józefa Garlińskiego stało się pisarstwo historyczne. W sumie tenisista opublikował około dwudziestu książek, w tym kilka wydań obcojęzycznych. Zaczynał Garliński od wspomnień („Dramat i Opatrzność" – 1961, „Matki i żony" – 1962) i okupacyjnych opowiadań („Ziemia" – 1964) oraz dwóch książek zbliżonych do eseju historycznego („Między Londynem a Warszawą" – 1966, „Politycy i żołnierze" – 1968). Rozgłos przyniosła Garlickiemu praca „Oświęcim walczący" na temat przyobozowego i obozowego ruchu oporu w KL Auschwitz.

Garliński obronił też w języku angielskim monografię oświęcimskiej konspiracji, zatytułowaną „Fighting Auschwitz" jako pracę doktorską w London School of Economics and Politikal Science na Uniwersytecie Londyńskim. Potem miała ona 17 wydań. Bardzo pomocna dla Garlińskiego okazała się ponadstustronicowa relacja rotmistrza Witolda Pileckiego – więźnia nr 4859 – na temat jego pobytu w KL Auschwitz.

Zrobili z niego gentlemana na Agrykoli

Po zakończeniu kariery Spychała wciąż aktywny był w londyńskim środowisku tenisowym. Był m.in. gospodarzem kortów w All England Tennis Clubie. Znany dziennikarz Bohdan Tomaszewski mówił w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej" o losach polskich tenisistów: „Weźmy tenis. Książę Czetwertyński, córka kortowego Jadzia Jędrzejowska, Tłoczyński – chłopak z Poznania, Czesław Spychała, z którego na Agrykoli zrobili dżentelmena i nauczyli angielskiego tak, że potem kierował turniejem wimbledońskim – to były postacie tej samej opowieści".

Jak czytamy w wielu relacjach, Spychała zawsze bardzo serdecznie opiekował się przyjeżdżającymi z Polski na Wimbledon młodymi tenisistami. A nie była to łatwa opieka: trzeba im było choćby kupić odpowiednie do gry… buty, których nie mieli.

Z relacji w gazecie „Independent" czytamy z kolei, że aż do przejścia na emeryturę Spychała był jednym z najbardziej znanych sędziów na wszystkich turniejach organizowanych przez markę sportową Slazenger, od 1902 roku będącą dostawcą piłek dla Wimbledonu. Nawet wtedy można go było spotkać na wszelkiego rodzaju turniejach, aż do Klubowych Mistrzostw Królowej przed Wimbledonem.

Spychała został odznaczony przez Rząd RP na Uchodźstwie Złotym Krzyżem Zasługi w 1966 roku. W 1971 roku otrzymał nagrodę brytyjskiego stowarzyszenia dziennikarzy zajmujących się tenisem, czyli Lawn Tennis Writers za zasługi dla tej gry.

Andersowiec, który rządził Wimbledonem

Pozostawał aktywny na Wimbledonie, będąc grubo po siedemdziesiątce. Cezary Gurjew, znany dziennikarz sportowy, tak wspominał w Polskim Radiu 24 swój pierwszy wyjazd na Wimbledon: „W 1991 r. jechałem na pierwszy wielkoszlemowy turniej. To było zawsze moje marzenie, żeby zobaczyć korty Wimbledonu. Poruszałem się tam z młodzieńczą fantazją, a raczej szaleństwem. Dawne czasy… Szefem kortów do treningu był żołnierz armii Andersa, przedwojenny tenisista, wspaniały człowiek – Czesław Spychała, który do samej śmierci pełnił tę funkcję. Piękne czasy, przychodził na korty choćby Józef Garliński, szef pisarzy na uchodźstwie, który pisał cudowne książki o wojnie. No i wielkie mecze…".

Dodajmy, że Spychałę i Garlińskiego oprócz patriotyzmu i antykomunizmu połączył także tenis – pisarz również odnosił w nim sukcesy. W 1993 roku Czesław Spychała po raz pierwszy po pół wieku odwiedził Warszawę. Zmarł 25 grudnia 1994 roku w Londynie. ■

eprasa.pl 506c78f0aa



Białostocczyzna, rok 1945. Żołnierze 5. Brygady Wileńskiej AK. Od lewej: ppor. Henryk Wieliczko „Lufa”, por. Marian Pluciński „Mścisław", mjr Zygmunt Szendzielarz „Łupaszka", dowódca 5. Brygady Wileńskiej AK, wachm. Jerzy Lejkowski „Szpagat", ppor. Zdzisław Badocha „Żelazny"

Dariusz Jarosiński



NAROCZ.
Tutaj się wszystko zaczęło

eprasa.pl 506c78f0aa



80 lat temu, wiosną 1943 roku, powstał pierwszy leśny oddział partyzancki Armii Krajowej na Wileńszczyźnie. Jego losy były tragiczne – 80 partyzantów polskich zostało w sposób skrytobójczy zamordowanych przez bolszewików. Z ocalonych żołnierzy rtm. Zygmunt Szendzielarz „Łupaszka" utworzył legendarną 5. Brygadę Wileńską AK. Do najbardziej niezłomnych żołnierzy mjr. „Łupaszki" należał pochodzący z Wilna wachm. Jerzy Lejkowski „Szpagat", którego setna rocznica urodzin minie 15 października. W dowód uznania za odwagę, poświęcenie dla ojczyzny, „Szpagat" otrzymał od mjr. Szendzielarza złoty sygnet z orłem na biało-czerwonym tle z napisem: „Przyjacielowi Żołnierzowi – Łupaszka". Sygnet ten otrzymało jedynie dziesięciu żołnierzy.

fot. Arch.

Dowódcą pierwszego wileńskiego oddziału partyzanckiego był por. Antoni Burzyński „Kmicic", wychowany na Sienkiewiczu, świetnie wykształcony, władający kilkoma językami, absolwent Gimnazjum im. Zygmunta Augusta w Wilnie, podchorąży Dywizyjnego Kursu Podchorążych Rezerwy Piechoty 5 p. p. Legionów. W 1938 roku otrzymał awans na podporucznika. Dosłownie w przededniu wojny ukończył studia politologiczne w Instytucie Naukowo–Badawczym Europy Wschodniej przy Uniwersytecie Stefana Batorego.

Zbrodnia nad Naroczą

W chwili wybuchu wojny miał 28 lat. W wojnie obronnej 1939 roku wziął udział jako adiutant płk. Stanisława Szyłejki. 18 września został internowany wraz z dowódcą i innymi żołnierzami na Litwie w obozie niedaleko Kowna. Po ucieczce z obozu przez pewien czas ukrywał się, pomieszkując w polskich dworkach, zaściankach. 26 grudnia 1939 roku, w drugi dzień Świąt Bożego Narodzenia, ksiądz Kazimierz Kucharski, jezuita, twórca wileńskiej konspiracji niepodległościowej, współorganizator ZWZ i Okręgu AK Wilno, udzielił ślubu Antoniemu Burzyńskiemu „Kmicicowi" i Stanisławie Bukowskiej „Sarence" w kaplicy klasztornej oo. jezuitów.

Po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej w czerwcu 1941 roku por. „Kmicic" wspólnie z mjr. Stefanem Świechowskim „Sulimą" i Antonim Rymszą „Maksem" zajęli się organizacją konspiracji w okolicach miejscowości Miadzioł, Kobylnik nad jeziorem Narocz, w powiecie postawskim. Centrum życia podziemnego stanowiło miasteczko Świr w powiecie święciańskim, w którym już za „pierwszego Sowieta" powstała prężna siatka konspiracyjna, a nawet niekompletny batalion pod dowództwem Józefa Romejki „Klina", „Bita".

Antoni Burzyński przed wojną myślał raczej o służbie dyplomatycznej, a nie wojskowej, ale los chciał inaczej, że to właśnie on, niedoszły dyplomata, zorganizował pierwszy oddział partyzancki, który powstał wbrew rozkazom Komendy Okręgu AK Wilno, która długi czas była przeciwna czynnej walce z Niemcami, uważała, że ściągnie ona represje na polską ludność.

25 marca 1943 roku, w Dzień Zwiastowania Najświętszej Marii Panny, por. Antoni Burzyński „Kmicic" zaprzysiągł w domu państwa Kursewiczów w wiosce Bryle nad jeziorem Narocz czterech swoich pierwszych partyzantów. Jednym z nich był Zdzisław Szyłejko „Olek", syn byłego dowódcy z kampanii wrześniowej płk. St. Szyłejki.

Oddział szybko się rozrastał, z okolicznych polskich wiosek, miasteczek, zaścianków garnęła się młodzież do walki. Chrzest bojowy oddział przeszedł 15 kwietnia, kiedy została przeprowadzona akcja rozbicia stacji kolejowej Gieladnia. Ogółem podkomendni „Kmicica" zorganizowali

eprasa.pl 506c78f0aa

siedem akcji zbrojnych. W połowie sierpnia oddział liczył około 200 żołnierzy.

Pod koniec czerwca 1943 roku „Kmicic" w porozumieniu z Fiodorem Markowem, dowódcą I Wileńskiej Brygady Sowieckiej Partyzanckiej, przedwojennym nauczycielem ze Święcian, komunistą, założył dwie bazy w pobliżu jeziora Narocz: bazę „A" dla żołnierzy i bazę „B" gospodarczą. Sowiecka baza partyzancka znajdowała się w odległości trzech kilometrów od polskiej. Stosunki pomiędzy dowództwem polskiej i sowieckiej partyzantki początkowo układały się dobrze – dopóty, dopóki w kwietniu 1943 roku Komitet Centralny Komunistycznej Partii (bolszewików) Białorusi nie wydał rozkazu zwalczania polskich oddziałów partyzanckich. Bolszewicy uznali, iż oddziały Armii Krajowej mają być traktowane na równi z okupantem, czyli rozbrajane i likwidowane. Do likwidacji oddziału „Kmicica" został wyznaczony oddział Fiodora Markowa.

Partyzantkę sowiecką stanowiły dziesiątki tysięcy żołnierzy i oficerów Armii Czerwonej, którzy nie zdążyli się ewakuować na wschód przed nacierającym Wehrmachtem w czerwcu 1941 roku. Początkowo bolszewicy maskowali antypolską działalność, jednak w drugiej połowie 1943 roku, po ujawnieniu zbrodni w Katyniu, po zerwaniu stosunków dyplomatycznych z rządem RP na emigracji, na rozkaz najwyższych władz politycznych ZSRS podjęli jawną walkę z Armią Krajową oraz akcje represyjne wobec polskiej społeczności.

26 sierpnia 1943 roku Markow zaprosił do siebie „Kmicica" pod pretekstem uzgodnienia szczegółów wspólnej akcji na niemieckie pozycje w miasteczku Miadzioł. Z wyprawy już „Kmicic" nie powrócił. Sowieci zastawili na Polaków pułapkę – otoczyli polską bazę i zmusili około 200 podwładnych „Kmicica" do poddania się. Po przesłuchaniu polskich partyzantów wytypowali około 80 z nich, a następnie wyprowadzili ich z obozu i rozstrzelali w pobliskim lesie. Część pozostałych przy życiu polskich partyzantów Markow przekazał pod dowództwo kpt. Wincentego Mroczkowskiego „Zapory", nowego dowódcy oddziału, któremu nadał imię Bartosza Głowackiego.

Ocaleni partyzanci, ci, którzy przeżyli, którym udało się zbiec lub mieli szczęście, że akurat przebywali poza bazą, oddali się pod komendę przysłanemu z Wilna rotmistrzowi Zygmuntowi Szendzielarzowi „Łupaszce", który utworzył 5. Brygadę Wileńską AK.

▶ Z Duniłowicz w partyzancki świat

Do 5. Brygady Wileńskiej rotmistrza „Łupaszki" trafili m.in. tacy słynni partyzanci z oddziału „Kmicica", jak Mieczysław Kitkiewicz „Kitek", Antoni Rymsza „Maks", Jan Kursewicz „Akacja", Witold Stabrowski „Mrówka", Edward Rams „Ursus", a także sanitariuszki – Lidia Lwow „Lala", Janina Wasiłojć (Smoleńska) „Jachna".

Na osobną uwagę zasługują Jerzy Lejkowski „Szpagat", Henryk Wieliczko „Lufa" i Zdzisław Badocha „Żelazny". Co prawda „Żelazny" nie był u „Kmicica" w oddziale, lecz wykonywał jego zadania dywersyjne na kolei i po dekonspiracji w kwietniu 1944 roku przyszedł do 5. Brygady. „Szpagat", „Lufa" i „Żelazny" sprawdzili się w najtrudniejszych, najbardziej niebezpiecznych sytuacjach. Znani byli nie tylko ze straceńczej odwagi, lecz także z poczucia humoru, fantazji.

Jako że 15 października minie setna rocznica urodzin Jerzego Lejkowskiego, sądzę, że warto poznać bliżej jego losy. Urodził się w Wilnie 15 października 1923 roku. Mieszkał z rodzicami i dwiema starszymi siostrami przy ulicy Elizy Orzeszkowej niedaleko placu Katedralnego i Góry Zamkowej. Jurek miał zaledwie siedem lat, kiedy zmarł jego ojciec. Podobnie jak wielu jego wileńskich rówieśników należał do harcerstwa. Śmierć ojca spowodowała, że kilkunastoletni chłopak poczuł się prawdziwym mężczyzną, odpowiedzialnym za rodzinę – aby pomóc matce w utrzymaniu domu, po ukończeniu szkoły powszechnej rozpoczął pracę jako praktykant w sklepie bławatnym i jednocześnie uczęszczał do wieczorowej szkoły handlowej. W roku 1940 podjął pracę na kolei w Wilnie. Po napaści Niemiec na Związek Sowiecki, zajęciu Wilna i Wileńszczyzny przez Niemców w czerwcu 1941 roku, przeprowadził się z matką do miasteczka Duniłowicze w powiecie Postawy. Tutaj mieszkała jego starsza siostra z mężem, który pracował w Nadleśnictwie i to on załatwił Jurkowi pracę w księgowości tej firmy.

W Nadleśnictwie Duniłowicze powstała już na początku wojny szkieletowa kompania konspiracyjna Związku Walki Zbrojnej, a później Armii Krajowej, przygotowywana do działań bojowych. Do konspiracji należeli prawie wszyscy pracownicy Nadleśnictwa. Jerzy Lejkowski po zamieszkaniu w Duniłowiczach i podjęciu pracy w Nadleśnictwie, pobudził do życia nieco śpiącą w miasteczku konspirację. Do grupy najbliższych współpracowników Jurka Lejkowskiego należeli m.in.: Julian Domaniewski „Pająk", Leonard Siemaszko „Długi", Henryk Rasiewicz „Kim", Edward Rams „Ursus" oraz dwie wspaniałe, dzielne dziewczyny – Wanda Czyżewska „Basia" i Genowefa Piekarska-Cisz „Grażyna", późniejsze sanitariuszki u „Kmicica". Do siatki AK w Duniłowiczach należało też wielu policjantów z miejscowego białoruskiego posterunku, których organizatorem był Edward Jarkowski „Jarek". Całością siatki AK w Duniłowiczach zawiadywali Władysław Błażewicz „Świt" z Kobylnika, Henryk Głowacki z Kupy oraz Edward Siwicki „Doktor".

1 sierpnia 1943 roku wieczorem grupa 46 partyzantów pod dowództwem por. „Kmicica" zaatakowała w Duniłowiczach placówkę żandarmerii niemieckiej i posterunek policji białoruskiej. Cała akcja odbywała się we współdziałaniu z miejscową siatką AK, która otrzymała wcześniej zadania. Akcja zakończyła się powodzeniem, mia-

eprasa.pl 506c78f0aa

steczko tej nocy z 1 na 2 sierpnia należało do partyzantów „Kmicica" – zdobyto dużo żywności, broni, a także lekarstw, opatrunków z apteki. Po akcji do oddziału por. Burzyńskiego dołączyli nowi żołnierze z siatki w Duniłowiczach, m.in. Jurek Lejkowski, który przyjął pseudonim „Szpagat", a także jego bliscy koledzy „Pająk", „Długi", „Kim", „Ursus" i dziewczyny – Basia" i „Grażyna".

„Szpagat" przydzielony został w oddziale „Kmicica" do plutonu Mieczysława Kitkiewicza „Kitka", przedwojennego podoficera WP. We wszystkich akcjach żołnierze „Kmicica" mieli obowiązek posługiwania się językiem rosyjskim lub białoruskim, sugerując, że są sowiecką partyzantką. W ten sposób chroniona była polska ludność przed niemieckimi represjami. „Szpagat" wyróżniał się wśród żołnierzy nie tylko wzrostem, a mierzył dwa metry i był przystojnym młodzieńcem, lecz także wrodzoną inteligencją i sprytem. Koledzy z oddziału darzyli go dużą sympatią. Zygmunt Grunt-Mejer „Zyga" tak go oceniał: „Odważny, bojowy, koleżeński, wyjątkowej wartości kolega i żołnierz".

Po otoczeniu bazy nad Naroczą przez bolszewików „Szpagat" znalazł się w grupie partyzantów przeznaczonych do rozstrzelania. Dosłownie cudem uniknął śmierci. Nie zawiodły go jednak intuicja i spryt. Uratował przy okazji też życie kolegom z Duniłowicz – „Ursusowi" i „Długiemu". Aby ocalić życie, dołączyli do oddziału kpt. Wincentego Mroczkowskiego „Zapory", który po kilku tygodniach oddał się pod komendę rtm. „Łupaszki".

Walka z trzema wrogami

We wrześniu 1943 roku pod komendą „Łupaszki" było już 50 żołnierzy, z których sformował trzy plutony. W oddziale „Łupaszki" „Szpagat" ponownie trafił do plutonu dowodzonego przez Mieczysława Kitkiewicza „Kitka". W listopadzie w starciu z patrolem sowieckim pod Dobrzyniem „Szpagat" został ranny. Rana była poważna, bo dwie kule z automatu przeszyły mu nogę. W czasie rekonwalescencji przebywał w różnych wioskach, zaściankach u polskich gospodarzy, m.in. w Marcjanowie w młynie u państwa Starzyńskich. Witold Starzyński „Połówka", partyzant „Łupaszki", zasłynął dwiema niewiarygodnymi ucieczkami: w roku 1940 uciekł z niewoli niemieckiej i przedarł się pieszo z Prus Wschodnich do domu na Wileńszczyznę, a dwa lata później uciekł z obozu sowieckiego w Kałudze i też pieszo dotarł do rodziny w Marcjanowie.

Brygada Śmierci broniła polskich Kresów przed trzema wrogami – Niemcami, „sojusznikiem naszych sojuszników", czyli Sowietami, i Litwinami. „Łupaszka" prowadził zupełnie inną taktykę wojskową aniżeli „Kmicic" – nie zakładał stałych baz, jego brygada, podzielona na niewielkie patrole, była w ciągłym ruchu, zadawała wrogowi niespodziewane ciosy. To był dowódca, który nie przegrał żadnej bitwy, który nie szafował życiem żołnierzy, do którego żołnierze mieli zaufanie jak do własnego ojca. „Łupaszka" w przeciwieństwie też do „Kmicica" uważał, że z bolszewikami, komunistami nie rozmawia się – do nich się strzela.

Na początku maja 1944 roku „Szpagat" wrócił do oddziału, starał się „nadrobić zaległości", wykazać, że jest dobrym żołnierzem. Najwidoczniej docenił to „Łupaszka" , bo awansował go do stopnia kaprala.

„Łupaszka" nie widział się w roli realizującego plan Komendy Głównej AK „Burza" – współgospodarza ziemi wileńskiej witającego Armię Czerwoną, bolszewików. Odmówił wzięcia udziału w operacji „Ostra Brama" w lipcu 1944 roku. Wiedział doskonale, czym się ona zakończy – dramatem. I nie mylił się.

W lipcu 1944 roku, realnie oceniając sytuację, dostrzegając śmiertelne zagrożenie ze strony Sowietów, zdecydował się rozwiązać Brygadę. Zaproponował żołnierzom przebijanie się małymi grupkami na tereny Białostocczyzny, ewentualnie powrót na Wileńszczyznę.

Jak feniks z popiołów

„Szpagat" przedzierał się na zachód w grupie „Kitka", w której znajdowali się m.in.: Zdzisław Badocha „Żelazny", Henryk Wieliczko „Lufa", Edward Rams „Ursus", Witold Kozłowski „Pikuś". Po drodze dwukrotnie byli atakowani przez żołnierzy NKWD. Niedaleko Białegostoku zostali zatrzymani przez oddział NKWD i wcieleni do formujących się jednostek Ludowego Wojska Polskiego w Dojlidach Dolnych. W połowie września 1944 roku „Szpagatowi" i kolegom udało się zbiec i dotrzeć do mjr. „Łupaszki", który przebywał wówczas w gminie Gródek. Wielokrotnie musieli zmieniać miejsca zakwaterowania. Zimę z 1944 na 1945 rok grupa „Szpagata" i „Żelaznego" spędziła w bardzo ciężkich warunkach, w prowizorycznie zbudowanych ziemiankach w Puszczy Białowieskiej koło Narewki. Dopiero po pewnym czasie wszyscy partyzanci zostali zakwaterowani na melinach siatki AK w rejonie Bielska Podlaskiego.

Wiosną 1945 roku mjr „Łupaszka" zmobilizował wileńskich żołnierzy AK zamelinowanych po licznych zaściankach Białostocczyzny oraz miejscowych akowców. 5 kwietnia 1945 roku z Oleksina pod Brańskiem wyruszyła w pole odtworzona 5. Brygada Wileńska AK. Brygada podlegała Komendzie Okręgu Białystok AK – AKO (Armia Krajowa Obywateli). Odrodziła się jak feniks z popiołów.

Jerzy Lejkowski dowodził początkowo drużyną w 1. szwadronie por. Zygmunta Błażejewicza „Zygmunta", a później w 4. szwadronie por. Mariana Plucińskiego „Mścisława", którego zastępcami byli „Żelazny" i „Lufa". Poszczególne pododdziały z reguły operowały osobno, doraźnie łącząc się w celu wykonania większych akcji, na przykład zdobycia miasteczek. Żołnierze „Łupaszki" toczyli walki z oddziałami Armii Czerwonej, grupami operacyjnymi UB, LWP, wykonywali wyroki śmierci na agenturze,

eprasa.pl 506c78f0aa

działaczach komunistycznych, likwidowali też pospolitych bandytów. Podziemie niepodległościowe na Białostocczyźnie w roku 1945 ograniczyło zasięg władzy komunistycznej do miasta wojewódzkiego – Białegostoku – i kilku miast powiatowych.

„Szpagat" brał udział we wszystkich akcjach zbrojnych swoich szwadronów. Za szczególne zasługi, odwagę, w sierpniu 1945 roku został awansowany do stopnia wachmistrza (sierżanta) i odznaczony Krzyżem Walecznych.

W dniach 7–8 września 1945 roku w gajówce Stoczek w gminie Poświętne odbyła się ostatnia koncentracja 5. Brygady Wileńskiej AK, podczas której mjr „Łupaszka" na podstawie rozkazów białostockiej Komendy AK AKO i zarządzenia Delegatury Sił Zbrojnych dotyczącego przeprowadzenia akcji „rozładowywania lasów", został zmuszony do demobilizacji Brygady. Jednak wybranym podkomendnym mjr „Łupaszka" zaproponował kontynuowanie działalności konspiracyjnej. Do wybrańców należeli m.in. „Szpagat", „Żelazny", „Lufa" i Leon Smoleński „Zeus". Po kilku dniach czwórka przyjaciół wyjechała do rodziny „Żelaznego" do Sosnowca, a po miesiącu do Łodzi, cały czas utrzymując kontakt z komendantem.

Pamiątkowe zdjęcie z milicjantami

Z końcem roku 1945 mjr „Łupaszka" przeniósł działalność konspiracyjną na Pomorze i podporządkował się macierzystemu Okręgowi Wileńskiemu AK, który ewakuowany z Wileńszczyzny w lecie 1945 roku kontynuował działalność pod nazwą Eksterytorialny Okręg Wileński AK. Aby można było prowadzić działalność konspiracyjną, należało zdobyć pieniądze. 11 stycznia „Lufa" ze „Szpagatem" na drugiej stacji kolejowej przed Koszalinem wskoczyli na stopnie wagonu pocztowego pociągu i skonfiskowali ponad 100 tys. złotych. Zgodnie ze zwyczajem zostawili stosowne pokwitowanie.

W pierwszej połowie lutego zostały zorganizowane trzy patrole dywersyjne, których dowódcami zostali „Żelazny", Józef Bandzo „Jastrząb" i Feliks Selmanowicz „Zagończyk". W skład patrolu „Żelaznego" weszli: „Szpagat", „Zeus", Regina Mordas Żylińska „Regina" oraz Henryk Wojczyński „Mercedes" (kierowca samochodu). W lutym i marcu 1946 roku patrol „Żelaznego" przeprowadził sześć akcji zaopatrzeniowych, wykonał też wyroki śmierci na konfidentach. Większą gotówkę, bo 800 tys. złotych, zdobyli po udanej akcji 18 marca z Banku Rolnego w Koszalinie. Zazwyczaj „Szpagat" z „Zeusem" ubezpieczali w czasie akcji dowódcę patrolu, a „Mercedes" oczekiwał na nich w aucie.

14 kwietnia 1946 roku w opuszczonym majątku Chojty w gminie Dzierzgoń w powiecie Sztum odbyła się koncentracja ochotników do prowadzenia dalszej walki z komunistami. 5. Brygada Wileńska AK po raz trzeci wyszła w pole.

8 maja piętnastoosobowy szwadron pod dowództwem „Lufy", do którego trafił „Szpagat", zdobycznym samochodem ciężarowym podjechał pod posterunek milicji w Karsinie w powiecie Czersk i opanował miejscowość na kilka godzin. Milicjanci zostali rozbrojeni, broń zarekwirowana, a dokumenty z Urzędu Gminy zniszczone. Na kolonii miejscowości Bartel szwadron „Lufy" stoczył zwycięską walkę z grupą operacyjną MO i Ludowego Wojska Polskiego. 2 czerwca partyzanci wileńscy opanowali dwie miejscowości – Stary Targ i Mikołajki Pomorskie w powiecie sztumskim. Rozbili posterunki milicji, skonfiskowali akta świadczeń rzeczowych w urzędach gmin. Na zakończenie pobytu w Mikołajkach zrobili sobie pamiątkowe zdjęcie z milicjantami przed posterunkiem i obiecali, że przy najbliższej okazji przywiozą milicjantom wywołane zdjęcia. W Mikołajkach zaszli też do miejscowego sklepu, a kiedy okazało się, że jest prywatny, zapłacili za towar.

„Lufa" prowadził dziennik 4. szwadronu – partyzancki raptularz szczęśliwie ocalał i jest dzisiaj cennym źródłem historycznym. „Lufa" odnotowywał różne wydarzenia – istotne i nieistotne, na pewno nieźle oddał atmosferę tamtych miesięcy roku 1946. 9 czerwca wileńscy partyzanci urządzili sobie odpoczynek na plaży nad Kanałem Elbląskim. „Lufa" zanotował w dzienniku: „Zielone Święta spędzamy nad wielkim kanałem. Zatrzymujemy tam piękny statek, który jedzie z Ostródy pod Elbląg. Dowiadujemy się, że ma nim podobno wracać Bierut. Wściekamy się, że zatrzymaliśmy go teraz, a nie w drodze powrotnej". Jeżeli faktycznie miał tym statkiem płynąć Bolesław Bierut, spotkanie z nim wileńskich partyzantów mogło być bardzo ciekawe.

23 czerwca odbyła się koncentracja szwadronów „Łupaszki" w leśniczówce koło Purdy nieopodal Olsztyna na Warmii. „Szpagat" złamał nieszczęśliwie rękę, otrzymał od „Łupaszki" zwolnienie na leczenie do 14 lipca. W Olsztynie przeszedł operację chirurgiczną ręki, na którą założono gips. 1 lipca „Szpagat" odwiedził w Morągu Wandę Czyżewską „Basię", z którą razem w Duniłowiczach na Wileńszczyźnie wstępowali do oddziału „Kmicica". „Basia" była sanitariuszką u „Kmicica", a później, w czasie okupacji, opiekowała się rannymi partyzantami AK w różnych leśnych oddziałach, zajmowała się też rannymi partyzantami po operacji „Ostra Brama" w szpitalu w Wilnie. W Morągu pracowała w szpitalu jako pielęgniarka, w jej domu prowadzony był punkt kontaktowy 5. Brygady. Między piękną pielęgniarką i przystojnym partyzantem narodziło się głębsze uczucie, niestety brutalnie przerwane przez więzienie.

„Będę ojcem chrzestnym twego dziecka"

6 lipca o godzinie szóstej rano „Szpagat" wyjechał pociągiem do Olsztyna do znanego mu lokalu kontaktowego partyzantów wileńskich przy ulicy Moniuszki 11. Bywał tutaj już wcześniej, m.in. z „Zagończykiem", „Lufą", „Żela-

eprasa.pl 506c78f0aa

znym", „Stachem", „Orszakiem". W mieszkaniu pani Genowefy Symonowiczowej i jej córek – Haliny i Bogusi – czuli się jak u siebie w domu. Rodzina Symonowiczów pochodziła znad jeziora Narocz. Żołnierzem „Kmicica", a później „Łupaszki" był brat Haliny i Bogusi Norbert „Stopka".

Tym razem w mieszkaniu pani Symonowiczowej oprócz niej i córek oczekiwali na „Szpagata" też ubecy na czele z Józefem Światło, ówczesnym wiceszefem olsztyńskiego WUBP. W mieszkaniu został założony kocioł.

Sprawcą tej wsypy i wielu innych była Regina Mordas Żyłińska „Regina", łączniczka „Łupaszki", która w kwietniu 1946 roku poszła na aktywną współpracę z bezpieką. Wydała wielu konspiratorów, żołnierzy wileńskiej AK.

6 lipca zostali aresztowani „Szpagat" oraz Halina i Bogusia Symonowiczówny, a następnego dnia Wanda Czyżewska (Bortkiewicz) „Basia".

„Szpagat" w czasie pobytu w więzieniu, jeszcze przed procesem, poznał Bronisława Cmelę, pochodzącego z Rzeszowa oficera AK, harcerza. Prawdopodobnie Cmela z polecenia podziemia niepodległościowego wszedł w struktury PKWN (Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego) i miał znajomych wśród nowej władzy. Któregoś dnia Bronisław Cmela powiedział „Szpagatowi", którego najwidoczniej musiał polubić i obdarzyć zaufaniem: „Słuchaj, ja niedługo wyjdę z więzienia, przyrzekam, że nie dostaniesz kary śmierci, wyjdziesz z więzienia. Będziesz miał dziecko i ja będę jego ojcem chrzestnym".

Choć historia brzmi fantastycznie, to jednak rzeczywiście stało się tak, jak powiedział – poprzez swoich kolegów spowodował zwłokę w procesie do amnestii w 1947 roku. Proces rozpoczął się 26 kwietnia 1947 roku. Był to największy proces w olsztyńskim Wojskowym Sądzie Rejonowym pod względem liczby oskarżonych. Wyrok zapadł 9 maja 1947 roku. Jerzy Lejkowski został skazany na karę śmierci. Na mocy ustawy o amnestii z 22 lutego 1947 roku wyrok ten zmniejszono do 15 lat więzienia. Oskarżycielem w sprawie był wiceprokurator wojskowy mjr Izydor Cioch, absolwent prawa na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. Najprawdopodobniej to on miał wpływ na ten proces, bo nieoczekiwanie 18 czerwca 1947 roku został zdemobilizowany i aresztowany.

Mój ojciec

Jerzy Lejkowski odbywał karę w więzieniach w Rawiczu i w Raciborzu. Na tzw. wolność wyszedł 29 listopada 1956 roku. Latem 1957 roku poznał w Łodzi Urszulę Masłowską pochodzącą z Kościerzyny; w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia, tego samego roku, zawarli związek małżeński. W styczniu 1959 roku przyszła na świat córka Maria. Jej ojcem chrzestnym został oczywiście Bronisław Cmela. W roku 1961 zamieszkali we Władysławowie, a dwa lata później w Gdańsku Wrzeszczu.

– Ojciec był osobą bardzo religijną – wspomina córka Jerzego Lejkowskiego, Maria Barabasz. Nie mam wątpliwości, że to głęboka wiara pomogła mu przetrwać dziesięć lat w stalinowskim więzieniu. W więzieniu zrobił z chleba różaniec i modlił się na nim. Przechowuję ten różaniec niczym relikwię. Bez względu na to, czy to w domu, czy u kogoś, zawsze żegnał się przed jedzeniem, przed każdym posiłkiem. Do restauracji nie chodziliśmy. W naszym kościele parafialnym przy ulicy Czarnej w Gdańsku Wrzeszczu miał swoje miejsce. Nigdy w życiu nie usiadł w ławce w kościele – zawsze stał, nawet kiedy był już bardzo chory – nie usiadł i koniec. Pewne wartości tkwiły w nim niczym kotwice. W latach 70. zaczęły się spotkania wileńskich partyzantów, nasz dom był pełen ludzi. Byłam wtedy jedynym dzieckiem partyzanckim, które brało udział w tych spotkaniach. Uwielbiałam siedzieć wśród nich i słuchać. Zawsze zwracali się do siebie pseudonimami. Później śpiewałam razem z nimi wszystkie ich piosenki. Z przyjezdnych byli u nas m.in.: „Jachna", „Zeus", „Maks", „Aldona", „Lala", „Zyga", „Pawlik". To było nasze święto rodzinne. Mama z kuzynką przez kilka dni wcześniej gotowały, nigdy niczego nie mogło zabraknąć. I wszystko musiało być po wileńsku. Specjalnie sprowadzany był ciemny chleb wileński. Ojciec, Witold Stabrowski „Mrówka" i Henryk Sobolewski „Sobol" załatwili u księdza Henryka Jankowskiego, że w trzecią niedzielę sierpnia w kościele pw. św. Brygidy odbywała się Msza święta w intencji poległych i zmarłych partyzantów wileńskich [trzecia niedziela sierpnia ma związek z datą wymordowania przez bolszewików żołnierzy „Kmicica" – przyp. aut.]. Od połowy lat 80. spotkania odbywały się u Konstantego Wojciechowskiego „Rysia" na Lipcach, tam były zdecydowanie lepsze warunki niż u nas czy u Sobolewskich. W ogrodzie stały stoły, wieczorem paliło się ognisko. Wspomnieniom nie było końca. Sprzeczali się czasem dosłownie o każdy drobiazg, o sosenkę, o godzinę, minutę. Sprzeczali się godzinami, ale zawsze się kończyło: „Szpagat, powiedz jak to było". Ojciec posiadał autorytet, ale też miał świetną pamięć ■

***

Pani Wanda Bortkiewicz (Czyżewska) „Basia" obchodziła 27 sierpnia setną rocznicę urodzin. Z tej okazji życzymy dzielnej sanitariuszce dużo zdrowia. Jest ostatnim żyjącym żołnierzem z oddziału por. „Kmicica". Pani Maria Barabasz jedzie wkrótce z rodziną do Wilna. Na 15 października, na setną rocznicę urodzin ojca, śp. Jerzego Lejkowskiego „Szpagata" została zamówiona w Ostrej Bramie Msza święta w jego intencji.

Jerzy Lejkowski zmarł 6 lipca 1991 roku w Gdańsku.

eprasa.pl 506c78f0aa



Agnieszka Kowalczyk

JAK POKONAĆ SYSTEM ZAGŁADY. O UCIECZCE Z KL AUSCHWITZ

eprasa.pl 506c78f0aa



Piechowski, Bendera, Lempart i Jaster uciekając z obozu centralnego Auschwitz-Birkenau, podjęli się niemożliwego, porwali na czyn, jakiego przed nimi nie udało się nikomu dokonać. Kazimierz Piechowski podkreśla, że to ze wszech miar niebezpieczne przedsięwzięcie wymierzone zostało przede wszystkim w poczucie niemieckiej pychy i wyższości, które wyrażały się w propagandowym haśle ideologicznym: „Deutschlad, Deutschland über alles".

FOT. WIKIPEDIA

To był majstersztyk. Ta ucieczka tak zszokowała Niemców, że do jej zbadania SS powołało w Berlinie specjalną komisję. Wbrew obowiązującym w Auschwitz nieludzkim prawom nie ukarano żadnego z więźniów, z którymi mieli kontakt uciekinierzy. Za to siedmiu esesmanów ze straży obozu trafiło na front wschodni. Naziści woleli oskarżyć swoich funkcjonariuszy o niedopatrzenia niż przyznać, że czwórka skazanych na śmierć »podludzi« pokonała system obozu śmierci, który wydawał się im doskonały" – odsłania kulisy tego sensacyjnego wydarzenia Andrzej Fedorowicz w książce „Słynne ucieczki Polaków", mówiącej o drodze do wolności i jej znaczeniu w życiu polskich uciekinierów.

Wyścig ze śmiercią

Głównym inicjatorem tego spektakularnego wyczynu był 36-letni Eugeniusz Bendera, urodzony w Czortkowie na Podolu. Po aresztowaniu przez niemiecką żandarmerię, w styczniu 1941 roku, został wysłany do KL Auschwitz-Birkenau i przez szesnaście miesięcy walczył o przetrwanie. Był kierowcą i niezastąpionym mechanikiem samochodowym, toteż Niemcy skierowali go do prac remontowych przy pojazdach SS. W niemieckiej fabryce śmierci nikt jednak nie mógł czuć się bezpieczny. W maju 1942 roku dotarła do Bendery przekazana mu przez kolegów z Politische Abteilung porażająca wieść, że znalazł się na liście przeznaczonych do zagazowania. Przeraził się, ale nie poddał. W jego głowie zrodził się szalony pomysł ucieczki.

Wiedząc, że w pojedynkę nie wyrwie się z rąk oprawców, postanowił wtajemniczyć w swoje plany zaufanego człowieka. Okazał się nim pochodzący z Tczewa 23-letni Kazimierz Piechowski, doskonale władający językiem niemieckim. Po wybuchu wojny jako harcerz był zagrożony aresztowaniem przez gestapo. Postanowił więc wraz z kolegą ze swojej drużyny „Alkiem" Kiprowskim przedostać się na Węgry, a stamtąd do Francji, by zasilić szeregi tworzącej się tam armii polskiej. Podczas próby przedostania się przez granicę Generalnej Guberni w Bieszczadach, zostali schwytani przez Niemców. Po brutalnym przesłuchaniu w Baligrodzie i „rocznej pielgrzymce po więzieniach" Sanoka, Krakowa i Nowego Wiśnicza, 20 czerwca 1940 roku trafili drugim transportem do Auschwitz-Birkenau. Tam stali się tylko numerami.

Kazimierz otrzymał numer 918 i od razu skierowany został do morderczej pracy przy budowie obozu – baraków, krematoriów, kuchni, dróg i przeciąganiu setek metrów drutu kolczastego. Auschwitz powstawał na jego oczach. Najgorsza okazała się sześciotygodniowa, „piekielna" praca przy zwożeniu zwłok do spalenia. Na zawsze w pamięci utkwiła mu makabryczna scena z udziałem Żyda Immerglücka podczas równania placu apelowego: „Na łańcuchu ciągnął walec. Padł, a Żydzi rwali dalej.

eprasa.pl 506c78f0aa

Ciało odleciało w prawo, nogi pod walcem, walec przetoczył się przez jego jedną nogę". Rannego dobili Niemcy. Najbardziej nieludzkie wydały się Kazimierzowi stosy palne, które w czasie, gdy krematoria nie nadążały ze spalaniem zwłok (5 tys. dziennie), służyły dopełnieniu zagłady. Porażał widok żywych dzieci rzucanych na spalenie! Dla Kazimierza była to zbrodnia Niemców jako narodu.

Podczas niemal dwuletniego pobytu w Auschwitz niejednokrotnie udało mu się wydrzeć śmierci. Tak było, gdy „za kradzież zupy z kotła kapo Johann Siegruth powiesił go za związane łańcuchem do tyłu ręce na haku wbitym w słup podpierający dach baraku. To była wyrafinowana tortura. Przeguby rąk piekły jak przypalane ogniem, skurcze wstrząsały całym ciałem, z nosa i brody kapały strugi potu. Gdy kapo zdjął w końcu Kazika z haka, ten z trudem wstał z ziemi, ale jego ręce nie nadawały się do pracy. A to w Auschwitz oznaczało śmierć". To, że przeżył, zawdzięczał bardziej ludzkiemu nadzorcy swego komanda, który pozwolił mu przez trzy dni symulować pracę, tak iż ręce zdołały wydobrzeć. Po raz drugi spojrzał śmierci w oczy podczas apelu 29 lipca 1941 roku po ucieczce jednego z więźniów, kiedy to Niemcy wybrali na śmierć dziesięciu nieszczęśników z jego bloku.

„Chcę umrzeć za niego"

Tego dnia los oszczędził Kazimierza, na którego oczach dokonał się wówczas wielki akt chrześcijańskiej ofiary. Oto franciszkanin ojciec Maksymilian Maria Kolbe wystąpił z szeregu i ofiarował swe życie za skazanego na stracenie Franciszka Gajowniczka, który jako ojciec rodziny płakał i wołał o zmiłowanie. Jeden ze współwięźniów, świadków tej sceny, inżynier Michał Micherdziński zapamiętał, jak „o. Maksymilian szedł w więziennym pasiaku, z miską u boku, w drewniakach. Nie szedł jak żebrak, ani też jak bohater. Szedł jak człowiek świadomy wielkiej misji. Stanął spokojnie przed oficerami. Cała świta, która dokonywała selekcji, wszyscy stali i patrzyli po sobie, nie wiedzieli, co robić. Wreszcie opamiętał się kierownik obozu i wściekły, zapytał swojego zastępcę: – Was will dieses polnische Schwein? (pol. Czego chce ta polska świnia?). […] O. Maksymilian w postawie na baczność odpowiedział spokojnie po niemiecku: – Ich will für ihn sterben (pol. Chcę umrzeć za niego) i wskazał lewą ręką na stojącego obok Gajowniczka".

Esesman wyraził na to zgodę i ojciec Kolbe wraz z dziewięcioma innymi skazańcami został doprowadzony do bunkra głodowego w bloku 11, gdzie rozebrani do naga i zanurzeni w piwnicznych ciemnościach więźniowie czekali na swój kres w mękach głodu i pragnienia. Maksymilian Kolbe przygotowywał ich na śmierć, modlił się, spowiadał i niósł duchowe pocieszenie. Swe życie zakończył po dwóch tygodniach cierpienia, 14 sierpnia 1941 roku, dobity zastrzykiem fenolu. Świadek jego ostatnich chwil Bruno Borgowiec przekazał, że umierał „w pozycji siedzącej, oparty o ścianę, z oczami otwartymi i głową przechyloną na bok".

Grunt to dobry plan

Zdarzało się, że głód doprowadzał więźniów do szaleństwa, tak iż sami rzucali się na obozowe druty. Przyglądając się jednemu z takich „muzułmanów", który zginął porażony prądem, Kazimierz postanowił sobie, że uczyni wszystko, by nie zatracić woli życia. Los uśmiechnął się do niego, gdy kapo Otto Küsel skierował go do prac przy rozładunku towarów w magazynach Hauptwirschaftlager (HWL). W ich pobliżu znajdowały się warsztaty samochodowe, w których pracował zdecydowany na ucieczkę Eugeniusz Bendera. Do swego pomysłu zdołał w końcu przekonać Kazimierza, który do tej pory nie myślał, by zbiec z Auschwitz. Obaj uznali, że najlepiej byłoby opuścić obóz w mundurach esesmanów, a te, jak przypuszczali, musiały znajdować się w gigantycznych magazynach HWL zaopatrujących wszystkie formacje SS. Pracujący w nich więźniowie rozwozili towary po podziemnych halach, nie mając dostępu do wyższych pięter budynku. Kiedy któregoś dnia Piechowskiego wysłano na górę po kartony, odkrył znajdujące się tam pomieszczenie z odzieżą – Bekleidungskammer. „Było w nim wszystko. Czegoś takiego nie spodziewał się w najśmielszych snach. Na półkach Bekleidungskammer leżały równo ułożone mundury, czapki i hełmy SS, stały buty, broń, skrzynki z amunicją i granatami. Dosłownie wszystko – i to za jednymi drzwiami zamykanymi na zwyczajny zamek. Towar wart dziesiątki tysięcy marek, którego nie pilnował nikt!".

Tymczasem Eugeniusz szykował do drogi samochód, którym mieli wydostać się na wolność. Był to dwudrzwiowy kabriolet marki Steyr 220. Dorobił do niego zapasowy klucz i zdobył dodatkową benzynę. Z dostaniem się do garaży nie powinni mieć większego problemu. Sześćdziesiąt metrów dalej stała wprawdzie wieżyczka wartownicza z uzbrojonym esesmanem, ale w polu swego widzenia miał on przede wszystkim magazyn wraz z wagonami i ciężarówkami. Termin ucieczki wyznaczony został na 20 czerwca 1942 roku. Dla Kazimierza była to data symboliczna, bo tego samego dnia i miesiąca, dwa lata temu, przekroczył bramę obozową.

Ucieczka miała nastąpić w sobotę, bo właśnie wtedy, w samo południe, esesmani opuszczali teren obozu, udając się na odpoczynek. Długo sen z powiek spędzało przyszłym zbiegom pytanie, jak dostać się do HWL. Po dokładnym spenetrowaniu terenu postanowili wejść do środka przez bunkier węglowy, który łączył się z kotłownią, a ta prowadziła do magazynów. Wystarczyło wykręcić wcześniej zwykłą śrubę w klapie włazu, by po jej pod-

eprasa.pl 506c78f0aa

niesieniu od zewnątrz prześlizgnąć się z bunkru do kotłowni.

Fałszywe Rollwagenkommando, czyli czwórka w grze

Największą trudność nastręczało im przedostanie się z obozu centralnego do HWL i garażu. Gdyby zauważono, że po pracy nie wrócili do swojego bloku, to dziesięciu współwięźniów ukaranych zostałoby śmiercią. „Nie można uciec z bloku. Nie można uciec z komanda. A gdyby… gdyby uciekło całe komando! Kto z więźniów zostanie wtedy pociągnięty do odpowiedzialności? Regulamin obozu nie przewidywał takiej możliwości, Niemcy w ogóle nie brali czegoś takiego pod uwagę!". To był genialny pomysł! „– Trzeba stworzyć fałszywe komando pracy. Jeśli Niemcy je wypuszczą i ono nie wróci, to nikt poza nim nie będzie ponosił za to odpowiedzialności" – mówił Kazimierz Gienkowi Benderze.

Do realizacji tego planu potrzebnych było czterech więźniów, którzy stworzyliby najmniejsze obozowe komando pracy – tak zwane Rollwagenkommando. Był to „ludzki zaprzęg" ciągnący wóz naładowany cegłami, żywnością, odzieżą, a często też trupami. Należało więc znaleźć jeszcze dwóch zaufanych ludzi. Jednym z nich okazał się 26-letni Józef Lempart spod Wadowic, który został wysłany do Auschwitz tuż przed złożeniem święceń kapłańskich, a teraz pracował jako pomocnik Bendery w obozowych warsztatach samochodowych. Ostatnim zaś śmiałkiem został wysoki, dobrze zbudowany Stanisław Jaster, 21-letni warszawiak, przed wojną – instruktor w wodniackiej drużynie harcerskiej. Niemcy schwytali go 19 września 1940 roku podczas wielkiej łapanki na warszawskim Żoliborzu i wywieźli na Pawiak, gdzie w czasie okrutnego śledztwa wybito mu zęby. Potem w listopadzie wysłano go transportem do Auschwitz. Za wszelką cenę pragnął wydostać się z obozu i walczyć w podziemiu, biorąc przykład z rodziców, którzy w czasie Wielkiej Wojny służyli w Legionach Polskich.

Ta czwórka ryzykantów poprzysięgła sobie, że gdyby plan się nie powiódł i wpadli w ręce Niemców, to popełnią samobójstwo, bo próba podjęcia walki na terenie obozu mogłaby przynieść zgubę wielu współwięźniom, zgładzonym w odwecie.

Czas przesiąść się do kabrioletu

Decyzja była nieodwracalna. Po wyjściu z baraku jak gdyby nigdy nic skierowali się w stronę kuchni, ku stojącym nieopodal rollwagom wypełnionym kartonami i obierkami ziemniaków. „Kazik założył na ramię żółtą opaskę vorarbeitera. Złapali za dyszle i ruszyli w stronę bramy Arbeit macht frei. – Rollwagenkommando, Vorarbeiter 918 i trzech więźniów – zameldował strażnikowi Piechowski. – Jedziemy wywieźć śmieci i przywieźć cegły do remontu baraku". Ta chwila oczekiwania na reakcję esesmana dłużyła się w nieskończoność, bo mógł on sięgnąć po księgę, w której odnotowane było każde obozowe komando pracy, a wtedy wyszłoby na jaw, że ich Rollwagenkomando nie istnieje! Niemcowi nie chciało się jednak szperać w papierach i bez podejrzeń przepuścił całą czwórkę. Po przekroczeniu obozowej bramy skierowali się w stronę magazynów, gdzie czekał już na nich Bendera z dorobionym kluczem do garaży i gotowym do odjazdu kabrioletem. Staszek pozostał na czatach, mając na oku postenbudę strażniczą, a Kazimierz i Józef doskoczyli do włazu bunkra, usiłując podnieść jego ciężką klapę. Jakież było ich zdziwienie, gdy nawet nie drgnęła. „Co się stało? Czy ktoś zauważył wykręconą od wewnątrz śrubę i zamocował ją jeszcze raz? To byłaby katastrofa. Kazik zawołał Staszka. Potężny warszawiak z trudem włożył palce pod zagiętą blachę włazu. Pociągnęli w trójkę. Klapa puściła ze zgrzytem. Po kolei skakali na leżącą pod nią stertę węgla. Ostatni Staszek zamknął za sobą właz. Byli w bunkrze".

Chwyciwszy za ukryty łom, wyważyli drzwi prowadzące do magazynów, wpadając do Bekleidungskammer, by przebrać się za Niemców. Staszek i Józef założyli mundury szeregowców, a Kazimierz – podporucznika SS. Zaopatrzyli się też w broń i amunicję, po czym próbowali wydostać się na rampę. Spłoszył ich jednak warkot niemieckiego auta. „– Jeśli wejdą: Hände hoch, rozbrajamy ich, wiążemy i zostawiamy w magazynie" – ustalili między sobą. Na szczęście po chwili samochód ruszył dalej. Staszek, machając białą chusteczką, czym prędzej dał znać Gienkowi, by podjechał pod magazyny. Kazimierz czekał już na rampie. „Bendera, wciąż w pasiaku, wysiadł z auta, zdjął czapkę, przepisowo zameldował się Untersturmführerowi i wszedł do magazynu, gdzie natychmiast pobiegł do Bekleidungskammer szukać ubrań i munduru dla siebie. W tym czasie Staszek z Józkiem pakowali już broń i amunicję do samochodu. Po kilku minutach wrócił Gienek ubrany w mundur szeregowego SS. Zamknęli drzwi i wsiedli do steyra – z tyłu po lewej Staszek, po prawej Józek, za kierownicą Gienek, a obok niego najstarszy rangą Kazik. Kierunek: Wadowice!".

Mundur podporucznika SS budził respekt wśród Niemców. Toteż podróż drogim kabrioletem z widocznymi wojskowymi dystynkcjami była niezawodną tarczą ochronną. Co pewien czas na horyzoncie wyłaniał się jakiś esesman, który wyciągał ku jadącym rękę z okrzykiem: Heil Hitler. Oni zaś z drżeniem serca zbliżali się do ostatniego posterunku wartowniczego. A tam, o zgrozo, strażnik siedział wciąż jakby przykuty do krzesła i nie otwierał szlabanu. Kazimierz zamarł w bezruchu. Z letargu wyrwało go uderzenie w kark przez Józefa i jego błagalne słowa: „Kazek, zrób coś". Ten zaś poderwawszy się, „otworzył drzwi, wystawił ramię z pagonami mun-

eprasa.pl 506c78f0aa

duru tak, aby wartownik mógł dokładnie zobaczyć jego szarże i czystą niemczyzną rzucił w jego stronę wiązankę przekleństw. – Do jasnej cholery, […] otwieraj ten szlaban, bo zaraz cię obudzę". Efekt był natychmiastowy. Niemiec w mig spełnił rozkaz Untersturmführera. W tym momencie czterej więźniowie przekroczyli granice obozu zagłady.

Byli już wolnymi ludźmi, ale nadal groziło im śmiertelne niebezpieczeństwo. Nie znając dobrze drogi, zamiast na Wadowice, jechali wprost do Monowitz – podobozu KL Auschwitz. Najpierw ich oczom ukazał się widok więźniów w pasiakach zagnanych do budowy gigantycznej fabryki przemysłu zbrojeniowego Buna-Werke, a potem na horyzoncie pojawił się oficer SS na koniu. Oddali mu należne honory wojskowe, on natomiast nie zwrócił na nich większej uwagi. Okazało się, że był to zastępca komendanta Rudolfa Hössa – Sturmbannführer Hans Aumeier, postrach więźniów, okrutnik i sadysta, powtarzający im, że „jedyna droga ucieczki z obozu wiedzie przez komin krematorium" i że „przyzwoity więzień to martwy więzień". Gdy zniknął z oczu jadącym, skierowali się na szosę do Wadowic.

Wkrótce na ich drodze stanął kolejny Niemiec. Na jego widok Bendera przyspieszył, choć ten starał się zatrzymać samochód. Pozostawiony w tyle, złorzeczył i wygrażał pięścią odjeżdżającym. Od tego momentu czuli się jeszcze bardziej zagrożeni, domyślając się, że mógł już za nimi ruszyć pościg z obozu. Postanowili więc zboczyć z głównej drogi i jechać przez las. Trakt zamienił się jednak w potoczek naszpikowany kamieniami, które spowodowały awarię samochodu. Dalej szli więc pieszo, co prawda w strachu, ale ciesząc się wolnością.

Gdy zacieśnia się pierścień obławy

Podczas gdy przedzierali się lasami w stronę Beskidu Sądeckiego, w KL Auschwitz zawrzało! Dowiedziawszy się o ucieczce czterech więźniów i to w niemieckich mundurach, Aumeier wpadł w szał, miotał się z wściekłością po placu apelowym, śmiał histerycznie i rzucał przekleństwa. Należało schwytać ich za wszelką cenę. Władze obozowe rozesłały ich rysopisy do wszystkich jednostek gestapo, policji kryminalnej i straży granicznej na obszarze Generalnej Guberni. W ślad za zbiegami poszły też listy gończe, które trafiły nawet do najmniejszych wiosek. Ponadto za wskazanie uciekinierów wyznaczono nagrodę w wysokości pół miliona złotych. Działania te nie przyniosły jednak spodziewanych rezultatów, bo o czwórce, która pokonała niezawodny jak dotąd system obozowych zabezpieczeń, słuch zaginął.

Komendantura obozu, nie chcąc przyznać się do kompromitacji, nie ukarała żadnego z więźniów. Winnych jednak należało bezwarunkowo znaleźć, tym bardziej że o sensacyjnej ucieczce dowiedziały się najwyższe władze SS w Berlinie, zarządzając śledztwo. W jego wyniku kilku podoficerów SS, posądzonych o niedopatrzenia, wysłano na front wschodni, a odpowiedzialnością za dopuszczenie do ucieczki obarczono niemieckiego więźnia Kurta Pachalę, pełniącego funkcję kapo magazynów. Oskarżony o pomoc zbiegom, wtrącony został do bunkra głodowego, gdzie zmarł w styczniu 1943 roku.

Tymczasem wycieńczeni, głodni i brudni więźniowie Auschwitz, dotarli do góralskiej chaty w Czarnym Potoku. Tuż za nimi zjawił się… pościg. W ich stronę szła pięcioosobowa grupa esesmanów. Zauważył ich czuwający na zewnątrz Staszek i dał znać reszcie, która przebywała w izbie. Sam został na posterunku i odbezpieczył broń. „Jeśli esesmani zagadną go chociaż słowem, wszystko się wyda. Napięcie rosło, czas dłużył się w nieskończoność. I nagle stało się coś niebywałego. Niemiecki oddział bez słowa minął Staszka i jakby go nie widząc – poszedł dalej!". Widocznie, jak sądzono, Niemcy bali się konfrontacji z uzbrojonymi Polakami, chcieli spokojnie doczekać końca wojny na służbie w Auschwitz. „Po co łapać ogień w ręce? – tłumaczył kolegom Piechowski. – Wiedzieli, że nie mają szans i poszli dalej zadowoleni, że nie częstujemy ich ogniem".

Cena wolności

Pierścień obławy zacieśniał się jednak coraz bardziej. Musieli uciekać dalej. Szli więc przez całą noc w kierunku odwrotnym do napotkanej grupy pościgowej. Gdy zaś słońce zagościło na niebie, ukryli się w łanach dojrzewających zbóż. Najbardziej wycieńczony był Józef Lempart. Szedł z trudem, z ust ciekła mu krew, prosił nawet kolegów, by go pozostawili. Nie chcieli jednak o tym słyszeć. I gdy tak posuwali się naprzód nocami, chowając w ciągu dnia, któregoś razu omal nie wpadli w ręce obławy. Wywiązała się ostra strzelanina, napastników wprawdzie przepłoszyli, ale Józef został postrzelony w kolano. Nie mógł iść dalej. Ratunek znaleźli na najbliższej plebanii. Potem postanowili się rozdzielić. Proboszcz zgodził się ukryć u siebie rannego, a później znalazł mu schronienie w starosądeckim klasztorze. Tam przeżył wojnę jako mnich. W odwecie za ucieczkę Niemcy wywieźli matkę Józefa do Auschwitz, gdzie została zamordowana. On sam zaś po zakończeniu działań wojennych, opuścił zakon i założył rodzinę. Zginął tragicznie w 1971 roku pod kołami autobusu w Wadowicach.

Z kolei Stanisław postanowił przedrzeć się do Warszawy, bo jak się okazało, działał w obozowej konspiracji i rotmistrz Witold Pilecki zdołał przekazać mu w Auschwitz raport dla władz Armii Krajowej, który chciał jak najszybciej dostarczyć swoim zwierzchnikom.

Kazimierz z Eugeniuszem szli dalej razem, znajdując schronienie w Radoszycach na Kielecczyźnie, gdzie zamieszkiwała zaprzyjaźniona z Benderą rodzina Słup-

eprasa.pl 506c78f0aa

czyńskich. Dzięki ich staraniom Eugeniusz zaopatrzony został w fałszywą kenkartę i wrócił do rodzinnego domu. Na miejscu jednak okazało się, że jego żona, by ocalić życie, związała się z Niemcem. Nie mógł tam więc dłużej pozostać. Po wojnie jednak „wybaczył żonie i mieszkał z nią w Przedbórzu do 1959 roku, pracując jako mechanik samochodowy. Kiedy się rozwiedli, wyjechał do Warszawy, gdzie zmarł w 1988 roku".

Kazimierz natomiast znalazł bezpieczną kryjówkę we wsi Mnin, gdzie zatrudnił go młynarz Nikodem Nowakowski. Jego córka Krystyna była łączniczką AK i, poznawszy historię ucieczki Piechowskiego, wciągnęła go w działalność akowskiego podziemia. Odtąd służył w oddziale Adama Kusza „Garbatego". Gdy wojna się skończyła, wrócił na Pomorze. Choć nie wyjawił nigdy władzom komunistycznym swej konspiracyjnej tożsamości, był pod stałą obserwacją UB i stał się ofiarą prowokacji. Podczas rewizji znaleziono w jego mieszkaniu podrzuconą broń. Za jej nielegalne posiadanie skazany został na dziesięć lat więzienia. Na wolność wyszedł po siedmiu, ukończył studia na Politechnice Gdańskiej i rozpoczął pracę w stoczni. O swoim życiu opowiedział w książkach: „Byłem numerem… historie z Auschwitz" (2004) oraz „My i Niemcy" (2008). Stał się również bohaterem filmu dokumentalnego „Uciekinier" w reżyserii Marka Tomasza Pawłowskiego.

Staszek Jaster natomiast po dotarciu do Warszawy, przeżył prawdziwy wstrząs, dowiedziawszy się, że jego rodzice zostali aresztowani przez gestapo i wywiezieni do obozów koncentracyjnych. Ojciec zginął w Auschwitz, a matka w Majdanku. Poprzysiągł sobie, że ich pomści. Został więc bojownikiem podziemnej formacji „Osa"-„Kosa 30", w ramach której dokonywał zamachów na wysokich rangą niemieckich oficerach i urzędnikach. Kres jego działalności przyszedł nieoczekiwanie wraz z katastrofą, jaka stała się udziałem członków jego oddziału. Oto 5 czerwca 1943 roku w kościele św. Aleksandra w Warszawie miał się odbyć ślub żołnierza „Osy"-„Kosy 30" Mieczysława Uniejewskiego z siostrą innego z członków oddziału. Na uroczystość przybyło prawie całe podziemie związane z tym elitarnym zgrupowaniem zbrojnym. Gestapo zastawiło pułapkę. Aresztowano 89 osób, wielu z nich po śledztwie na Pawiaku trafiło do więzień i obozów zagłady, 20 konspiratorów rozstrzelano.

Władze polskiego podziemia za wszelką cenę postanowiły odnaleźć zdrajcę, który przekazał gestapo informacje o ślubie Uniejewskiego. Podejrzenia padły na… Stanisława Jastera, który nie pojawił się na uroczystości. On zaś ścigany przez gestapo i śledzony przez kontrwywiad AK, chciał poprosić swego dowódcę Mieczysława Kudelskiego „Wiktora" o przeniesienie do oddziału partyzanckiego na Kresach Wschodnich. I właśnie w czasie tej rozmowy, 12 lipca 1942 roku, obu na warszawskiej ulicy schwytało gestapo. Staszek zachował jednak zimną krew i postanowił uciekać – „kiedy auto przejeżdżało przez plac Unii Lubelskiej, obezwładnił gestapowca i razem z nim wyskoczył z jadącego samochodu. Mimo postrzału w nogę udało mu się ukryć w bocznych uliczkach i uciec".

To niewiarygodne wprost wyrwanie się rąk wroga sprawiło, że kontrwywiad AK posądził go o zdradę i wykonał na nim wyrok śmierci bez sądu. Kazimierz Piechowski, jak pisze Andrzej Fedorowicz, „do końca życia walczył o jego pamięć. Nie wierzył, że człowiek, któremu Niemcy zabili oboje rodziców, był w stanie współpracować ze służbami wroga". Podobnie twierdziło wielu historyków i kombatantów, uważając, że śmierć Jastera była rezultatem tragicznej pomyłki podziemia. 25 września 2019 roku, decyzją prezydenta Andrzeja Dudy, Stanisław Jaster został pośmiertnie uhonorowany Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, co nabrało wymiaru jego symbolicznej rehabilitacji.

***

Piechowski, Bendera, Lempart i Jaster, uciekając z obozu centralnego Auschwitz-Birkenau, podjęli się niemożliwego, porwali na czyn, jakiego przed nimi nie udało się nikomu dokonać. Kazimierz Piechowski podkreśla, że to ze wszech miar niebezpieczne przedsięwzięcie wymierzone zostało przede wszystkim w poczucie niemieckiej pychy i wyższości, które wyrażały się w propagandowym haśle ideologicznym: „Deutschlad, Deutschland über alles". Genialny plan ucieczki opierał się na założeniu, że Niemcami kieruje wyłącznie buta i ślepa wiara w swój geniusz i że w więźniach widzą tylko istoty prymitywne, bydło robocze, „podludzi" niezdolnych do niczego… „Podludzie powinni byli ginąć wdeptywani w błoto jak robaki – masowo, lecz samotnie, anonimowo, bez godności należnej ofiarniczemu cierpieniu, w upodleniu i hańbie, o ile możności przykładając się sami do własnej zagłady" – oddaje istotę nazistowskiej ideologii Jan Józef Szczepański w zbiorze esejów „Przed nieznanym trybunałem". Tymczasem opracowanie planu ucieczki i jego urzeczywistnienie stały się tego całkowitym zaprzeczeniem. Dzięki mistrzowskiej mistyfikacji, która obnażyła nazistowski sposób myślenia i postępowania, uciekinierzy skompromitowali przedstawicieli „rasy panów" i ostatecznie nad nimi zatryumfowali swą inteligencją, solidarnością i umiłowaniem wolności. ■

Źródła: Andrzej Fedorowicz, „Słynne ucieczki Polaków", Warszawa 2018; „Kazimierz Piechowski opowiada o brawurowej ucieczce z Auschwitz" (Godzina Prawdy/ Trójka), 2 stycznia 2015, https://trojka.polskieradio.pl/artykul/1341909,Uciekinier-z-Auschwitz-swoj-plan-oparlem-na-glupocie.

eprasa.pl 506c78f0aa



Car Iwan IV Groźny wysłuchuje listu od Andrzeja Kurbskiego.

Tomasz Gromadka

Andrzej Kurbski – PIERWSZY ROSYJSKI DYSYDENT

eprasa.pl 506c78f0aa

„Nie niszcz więcej siebie i swojego domu! Opamiętaj się i powstań! Nigdy nie jest za późno, aby okiełznać siebie samego i swoją wolę. […] Przyjmij Boskie antidotum, leczące od nieuleczalnych, śmiercionośnych trucizn […]" – pisał do Iwana Groźnego Andrzej Kurbski. Kniaź prowadził korespondencję z carem, bo – jak się wydaje – wierzył w możliwość nawrócenia władcy.

FOT. ARCH.

Historia Rosji charakteryzuje się zadziwiającą ciągłością, jeśli chodzi o relacje władza–poddani. Niezależnie od okresu z jednej strony naród żywi wobec władcy wiernopoddańczą, religijną wręcz cześć i posłuszeństwo, a z drugiej strony władca jest uosobieniem despotyzmu i terroru wobec poddanych. Ten stan rzeczy trwa od późnego średniowiecza i nawet metody terroru pozostają podobne, choć zmienia się ich natężenie. Jedna linia czasu łączy też akty agresji wobec sąsiadów – wywózki mieszkańców Kazania, których dokonywał Iwan Groźny, ze współczesnymi deportacjami mieszkańców Mariupola. Mimo to jednak nawet tak chore społeczeństwo jest w stanie zrodzić jednostki, które dostrzegają tragedię Rosji i usiłują ją uzdrowić. Tu także istnieje zadziwiająca ciągłość historyczna – ludzie ci, zmuszeni do emigracji, na kraj wygnania wybierają częstokroć Rzeczpospolitą. Pierwszym z nich był kniaź Andrzej Kurbski.

„Nie ujrzysz więcej na tej ziemi mej twarzy, carze"

„On – Chrystus mój […] – jest sędzią między tobą i mną" – pisał do Iwana Groźnego, swego niegdysiejszego władcy i przyjaciela z Litwy. Tam, pod rządami Jagiellonów, kilka lat przed unią lubelską znalazł ratunek i schronienie przed szałem terroru Iwana, który rozlewał się po państwie moskiewskim na skalę nawet tam dotąd niespotykaną, pochłaniając tysiące ofiar. Gniew cara miał spaść i na Kurbskiego, który był najważniejszym z wodzów jego armii. Gdy tylko kniaź dostrzegł jego pierwsze zapowiedzi, nie czekał – przekroczył granicę Moskwy i Litwy i poprosił o azyl polityczny. Nie udało mu się wywieźć rodziny. Iwan – nie zważając na przyjaźń łączącą go niegdyś z kniaziem – rozkazał zamordować jego matkę, żonę i synka.

Wydawałoby się, że motywacje, które skłoniły Kurbskiego do ucieczki, są proste i zrozumiałe. A jednak kniaziowi nie zależało jedynie na ocaleniu swojego życia. Po ucieczce do Rosji rozpoczął wymianę korespondencji z Iwanem Groźnym, w której – być może jako jedyny – usiłował zmusić go do refleksji i do nawrócenia.

Zdobywca Kazania

Kurbski urodził się i dorastał w państwie moskiewskim, ale w pamięci miał utracone dziedzictwo swoich przodków – suwerenne księstwo ze stolicą w Jarosławiu nad Wołgą. Było ono jednym z licznych ruskich państw powstałych w średniowieczu i jednym z wielu, które stały się ofiarą Moskwy – najbardziej agresywnego z nich. Kniaziowie jarosławscy

eprasa.pl 5f6c78f0aa

przeżyli podbój, ale zostali przesiedleni i zmuszeni do myślenia po moskiewsku. Wtłoczono ich do grona rodzącej się kremlowskiej elity. Nie zapomnieli jednak o swoim pochodzeniu. Zachował się podpis, złożony już po ucieczce na Litwę. Andrzej Kurbski podpisał się jako Andrzej Jarosławski Kurbski.

Przez całą młodość Kurbski służył wiernie Iwanowi Groźnemu, wnukowi Iwana Srogiego, zdobywcy Jarosławia. Został nie tylko najważniejszym z jego dowódców wojskowych, lecz także osobistym przyjacielem. Jak sam potem pisał, w początkach swego panowania Iwan żył w powściągliwości i rządził godnie, uznając się za „pokornego sługę Bożego". Kurbskiemu właśnie zawdzięczał Groźny najważniejsze zwycięstwo militarne. Warto przedstawić głębiej ten temat.

W połowie XVI wieku od wschodu i południa państwo moskiewskie otaczały państwa tatarskie. Polacy znają bardzo dobrze Chanat Krymski, ale oprócz niego w XVI wieku istniały także trzy inne. W dorzeczu Wołgi i Kamy rozciągał się Chanat Kazański, a u ujścia Wołgi do Morza Kaspijskiego – Chanat Astrachański. Władcy i elita tych państw wyznawali islam, choć znaczna część ludności trwała przy szamanizmie. Tatarzy kontrolowali największy w tej części świata rzeczny szlak handlowy, biegnący z jednej strony z Moskwy (stamtąd sprowadzano futra, szczególnie sobole), z drugiej – z pełnych surowców gór Ural przez Morze Kaspijskie do Persji i Indii. Zapewniało to chanom ogromne bogactwo i potęgę, a jednocześnie odcinało od tych skarbów Moskwę.

Ponieważ inne okno na świat – bałtyckie porty w Inflantach i Estonii – również było dla Moskwy zamknięte (Iwan Groźny będzie próbował opanować je zbrojnie, ale Stefan Batory zada mu klęskę), a szlaki handlowe biegnące przez Ocean Arktyczny dostępne były tylko podczas krótkiego, polarnego lata, Moskwa postanowiła opanować dolinę Wołgi i wybić sobie dostęp do Morza Kaspijskiego. Wykorzystała okres słabości Chanatu Kazańskiego – najpotężniejszego z państw tatarskich, z którymi sąsiadowała. Na Kazań wyruszyła w 1552 roku wyprawa wojskowa, prowadzona przez Andrzeja Kurbskiego. Moskale oblegli miasto, ale zwycięstwo nie byłoby możliwe, gdyby nie pomoc Europy. W ich szeregach znajdowali się najemni saperzy z Zachodu, którzy – używając technik nieznanych dotąd w tej części kontynentu – zdołali wysadzić w powietrze mury tatarskiej stolicy.

Ostatniego chana, przedstawicieli elit tatarskich, a także zwykłych mieszkańców Kazania wywieziono w głąb państwa moskiewskiego. Spotkał ich ten sam los, którego doświadczyli przodkowie Kurbskiego i którego w przyszłości mieli doświadczyć członkowie dziesiątek innych narodów. Takie postępowanie Moskwy wynika z dwóch powodów. Po pierwsze, w ten sposób pozbawia ona elit podbite narody, co jest koniecznym krokiem do wynarodowienia. Po drugie, kradnie najbardziej wartościowych członków zwyciężonych państw. Drugi czynnik istotny był o tyle, że Moskwa swoich elit wówczas praktycznie nie miała. Skąd miałyby się wziąć w państwie bez uniwersytetów i uczonych, w którym do XVIII wieku obowiązywał zakaz drukowania książek innych niż cerkiewne modlitewniki, a każda książka przywieziona z zagranicy była konfiskowana?

Na miejsce wywiezionych osiedlono natomiast ludność rosyjską, czyniąc tym samym z Kazania i innych dużych miast tatarskich centra rusyfikacji i ścisłej kontroli podbitych ludów. Tu znowu dostrzegamy metodę działania Rosjan, stosowaną do dziś. Rosyjskojęzyczne enklawy w sercu zdobytego kraju są niczym obce ciało w organizmie, niczym nowotwór. W XX wieku tworzono je w ZSRS, tysiące Rosjan osiedlając w Estonii, na Łotwie, na Białorusi (na przykład w Brześciu), na Ukrainie, a przede wszystkim w Obwodzie Królewieckim i w Naddniestrzu.

W oparach absurdu

W ślad za Kazaniem padł Astrachań – stolica kolejnego chanatu, dużo słabszego i niepotrafiącego oprzeć się rosnącej potędze Kremla. Na ziemiach obu państw, zamieszkałych w większości przez ludność muzułmańską, zamknięto wszystkie meczety. Doprowadziło to do serii powstań chłopskich, krwawo tłumionych.

Podbój uzasadnił car tym, że „[…] Kazań jest moskiewską jurtą od niepamiętnych czasów, a on jedynie ukarał mieszkańców za nieposłuszeństwo" (za: Gorczyca 2012, s. 58). Nie był to jedyny raz, gdy odwołał się do (pseudo)argumentów historycznych. W listach do europejskich królów przekonywał, że pod jego panowanie muszą wrócić inne „odwiecznie rosyjskie ziemie", a więc… Inflanty, Litwa, Prusy Książęce, Pomorze Gdańskie, a nawet Wiedeń. Utrzymywał, że terenami tymi miał rządzić w starożytności niejaki Prus, rodzony brat Oktawiana Augusta i protoplasta rosyjskiej dynastii. Jedyny godny tych teorii komentarz napisał Andrzej Kursbki: „[…] nie tylko uczeni i wybitni mężowie, ale i prości, a także dzieci odnoszą się doń ze zdziwieniem i śmiechem".

Opary absurdu nie opadły znad Rosji mimo upływu 500 lat. W popularnej w Rosji od kilku lat piosence „Diadia Wowa" (pol. Wujek Włodek), wykonywanej przez uczniów jednej z rosyjskich szkół, a na YouTube cieszącej się ponad 6 mln wyświetleń, padają słowa: „Sewastopol jest nasz i Krym, obronimy je dla potomnych. Odstawimy Alaskę do ojczystego portu".

eprasa.pl 506c78f0aa

Podbój Kazania i Astrachania, a także ekspansja na Syberię, rozpoczęta krótko przed śmiercią cara i kontynuowana już po niej, dały Moskwie ogromne terytorium i głębię strategiczną, która – jak zauważył Andrzej Nowak – przeważyła w rywalizacji polsko-rosyjskiej. To dzięki tej głębi Rosja zyskała szansę, by stać się potęgą, która w XVIII wieku będzie w stanie podporządkować sobie Rzeczpospolitą.

Mimo upływu wieków ogień oporu wciąż tli się wśród kazańskich Tatarów. W 1990 roku ogłosili oni niepodległość i choć ich państwo – Tatarstan – w 1994 roku powróciło pod władzę Kremla, można żywić nadzieję, że nie jest to jeszcze koniec ich historii.

Moskwa – trzeci Rzym?

Gdy Andrzej Kurbski uciekał na Litwę w 1564 roku, terror Iwana Groźnego zaczynał rozlewać się już po Rosji. Najpierw zdziesiątkowano ludzi związanych z aparatem państwa i arystokratów – ginęli dowódcy wojskowi i urzędnicy, kniaziowie i bojarzy. Oprawcy nie szczędzili rodzin prawdziwych lub wyimaginowanych carskich wrogów – w ten sposób psychopatyczny monarcha zabezpieczał się przed zemstą. W następnej kolejności terror dotknął całe społeczeństwo. Jednym z najjaskrawszych jego przejawów była rzeź Nowogrodu Wielkiego – dużego kupieckiego miasta, pozostającego pod władzą Kremla od kilkudziesięciu lat. W 1570 roku Iwan Groźny – bez żadnego wyraźnego powodu – wysłał tam swoich opriczników. Otoczyli oni miasto, wzięli je szturmem i dokonali masakry kilkudziesięciu tysięcy mieszkańców.

„Czemu, carze, wygubiłeś możnych w Izraelu [tzn. wśród chrześcijan – przyp. T.G.], a wojewodom, danym ci od Boga, różnymi sposobami zadałeś śmierć? Czemu ich zwycięską, świętą krew przelewałeś w świątyniach Bożych, na uroczystościach dworskich i krwią ich męczeńską zbroczyłeś cerkiewne progi? […] W czym ci zawinili, carze, czym cię rozgniewali?" – pytał Kurbski w liście wysłanym wnet po ucieczce. I my zadajmy to pytanie. Co powodowało Iwanem Groźnym? Ale dodajmy drugie – dlaczego jego terror nie napotkał większego oporu?

Aby na pytania te odpowiedzieć, należy powiedzieć o pochodzeniu Iwana. W jego żyłach płynęła krew cesarzy bizantyńskich. Dziad, Iwan III Srogi, poślubił bizantyńską księżniczkę, Zoe Paleolog. Urodzona jeszcze w Bizancjum, Zoe po upadku Konstantynopola trafiła pod opiekę papieża. Gdy dorosła, ten dał ją Iwanowi za żonę w zamian za obietnicę zawarcia unii religijnej Moskwy z Rzymem. Iwan jednak danej obietnicy nie spełnił. Warto w tym miejscu zatrzymać się na chwilę nad tym małżeństwem, które miało (i ma do dziś) ogromne znaczenie ideologiczne.

Wyjaśnić trzeba, że nazwa Bizancjum jest pewnym anachronizmem – ukuli ją historycy nowożytni, gdy tymczasem państwo to nazywało się Cesarstwem Rzymskim, a jego mieszkańcy aż do końca określali siebie samych mianem Rzymian (gr. Romaion). W Konstantynopolu utrzymało się i rozwinęło antyczne przekonanie o religijnym wymiarze władzy cesarza, który jest namiestnikiem Chrystusa na ziemi i opiekunem Kościoła. Jego obowiązkiem jest doprowadzenie ludzi do zbawienia i w związku z tym przeznaczone jest mu panowanie na całej ziemi. Ludzkością ma rządzić jeden cesarz jako obraz Jedynego Boga.

Poślubiając Zoe, Iwan uznał, że wniosła mu ona w wianie tytuł cesarski i sam go przyjął (słowo car znaczyło wówczas po rosyjsku cesarza). Mnich Filoteusz z Pskowa opracował wówczas ideologiczne uzasadnienie tego czynu. Uznał, że Bóg odebrał Bizantyńczykom prawo do cesarstwa w 1439 roku, gdy zawarli oni z papieżem unię we Florencji, zdradzając tym samym prawdziwe prawosławie, a więc prawdziwe chrześcijaństwo. Zdobycie Konstantynopola przez Turków to kara Boża za tę zdradę. Odebrany Bizancjum tytuł cesarski Bóg oddał władcom Kremla – Moskwa pozostała wszak jedynym prawosławnym państwem na świecie. Filoteusz jest autorem słynnych słów: „Dwa Rzymy upadły, ale trzeci trwa i czwartego nie będzie. […] pod całym niebem jest jeden car u chrześcijan – w Moskwie" (za: Besançon 2015, s. 40).

Alain Besançon, wybitny francuski badacz Rosji, tak skomentował ideę Trzeciego Rzymu: „Uderza również megalomania. Ruś widziana z perspektywy Zachodu, Chin, Persji, imperium otomańskiego była dość biedna, słabo zaludniona, pozbawiona miast typu europejskiego oraz instytucji naukowych. I właśnie to nieznane księstwo uznawało się za jedynego dziedzica imperium cesarzy, Karola Wielkiego i Justyniana, podczas gdy rządziły tam barbarzyńskie obyczaje, pijaństwo, ignorancja (rzecz względnie skandaliczna), a także słabość militarna (rzecz skandaliczna w sposób absolutny)" (Besançon 2015, s. 43).

Bizantyńskie idee Moskale wykoślawili i doprowadzili do absurdu. Iwan Groźny widział w sobie uobecnienie sprawiedliwości Bożej, a swoje okrucieństwo motywował dobrem poddanych. Jeśli oni grzeszą, on musi ich ukarać, aby odpokutowali swoje czyny. Pisał, że „władza carska […] sprawowana jest za pomocą strachu, zakazów i przymusu, i zapobiega szaleństwu ludzi złych i perfidnych najsurowszymi metodami. […] Wiem, że ci, którzy służą złu i łamią Boskie przykazania, nie tylko podlegają karze wiekuistej, ale są skazani także tutaj na wypicie kielicha gniewu Pana, słusznego gniewu Boskiego, i ponoszą rozmaite kary". Poddani winni zachowywać całkowite posłuszeń-

eprasa.pl 506c78f0aa

stwo wobec cara. Ciężkim grzechem jest ucieczka spod jego panowania. Gdy dokonał jej Andrzej Kurbski, Groźny nazywał go apostatą. Znamienne było zresztą, że za chrześcijan Moskwa uważała tylko prawosławnych poddanych cara, wyłączając z tej grupy prawosławnych żyjących poza jego państwem. Od takich – jeśli znaleźli się w Rosji – wymagano powtórzenia chrztu.

Rosyjski system łączy idee istotnie chrześcijańskie ze śmiertelnym błędem. W średniowieczu monarchowie dbali o zbawienie poddanych. Kościół katolicki uczył jednak, że i władcy poddani są Bożym przykazaniom. Przypominał o tym, gdy nadużywali swej potęgi. Odwołajmy się do przykładów z historii Polski. Gdy król Bolesław Szczodry zabił bp. Stanisława, został zmuszony do ucieczki. Jego bratanek, Bolesław Krzywousty, dokonał podobnej zbrodni – wbrew danej obietnicy nietykalności, kazał wypalić oczy przyrodniemu bratu, Zbigniewowi, który kary tej nie przeżył. Na Krzywoustego spadła ekskomunika. Nie wiemy, czy bał się potępienia, czy tylko buntu społecznego, podobnego do tego, który strącił był z tronu jego stryja – w każdym razie podjął publiczną, 40-dniową pokutę i tym samym ocalił zarówno duszę, jak i tron. Przykłady podobnych sytuacji znaleźć można w historii każdego katolickiego kraju średniowiecznej Europy.

Car Iwan nie miał szczęścia posiadania w swoim państwie kogoś, kto mógłby postawić tamę jego zapędom i pokazać, że nie stoi on ponad prawem. Funkcji tej nie mógł wypełnić metropolita moskiewski. Był on – podobnie jak dziś Cyryl – całkowicie podporządkowany monarsze i to do tego stopnia, że udzielał mu bigamicznych sakramentów małżeństwa.

„Ten list nasiąknięty jest mymi łzami”

Roli, której nie wypełnił metropolita, podjął się Andrzej Kurbski. Nie kwestionował on Boskiej misji Iwana. W ówczesnym świecie panowało przekonanie, że władza pochodzi od Boga. Kurbski widział jednak granice tej władzy, wyznaczone przez prawo Boże. „Nie jesteś nieśmiertelny” – przypominał carowi. Nie widział usprawiedliwienia dla jego zbrodni – w przeciwieństwie do Iwana nie uważał, że cel uświęca środki.

W swojej książce o życiu Iwana, nieprzetłumaczonej niestety na polski, kniaź porównał cara do diabelskiego smoka, który atakuje społeczeństwo rosyjskie: „Powiem coś naprawdę śmiałego: przyznajmy, że istnieją dwa jadowite smoki, z których jeden pełza na zewnątrz, a drugi wewnątrz”. Smokiem zewnętrznym są niewierni, prześladujący i zabijający chrześcijan. Smokiem wewnętrznym jest Iwan. Kurbski pisał: „O głupcze, o przeklęty! Zapomniałeś o władcach panujących przed tobą, tych Nowego i Starego Testamentu; zapomniałeś również o twoich przodkach, świętych książętach Rusi, którzy zawsze podążali wąską drogą Chrystusa, którzy żyli w powściągliwości i rządzili godnie, tak, jak ty przez wiele lat twojego panowania, gdy jeszcze uznawałeś się za pokornego sługę Bożego. Ale teraz, zdeprawowany i uwiedziony przez swoich pochlebców, zapomniałeś o tych słowach [że wąska jest ścieżka do zbawienia – przyp. T.G.], całkowicie wybierając drogę Antychrysta”.

Kniaź prowadził korespondencję, bo – jak się wydaje – rzeczywiście wierzył w możliwość nawrócenia cara. W 1578 roku – w czasie trwającej wojny Iwana ze Stefanem Batorym – pisał z Połocka: „Nie niszcz więcej siebie i swojego domu! Opamiętaj się i powstań! Nigdy nie jest za późno, aby okiełznać siebie samego i swoją wolę. […] Przyjmij Boskie antidotum, lecące od nieuleczalnych, śmiercionośnych trucizn […]”. Są to słowa człowieka, któremu car wymordował rodzinę, na tyle uczciwego i obiektywnego, że przywoływał szczęśliwe początki jego panowania: „Wspomnij na twoje pierwsze dni, gdy rządziłeś w błogosławiony sposób”. Pisał to, mimo że z listów cara wybrzmiewały jedynie cyniczne zachęty, by przybył do Moskwy i tam poniósł męczeńską śmierć, która upodobni go do Chrystusa.

Kurbski pragnął nawrócenia cara, ale jeszcze bardziej uzdrowienia Rosji. Niezbędnym krokiem ku temu była albo przemiana Iwana Groźnego, albo jego obalenie. Aby przyspieszyć upadek tyrana, po ucieczce na Litwę kniaź brał udział w wojnie z Moskwą po stronie polsko-litewskiej. W imieniu Zygmunta Augusta pustoszył ziemie rosyjskie. Postępował podobnie, jak współcześni Rosjanie walczący po stronie Ukrainy, którzy za konieczny warunek uzdrowienia swej ojczyzny uznają obalenie Putina i jego KGB-owskiej kliki. Ich legiony nie zawahały się w maju i w czerwcu 2023 roku przeprowadzać kilkukrotnie rajdów po terytorium rosyjskim w okolicach Biełgorodu i Kurska.

Kniaź Kurbski pozostał moskiewskim patriotą i nie odciął się od prawosławia. Można się z nim w pewnych kwestiach nie zgadzać, był jednak jednym z tych nielicznych Rosjan, których patriotyzm nie polegał na umiłowaniu imperializmu i biernym poddaniu się terrorowi, ale na dostrzeżeniu ciemności, które spowijają duszę Rosji od samego jej zarania, i konieczności ich wyplenienia. Wzorem dlań była Rzeczpospolita – państwo ludzi wolnych. ■

Źródła

Kourbski A., „Histoire du règne de Jean IV (Ivan le Terrible)”, tłum. i red. M. Forstetter, A.V. Soloviev, Genève 1965; „The

eprasa.pl 506c78f0aa

niezależna.pl

#BądźNaBieżąco



Piotr Lisiewicz

W 2024 roku minie setna rocznica wygłoszenia przez Józefa Piłsudskiego jednego z jego najważniejszych przemówień. Przemówienia w dziesiątą rocznicę powstania Legionów w 1914 roku. W tym numerze „Nowego Państwa" piszemy o rodowodzie komunistycznych generałów, którym marzy się powrót do władzy nad polskim wojskiem. To oni byli autorami upokarzających planów, by w 2011 roku, po 22 latach istnienia teoretycznie niepodległej Polski, bronić się przez Rosją, oddając jej połowę kraju.

O ile cechą generałów z PRL, którzy, miejmy nadzieję, nigdy już wpływu na polskie wojsko mieć nie będą, były służalczość i konformizm, o tyle rodowodem legionistów Piłsudskiego, którzy zdołali w 1920 roku pogonić bolszewika, była walka o Polskę w osamotnieniu, ośmieszana jako „romantyczna", toczona wbrew bierności większości Polaków. Trudno o bardziej wyraziste przeciwieństwo. Wnioski wyciągnijcie Państwo sami.

W dziesiątą rocznicę powstania Legionów

Romantyczny", to coś w rodzaju małego, niezdarnego dzieciaka, który siedząc na ręku matki, niepraktyczne, niepewne rączki wyciąga po jakąś błyskotkę, i ku wielkiemu swemu zdziwieniu nie ją chwyta, a na przykład kosmyk włosów matki! Czegóż chcieli legioniści? Po co wyciągali oni nieudolne, dziecinne rączki? Chcieli dać Polsce żołnierza. Powiedzmy, chcieli błyskotki. Wyciągali jednak rączkę tak zręcznie i tak umiejętnie, działali tak praktycznie, tak trafnie dobierali odpowiednich środków, że pomimo przeszkód stawianych im w tym nie tylko przez zaborców, lecz i przez „nieromantycznych" Polaków – błyskotkę tę mieli w ręku! Ba, powiedzieć nawet można więcej! Zdołali pomimo wszelkich trudności dać w dziedzinie wojskowej imiona, którymi Polska może się szczycić. Porównajmy tę praktyczną, umiejętną pracę Legionów z pracą ich krytyków. Z pracą tych „nieromantycznych"!

Józef Piłsudski

Trzeba stwierdzić, że Polska ówczesna, to znaczy, ci Polacy, którzy w owym czasie żyli, wojny nie chcieli i wojny nie wywoływali. Dobrze teraz od czasu do czasu nagle zadeklamować, że Polacy, zgodnie z wolą Mickiewicza, modlili się o wojnę światową, ale to przecież był tylko Mickiewicz, który, jak wiadomo, do pokolenia 1914-go r. wcale nie należał! Pokolenie ówczesne, zgodnie ze wszystkimi świadectwami, do żadnego ryzykanctwa skłonne nie było i gdyby politycy, rzucający się w wir wojny świata, zechcieli posłuchać sądów i opinii ówczesnych Polaków, trwożliwie rozmawiających w kawiarniach i domach, to na pewno nie byłoby wojny. [...]

Jednakowa decyzja Polaków

Więcej nawet! W mnóstwie deklaracji, składanych z powodu wojny, w całym szeregu mów odpowiedzialnych kierowników państw, w nieskończenie wielkiej ilości artykułów w pismach całego świata, w rozmowach i dyskusjach o tej piorunowo na ludzi następującej katastrofie, mowa była o wszystkim. Mówiono więc o nieprzedawnionych prawach do tej czy innej prowincji sąsiada, o odwiecznych a złośliwych wrogach narodu czy państwa, o konieczności posiadania miejsca pod słońcem, o obrazach prestige'u, o mordach i zabójstwach bez kary, o gwarancjach pokoju czy bezpieczeństwa. Mowa była o wszystkim, o wszystkich możliwych motywach czy powodach katastrofy, lecz o Polsce, czy jej prawach i interesach, czy miejscu pod słońcem – mowy nie było wcale. Stwierdzić to należy z całą stanowczością, gdyż z tego wynikały wielorakie następstwa. Dopiero znacznie później, gdy wojna już wielkie szczerby w sile wszystkich państw zrobiła, zdarzył się fakt, że Ame-

eprasa.pl 506c78f0aa

ryka, przystępując do wojny, zgłosiła deklarację, w której jeden z jej czternastu punktów żądał Polski, jako państwa mającego mieć dostęp do morza. Na początku jednak katastrofy, w roku 1914, nikt o Polskę wojować nie chciał. [...]

Decyzja wszystkich Polaków wypadła zdumiewająco jednakowo. Wszędzie zdecydowano poddać się losowi wojny i, oddawszy Bogu – co boskie – to jest westchnienie, oddać cesarzowi, co cesarskie – to jest życie i mienie. [...] Obojętnym jest również, czy ten lub ów Polak szedł w szeregach obcej armii z trwogą czy namiętnością, z wyrachowania jedynie czy z przekonania, zawsze w każdym z tych indywidualnych Polaków musiała być cząstka decyzji dla postępku tego a nie innego. Mogę więc śmiało twierdzić, że w ogóle Polacy zdecydowali nie opierać się prawom swego państwa zaborczego i służyć podczas wojny pod sztandarami, godłami i znakami obcych, zaborczych armii. Użyczali w ten sposób państwom dla ich politycznych, niezwiązanych z Polską celów tego, czego państwa te wymagały – żołnierza. [...]

Prawo wojny

Stwierdziwszy ten fakt niezaprzeczalny, przechodzę do wyjaśnienia okoliczności, że Polska stać się musiała teatrem wojny. Każdy teatr wojny w każdym starciu orężnym nieść musi wielkie ofiary, lecz ma także i swoje beneficja. Jest to prawo wojny. [...]

Widzieliśmy więc, jak w pierwszej chwili, gdy tylko wojna wybuchła, monarchowie wszystkich trzech państw zaborczych zapałali nagle wielką sympatią do naszego narodu, proklamując ją w specjalnych odezwach. Niewiele różniły się one zasadniczo pomiędzy sobą. Sędziwy monarcha ludów Austrii i Węgier, Franciszek Józef, w tych samych prawie słowach stwierdzał swoją ojcowską miłość dla Polaków, jak surowy monarcha niemiecki, Wilhelm II, i Wielki Książę Mikołaj Mikołajewicz, który stanął na czele wojsk Białego Cara. [...] Poza tymi odezwami zastosowano do Polski zwykły repertuar środków, związanych z teatrem wojny. Więc najprzód terror w najszerszym tego słowa znaczeniu. Wszystko, co mogło być uznane za podejrzane, co bez wojny mogłoby żyć nadal spokojnie, uwięziono, by internować gdzieś w głębi państw toczących wojnę. [...] Skierowano też, jak zwykle, na teatr wojny strumień złota, by tam, gdzie nie wystarczy skrawek idealizmu czy strach wzniecony terrorem wojny, spróbować zwykłego w takich wypadkach środka — przekupstwa. Złoto więc płynęło pod różnymi pozorami: czy w postaci wynagrodzenia za straty, dawanego hojniej pokornym, a odmawianego, lub dawanego w małych kwotach obojętnym czy niepokornym; czy w postaci najrozmaitszych subsydiów pismom, instytucjom i towarzystwom. [...]

Bywają jednak i beneficja nadzwyczajne, związane albo z wpływowymi na teatrze wojny ludźmi, albo ze szczególnymi względami, które chce się brać w rachubę. Są to, że się tak wyrażę, beneficja specjalne. Do nich należy i to, co nazywamy teraz czynem legionowym. Człowiek noszący to samo nazwisko, co ja, należał do rzędu ludzi wpływowych, mających w owe czasy szczególny, że tak powiem, kaprys. Stał on bowiem na czele niewielkiej zresztą, garści ludzi, szerzących przekonanie, że Polska z poniżenia niewoli wyjść może jedynie za pomocą zbrojnego ruchu, korzystając z tego czy innego momentu. Straszono go więc z jednej strony zwykłym środkiem – zamknięciem wraz z przyjaciółmi w jakichś twierdzach czy obozach dla internowanych; z drugiej strony zgadzano się na próby tworzenia oddziałów polskich, z góry lekceważąc te poczynania. [...]

W ten sposób powstał początek tego, co nazywamy obecnie czynem legionowym. Było to dla jednego z zaborców coś w rodzaju sposobu rozdawania beneficjów specjalnych, dla mnie zaś i tych, którzy za mną poszli, była to próba rozstrzygnięcia problemu, męczącego w owe czasy wielu Polaków, podczas gdy ogromnej większości naszego narodu był najzupełniej obcy. Narody i państwa, biorące udział we wojnie, jako swoją reprezentację czynną wysłały na plac boju wodzów i żołnierzy. Wszyscy Polacy, jak to już mówiłem, pogodziwszy się z losem, wyrzekli się jej. [...] My zaś, legioniści, rozstrzygnęliśmy tę sprawę inaczej. Daliśmy próbę reprezentowania na polu bitwy Polski, więc narodu bez państwa i rządu – tak jak to czynili inni, to znaczy przez własnych wodzów i własnych żołnierzy.

Legionom złamano skrzydła i możność rozwoju

Próba ta została zlekceważona przez wszystkich, skazana przez wszystkich z góry na nieudanie, przez wszystkich uznana za niemożliwą do wykonania. Jest zupełnie obojętnym dla mnie i dla moich wywodów, jak kto o tym sądził wtedy, czy sądzi teraz, jakie kto o mnie, czy o moich kolegach, wydawał wtedy lub wydaje teraz opinie. Jest obojętnym, czy ktoś za jakimś żulikiem Zamorskim powtarzał, iż prowadziła nas chęć rabunku i bandytyzmu. [...]

Nawet przez wielu przyjaciół wystąpienia mego i legionistów rzecz uważana była za niepodobną do wiary i zasługiwała na lekkie wzruszanie ramionami. Uważano specjalnie jedną poprawkę za konieczną ze stanowiska, jak sądzono, rozumu, rozsądku i użyczenia powagi przedsięwzięciu. Sądzono, że

eprasa.pl 506c78f0aa

jest rzeczą nieodzowną oddać całą pracę organizacyjną, mającą przekształcić oddziały strzeleckie w istotne wojsko, oficerom z armii austriackiej, inaczej przedsięwzięcie nie będzie miało autorytetu dla nikogo, nawet, jak mówiono, dla nas samych – legionistów. [...]

A jednak już w końcu roku 1914-tego, zaledwie w trzy miesiące po rozpoczęciu przez nas tak zwanego czynu legionowego, zostaliśmy postawieni na równi z normalnymi oddziałami wojska, i też same, co innym, poruczano nam zadania. Ba, nie chcę być dumnym ani się chwalić, lecz w końcu października, po ciężkim boju, nazywanym przez nas pod Laskami, nie komu innemu, jak mnie i nam, powierzono najcięższą dla żołnierza służbę, służbę ariergardy, osłaniającej odwrót przed zwycięskim nieprzyjacielem. [...]

I jeżeli w sprawie zdobycia reprezentacji przez żołnierza nie mogliśmy osiągnąć dostatecznej liczby, daliśmy w zamian szacunek dla jego tężyzny. O wodza prowadziliśmy walkę zaciętą i często zupełnie beznadziejną. Zmagania te, jak wiadomo, zakończyły się katastrofą dla legionistów i katastrofą dla tego, kogo na wodza ich wysuwano, to znaczy dla mnie. Zostałem aresztowany i wywieziony do twierdzy magdeburskiej, a Legionom złamano skrzydła i możność rozwoju. [...]

W walce naszej o niezależnego wodza byli zaborcy właśnie najmniej ustępliwi, że posiadali w tej sprawie najsilniejsze poparcie polskiego społeczeństwa, które nawet wtedy, gdy popierało Legiony, szukało, jak gdyby naumyślnie, najbardziej zależnego, najbardziej związanego człowieka, aby mu oddać dowództwo nad nami. [...] Widocznie jest to ściśle związane z charakterem narodowym. [...]

Próba co do jakości żołnierza udała się niechybnie znakomicie. Udała się w tak dziwnie szybkim tempie, w tak niesłychanie krótkim czasie, że zaszczyt to przynosi wszystkim dowódcom mniejszym i większym, którzy tego dokonać potrafili. Lecz nie ma wątpliwości, że pod względem liczby siła naszej reprezentacji wojennej była nikłą w porównaniu z liczbą Polaków. [...]

Na ziemi polskiej tańczono olbrzymiego kontredansa, przy którym całe połacie polskiego kraju przechodziły z rąk do rąk raz po raz. Ludzie się zatracali w tym zmienianiu bezustannym jednego pana na drugiego. Co chwila trzeba było przystosowywać się do innych żądań, do innych wymagań i innych kaprysów, [...] nie mogę sobie wyobrazić, by najmniej czuły na godność i honor narodowy człowiek nie odczuł głębiej poniżenia ludzkiego, które czyniło z niego jakąś istotę niższego rzędu, spychaną systematycznie do błota. [...]

▶ Pierwsi w Polsce zaczęli żyć życiem wojska polskiego

W czerwcu 1915 r. z tego samego sandomierskiego zostałem wezwany do Naczelnej Komendy austriackiej. Przejeżdżając w aucie wzdłuż etapów pierwszej armii austriackiej, skonstatowałem, że w miasteczkach polskich nakazano wszystkim mieszkańcom, nie wyłączając kobiet, schodzić z chodników na ulicę przy spotkaniu oficerów, wszystkim zaś mężczyznom zdejmować przed nimi nakrycie głowy. W Komendzie Naczelnej austriackiej zrobiłem z tego powodu awanturę i oświadczyłem, że zarówno ja, jak i moi oficerowie, zachowywać się będą odwrotnie i sami przed każdą kobietą będą schodzili z chodnika na ulicę. [...]

Wyższy oficer sztabu, z którym w tej kwestii rozmawiałem, po obietnicy wydania rozkazu polecającego inne postępowanie, dodał filozoficznie: „Panie, gdyśmy wchodzili do Polski, byliśmy zupełnie niepewni tego, jak się ludność do nas odnosić będzie. Stąd to wahanie między środkami gwałtownymi i łagodnymi. Tym niech Pan sobie tłumaczy Kalisz, który wobec tego, cośmy w Polsce spotkali, był zupełnie niepotrzebny. Znaleźliśmy bowiem jakieś miękkie ciało, przez które gdy przechodzimy, to na spodniach zostają tylko tłuste plamy". To cyniczne określenie sztabowca pruskiego stało mi w pamięci przez cały czas wojny. [...]

Na oczach natomiast wszystkich szli legioniści naprzód, przepychając się nieledwie łokciami, szli każdego dnia – wbrew ogólnemu codziennemu upokarzaniu się – na awantury, na małe, ale liczne utarczki z obcą zaborczą ręką w obronie swojej godności jako żołnierzy polskich.

Ileż takich drobnych scen staje mi w pamięci, gdy o tym mówię. Ileż śmiesznych, komicznych epizodów tej walki przeżyć musiał nieledwie każdy legionista w tych czasach, gdy nosił mundur, świadczący o tym, że jest Polakiem i pod polskimi godłami i znakami chce służyć.

Ileż było starć publicznych na dworcach kolejowych, na ulicach miast, z powodu bezprawnego jakoby noszenia czy to naszych własnych oznak na mundurach, czy naszych własnych gard przy szablach, czy wreszcie, co się najczęściej zdarzało, z powodu oddawania honorów nie całą dłonią, lecz tylko dwoma palcami! Codzienną walkę, widoczną dla oczu wszystkich, toczyli legioniści o najmniejszy drobiazg, o polskie słowo komend, o głośne polskie rozmowy pomiędzy sobą w miejscach publicznych, o otwarte demonstrowanie wspólnoty swojej z otoczeniem polskim, o jawne szanowanie polskich zwyczajów, o odwet za próby obrażania tego, co polskie. Legioniści ro-

eprasa.pl 506c78f0aa

bili sobie z tej walki sport, przekraczający nieraz granice zwykłej przyzwoitości, szukali często sami publicznej zaczepki. Stali się przez to głośnymi we wszystkich urzędach, szczególnie etapowych, i znosić musieli z tego powodu całe mnóstwo szykan. Odpowiadali na nie hardo, wyszukiwali specjalnie obraźliwych słów, by wykazać swoją wzgardę dla tych ukłuć. [...]

Pomimo iż ulegliśmy w walce, mamy za sobą tę wielką satysfakcję, żeśmy pierwsi w Polsce zaczęli żyć życiem wojska polskiego i przy powszechnym poniżeniu Polaków mieli spokój co do swego honoru i częste zadośćuczynienie dumy i godności narodowej.

Romantyczny, czyli jaki?

Niech mi wolno będzie na zakończenie dodać słów parę o dziwacznej, tak często wypowiadanej, a głęboko dla mnie zabawnej opinii o czynie legionowym. Jest ona związana z nadzwyczajnie śmiesznym interpelowaniem słowa „romantyczny". Nie wiem doprawdy, czy ten przymiotnik nie był istotnie najczęstszym, najbardziej używanym określeniem w stosunku do naszej pracy w społeczeństwie polskim. Powiadam, że wydaje mi się to niesłychanie śmiesznym. Słowo to przecież oznacza właściwie pewien okres w dziejach literatury całego świata; okres ten wszędzie, a więc i u nas, wydał ludzi, którymi się chlubi każdy naród. Każde dziecko zna nazwisko Adama Mickiewicza. Mnóstwo miast ma jego pomniki, każde bodaj miasteczko ulicę, ochrzczoną jego wielkiem imieniem. Lecz u nas, po upadku powstania 63-go r., słowo „romantyczny" nabrało jakiegoś dziwacznego charakteru, zaczęło oznaczać po prostu „głupi".

Ze śmiechem zawsze myślę o tych nieromantycznych tatach, którzy napędzają dzieci do klepania na pamięć wierszy „romantycznego" wielkiego poety. A iluż to śmiesznych pismaków, używających słowa „romantyczny" po prostu jako „głupi", pękłoby z radości i dumy, gdyby ktokolwiek trzepał tak na pamięć ich piśmidła, jak dzieci nasze polskie mówią na pamięć utwory „romantycznego" Mickiewicza.

Lecz chcę ustąpić opinii polskiej i używać słowa „romantyczny" jako „głupi". Jest zwyczajem nazywać grzecznie „romantycznym" tego, komu się coś nie udało. Jest zwyczajem, żeby człowieka niepraktycznego, który zabłądzi choćby w trzech sosnach, który drogi żadnej znaleźć nie potrafi, mienić nie głupim, lecz „romantycznym". „Romantyczny", to coś w rodzaju małego, niezdarnego dzieciaka, który siedząc na ręku matki, niepraktyczne, niepewne rączki wyciąga po jakąś błyskotkę, i ku wielkiemu swemu zdziwieniu nie ją chwyta, a na przykład kosmyk włosów matki!

I takim właśnie romantycznym dzieckiem mieliśmy być my, legioniści. Jakiż to zabawny sposób krytyki, świadczącej chyba tylko o głębokiej nieudolności myślenia! Czegóż chcieli legioniści? Po co wyciągali oni nieudolne, dziecinne rączki? Chcieli dać Polsce żołnierza. Powiedzmy, chcieli błyskotki. Wyciągali jednak rączkę tak zręcznie i tak umiejętnie, działali tak praktycznie, tak trafnie dobierali odpowiednich środków, że pomimo przeszkód stawianych im w tym nie tylko przez zaborców, lecz i przez „nieromantycznych" Polaków, – błyskotkę tę mieli w ręku! Ba, powiedzieć nawet można więcej! Zdołali pomimo wszelkich trudności dać w dziedzinie wojskowej imiona, którymi Polska może się szczycić.

Porównajmy tę praktyczną, umiejętną pracę Legionów z pracą ich krytyków. Z pracą tych „nieromantycznych"! Chcieli oni, siedząc na ręku matki – państw zaborczych – mieć w nieromantycznej rączce nie głupie błyskotki, lecz praktyczny kosmyk włosów matki. Czyż go mieli i mają? Czyżby więc nie czas było, zamiast wzruszać ramionami na „romantyczne", a zatem głupie główki legionistów, pomyśleć o własnej „romantyczności" i głupocie. [...] Czyż nie dosyć tej dziwnej namiętności do poszanowania czasów niewoli, niewoli upokarzającej Polaków i Polskę? ■

> NA OCZACH NATOMIAST WSZYSTKICH SZLI LEGIONIŚCI NAPRZÓD, PRZEPYCHAJĄC SIĘ NIELEDWIE ŁOKCIAMI, SZLI KAŻDEGO DNIA – WBREW OGÓLNEMU CODZIENNEMU UPOKARZANIU SIĘ – NA AWANTURY, NA MAŁE, ALE LICZNE UTARCZKI Z OBCĄ ZABORCZĄ RĘKĄ W OBRONIE SWOJEJ GODNOŚCI JAKO ŻOŁNIERZY POLSKICH.

Przemówienie wygłoszone 10 VIII 1924 roku na Zjeździe Legionistów w Lublinie.
Śródtytuły pochodzą od redakcji „NP".

eprasa.pl 506c78f0aa



Sławomir Cenckiewicz, „Historia", Wydawnictwo LTW, Dziekanów Leśny 2023



Krzysztof Wołodźko

POLSKA I KOŚCIÓŁ OCZAMI CENCKIEWICZA

Straszni mieszczanie wszystko widzą osobno. Sławomir Cenckiewicz nie obawia się szerokich perspektyw, które losy Polski ukazują na szerokim dziejowym tle. „Historia" to kolejny po „Agenturze" i „Transformacji" tom z popularnej serii pióra współautora „Resetu". „Najbardziej antykomunistyczna, konserwatywna i reakcyjna z moich książek" – podkreśla Cenckiewicz. I nie ma w tym ani grama publicystycznej przesady.

eprasa.pl 506c78f0aa

Historia", podobnie jak „Agentura" i „Transformacja" (o tej ostatniej pisałem w „Nowym Państwie" numer 199 [02/2023]), to zbiór publicystyki krnąbrnego historyka. Książkę otwiera rozdział „Moja historia" z osobistym „Alfabetem Cenckiewicza" i pochodzącym sprzed niemal dekady artykułem „Jak zostałem »resortowym wnuczkiem«", który również dziś świetnie się czyta jako wieloaspektową refleksję o postkomunizmie stanowiącym świadomie przyjęte dziedzictwo, o jego odrzuceniu i realnym wyborze polskiej tożsamości.

„Resortowe dzieci" i alfabet Cenckiewicza

Cenckiewicz nie tylko przypomina, jaką wściekłość przed laty wzbudziła w lewicowo-liberalnych kręgach premiera „Resortowych dzieci" Doroty Kani, Jerzego Targalskiego i Macieja Marosza. Analizuje też atak, jaki arbitrzy elegancji III RP przypuścili również na niego, na różne sposoby starając się grać informacją – ujawnioną przez samego historyka – że jego dziadek był funkcjonariuszem Urzędu Bezpieczeństwa. Ten tekst trzeba dziś przeczytać, nie tylko żeby przypomnieć sobie najróżniejsze strategie salonu wobec lustracji i dekomunizacji, lecz także by lepiej zrozumieć, że pewne książki są jak kamienie milowe w dziejach odkłamywania polskiej rzeczywistości. „Resortowe dzieci" są taką książką – czy się to komuś podoba, czy bardzo kogoś złości i frustruje. Do myślenia daje również osobisty „alfabet Cenckiewicza". Pisany bez ogródek, może czasem szokujący dla odbiorców przyzwyczajonych do pewnych stereotypów i oczywistych skojarzeń w naszych debatach publicznych. Znajdziemy wśród haseł: „Bolka" (opis zostawiam Państwa domyślności); apologię Dmowskiego (mnie nie zachwyca); przejmująco i krótko o Gdańsku; zacnie, choć twardo o muzyce metalowej, której swego czasu Cenckiewicz był wielkim fanem (nie on jeden wśród ludzi znanych mi z IPN); kąśliwie o historykach („tchórze, na ogół nudziarze, oportuniści i żądni oklasku egoci, którzy najchętniej czytają to, co sami napiszą […], na szczęście w tej korporacji jest wielu ludzi prawych, etycznych i dobrych"); bez znieczulenia o Instytucie Pamięci Narodowej; wyznanie wiary w Jezusa Chrystusa; szczere wypowiedzi o Jarosławie i Lechu Kaczyńskich; życzliwy opis arcybiskupa Marcela Lefebvra; Lechię Gdańsk i Juventus Turyn; krytycznie, choć z uznaniem, o Józefie Piłsudskim.

Jest też przejmująco o przyjacielu Sebastianie Rybarczyku; o resecie; Radosławie Sikorskim; Annie Walentynowicz i Krzysztofie Wyszkowskim. Jest zgryźliwie, z patosem i z pazurem, błyskotliwie i gorzko. Cenckiewicz w pigułce, co tu kryć. Dodajmy ważną rzecz – podobnie jak w przypadku wcześniejszych książek z tej serii i ta jest obficie zaopatrzona w fotografie i fotokopie dokumentów z opisywanej przez autora przeszłości.

„Najbardziej reakcyjna z moich książek"

Główne części „Historii" to spore rozdziały poświęcone Ludowemu Wojsku (Nie)Polskiemu, realizmowi politycznemu, „Zychowszczyźnie", Kościołowi katolickiemu oglądanemu w zdecydowanie przedsoborowej optyce. A na koniec: „Ludzie, sprawy i kłamstwa", publicystyczne silva rerum, felietony o IPN, Pawle Wieczorkiewiczu, prymasie Wyszyńskim, „Weselu" Smarzowskiego i głośnym „Gierku" (co do którego do dziś nie mam zdania: po 30 minutach komiksowej ckliwizny odpuściłem sobie oglądanie). Kogoś może dziwić taki tematyczny rozrzut. Na tym polega właśnie śmiałość myślenia Cenckiewicza i jego intelektualna wyobraźnia – zaprzecza rozpanoszonej również dzisiaj tendencji do jednowymiarowego i wyrywkowego oglądu świata; tendencji, która doskonale współgra ze społeczną chorobą polityczno-historycznej amnezji.

Historyk nie postępuje przy tym wedle postmodernistycznej zasady tout se tient, która głosi, że „wszystko się łączy", bez respektu dla intelektualnych i racjonalnych hierarchii i porządków. Cenckiewicz analizuje różnorakie zjawiska historyczne pod kątem brzemiennych w skutki mechanizmów instytucjonalnych, postaw i przekonań wpływowych postaci, klęsk i zwycięstw koncepcji religijnych, ideowych, ideologicznych. Jego bohaterki i bohaterowie zawsze osadzeni są w otaczającej ich, rzetelnie zbadanej i opisanej rzeczywistości. Autor „Anny Solidarność" jest historykiem o publicystycznym zacięciu – „Agentura", „Transformacja" i „Historia" znakomicie to pokazują. Gdański historyk zaznacza: „»Historia« to najbardziej antykomunistyczna, konserwatywna i reakcyjna z moich książek! […] Ta opowieść jest na przekór prawie wszystkim". Czy to prowokacyjna autoreklama? Dobrze widziany nie tylko na prawicy marketingowy zabieg, który niemal każdemu autorowi każe przedstawiać się jako outsider? Są twórcy, którzy chętnie posiłkując się mianem „niepokornych", „niepoprawnych" i „kontrowersyjnych", żyją w długoletniej symbiozie z gronem wiernych i wypróbowanych, naprawdę licznych odbiorców. Trudno mieć o to do kogokolwiek pretensje – to już pewnego rodzaju konwenans. A jak jest w przypadku Cenckiewicza? I jego czytelników i czytelniczek?

W przypadku jednych kamień obrazy może stanowić jego osąd o IPN, w przypadku drugich – ocena Dmowskiego i Piłsudskiego. Trzeci oburzy się na mocną krytykę Powstania Warszawskiego, a czwarty po-

eprasa.pl 506c78f0aa

tknie o lefebryzm, który – mam wrażenie – jest sztampowo-pejoratywnie postrzegany nawet przez tzw. bardziej konserwatywnych katolików. Piątego zaś zaskoczy pogląd historyka o tym, co dzieje się w Medjugorie. Ale właściwie dlaczego Cenckiewicz nie miałby budzić kontrowersji? Nawet jeśli przyjmiemy, że po jego książki popularnonaukowe i publicystykę sięga częściej prawicowy czytelnik, to przecież i jego można czymś zaskoczyć, sprowokować do innego spojrzenia, skonfrontować z bezpiecznie przechowywanymi w głowie oczywistościami. Znacznie trudniej będzie lewicowo-liberalnym odbiorcom, którzy mniej chętnie wychodzą ze swoich baniek.

▶ Pamięć późno urodzonych. Odkrywanie historii

„Przez cały okres swojego istnienia Ludowe Wojsko Polskie (1943–1989) było w istocie częścią komunistycznego aparatu represji, którego tradycja nie mieściła się w jakiejkolwiek z dotychczasowych tradycji polskiego oręża" – przypomina Sławomir Cenckiewicz. Moje roczniki, urodzone pod koniec lat 70. i na początku 80. XX wieku, znały wojsko ze szkolnych czytanek i bardzo niejasnych wspomnień z wczesnego dzieciństwa – takich jak np. stukot wojskowego transportu koleją ze Śremu do Poznania w nocy z 12 na 13 grudnia 1981 roku i żołnierze przy transporterze opancerzonym ponurą zimą w wielkopolskim Czempiniu, na widok których dorośli milkli, przechodząc obok chodnikiem. A później „Chabry z poligonu" z kołobrzeskiego festiwalu piosenki żołnierskiej. I wreszcie przełom ustrojowy i pijani rezerwiści w tradycyjnych chustach, zaczepiający ludzi z prośbą o papierosa lub wręcz żądaniem. Ich półprzytomne opowieści o fali w małych dworcowych restauracyjkach, których nikt nie chciał słuchać, bo alkoholowy płacz mieszał się w nich z wybuchami złości. No i wczesna transformacja/postkomuna, czyli „Kroll" Władysław Pasikowski i „Samowolka" Feliksa Falka. Gdy w 1996 roku na WKU wojskowa lekarka usiłowała mi wmówić, że symuluję wadę wzroku, mogłem już głośno zaśmiać się i oburzyć. Dla moich roczników to, co pisze Cenckiewicz o tzw. Ludowym Wojsku Polskim, jest podwójnie ważne. Po pierwsze, buduje realną świadomość historycznych zjawisk, kompletnie inną od tej, której uczyła nas lub próbowała po 1990 roku pospiesznie i często wbrew własnym głęboko zakorzenionym nawykom oduczyć szkoła późnego PRL-u i wczesnej III RP, także w przypadku LWP. Po drugie, pozwala zrozumieć, dlaczego postkomunizm stał się dla popkultury tak atrakcyjnym zjawiskiem – szczególnie jego filmowe obrazy tak cyzelowały obraz, że odpowiedzialność za zło systemu rozmywała się. Albo stawała atrakcyjną, sensacyjną opowieścią, po której w głowach ówczesnych nastolatków zostawała garść chwytliwych bon motów i filmowych scen. Znikało w cieniu przemilczeń, niepamięci i niewiedzy to wszystko, co na dekady zaciążyło nie tylko na polskiej wojskowości i doktrynie obronnej, lecz także współtworzyło pokrzywione drzewo postkomunistycznej polskości.

Cenckiewicz pisze o tym wprost: „Sowieci narzucili [LWP – K.W.] własną doktrynę wojenną oraz system szkolenia i kształcenia kadr oficerskich, w dużej mierze w akademiach ZSRS. Wierność Moskwie stała się podstawą walki z emigracją, udziału w stalinowskich represjach i mordach sądowych, sowietyzacji kultury, prześladowania Kościoła oraz brutalnego dławienia społecznego oporu w Czerwcu '56, Marcu '68, Grudniu '70 i Grudniu '81. Do tego należy dodać najazd na Czechosłowację w 1968 roku i wsparcie udzielane ruchom komunistycznym na całym świecie, a nawet terrorystom arabskim. Wszystko to złożyło się na »chlubną« tradycję LWP". Ikoniczną postacią dla tej formacji jest Wojciech Jaruzelski – na kartach „Historii" Cenckiewicz analizuje nie tylko sprawę katolickiego pochówku „Ślepowrona", pokazuje także, jakimi sposobami w PRL i III RP budowano pozytywny wizerunek zaufanego człowieka Sowietów, człowieka, który „całą swoją karierę wojskową i polityczną wielkość zawdzięczał Moskwie". I miał znaczny wpływ na polskie wojsko długo po 1989 roku: „Wyjąwszy prezydenturę Lecha Kaczyńskiego, Jaruzelski był nieprzerwanie bywalcem »dużego pałacu«, mając bez przerwy wpływ na politykę personalną w armii i obsadę kolejnych szefów Sztabu Generalnego. Podobno po raz pierwszy nie skorzystano z konsultacji z Jaruzelskim, kiedy prezydent Kaczyński mianował szefem Sztabu Generalnego WP gen. Franciszka Gągora. (…) Gągor – w 17. roku budowania wolnej Polski – został pierwszym szefem sztabu, który nie był absolwentem sowieckich szkół!".

▶ „Oni mają kościoły, ale to my zachowaliśmy wiarę"

W 2010 roku nakładem Wydawnictwa Dębogóra ukazała się obszerna książka „Marcel Lefebvre. Życie", pióra Bernarda Tissiera de Mallerais. Jednym z tłumaczy był mój przyjaciel z tych czasów, Jarosław Zoppa. Dzięki niemu i prof. Marcinowi Karasowi (UJ) poznałem nieco lepiej postać francuskiego arcybiskupa i zagadnienia związane z ciągłością i zmianą w Kościele katolickim po Soborze Watykańskim II. A to sprawiło, że z większym dystansem zacząłem podchodzić do wielu zmian, jakie stały się udziałem Kościoła w kolejnych dekadach XX i XXI wieku. Je-

eprasa.pl 506c78f0aa

stem przekonany, że nie da się rzetelnie dyskutować o abp. Lefebvrze bez lektury książki Tissiera de Mallerais. Polecam ją również tym, którzy sięgną po „Historię" Cenckiewicza i artykuły poświęcone Kościołowi katolickiemu.

Kto potrzebuje lepszej zachęty – znajdzie na łamach „Historii" recenzję tej właśnie książki – pióra Cenckiewicza. Zaczyna się mocno, cytatem ze świętego Atanazego Wielkiego przeciwko arianom: „Oni mają kościoły, ale to my zachowaliśmy wiarę". Dla lefebvrystów (w znacznie większym stopniu – sedewakantystów) te słowa mają ścisłe, mało pochlebne odniesienie do współczesnego Kościoła. I to nie tylko Kościoła czasów Franciszka – w czasach pontyfikatu świętego Jana Pawła II środowiska przeciwne Vaticanum II miały fatalny odbiór nie tylko wśród hierarchów, lecz także wśród wiernych, kompletnie nierozumiejących, skąd tradycjonalistyczna krytyka wobec papieża Polaka. W moim katolickim liceum w Poznaniu, prowadzonym przez księży zmartwychwstańców, w pierwszej połowie lat 90. cieplej mówiono o Lutrze niźli o Lefebvrze. O tym drugim właściwie wcale nie mówiono…

Podobnie jak w przypadku wcześniejszych książek z tej serii i ta jest obficie zaopatrzona w fotografie i fotokopie dokumentów z opisywanej przez autora przeszłości.

Vaticanum II i polityka wschodnia Kościoła

W 2023 roku pewne pytania brzmią jeszcze mocniej. I to nie tylko w kwestiach ściśle doktrynalnych – także w sprawach dotyczących polityki wschodniej Watykanu. Cenckiewicz przygląda się również tej kwestii – pokazując, że idee rzeczywiście mają konsekwencje. W artykułach „Komunizm i sekrety Soboru Watykańskiego II". „Sobór w cieniu Kremla", „Liberał widzi więcej" (ten ostatni poświęcony jest książce Alaina Besançona „Współczesne problemy religijne") Cenckiewicz analizuje politykę Watykanu, a ściślej – papieża Jana XXIII wobec Rosji w drugiej połowie XX wieku. Do dziś nie są to oczywiste dla wszystkich kwestie: „poufne negocjacje i ustalenia pomiędzy Stolicą Apostolską, że sobór będzie milczał w sprawie komunizmu, stały w sprzeczności z oczekiwaniami większości biskupów wybierających się na obrady Vaticanum II".

Gdański historyk przypomina, że w tzw. wotach biskupów, którzy wzięli udział w soborze, komunizm traktowany był jako największy współczesny błąd wymagający potępienia. Orędownicy „ideowego pojednania i pokoju ze światem" mieli jednak więcej do powiedzenia. Zwyciężała doktryna historiozoficznego optymizmu, która mocno zaznacza się choćby w encyklice „Pacem in terris" Jana XXIII (1963 rok), w której papież wprost sugerował, że ustrój komunistyczny i jego pochodne tworzą „nowe formy życia społecznego i publicznego", dzięki którym ludzkość „osiąga wolność" lub „jest w trakcie jej zdobywania". Krok dalej kilka lat później poszedł Paweł VI. Jego posoborowa encyklika „Populorum progressio" była próbą syntezy katolickiej eschatologii, opartej na zbawieniu od grzechu pierworodnego i historiozofii, zakładającej postęp ludzkości nieledwie jako czynnik stojący u fundamentów całej ludzkiej rzeczywistości. Na marginesie: to nie przypadek, że jeszcze w latach 80. XX wieku PAX wydawał po polsku grube tomy Theilarda de Chardin SJ. Jeszcze po 2000 roku z biblioteki Instytutu Filozofii UJ wypożyczałem – nierozcięte! – całe tomy tego francuskiego jezuity, „mistycznego progresywisty", cenionego także w kręgach New Age.

Rzecz nie tylko w ideach. Cenckiewicz wskazuje, że Kreml oddziaływał na Watykan z pomocą swojej agentury. Agentem KGB był choćby abp Nikodem, przewodniczący Wydziału Zewnętrznych Stosunków Cerkwi Patriarchatu Moskiewskiego. To on przekazał Stolicy Apostolskiej, że „warunkiem uczestnictwa sowieckich prawosławnych w soborze jest milczenie Kościoła katolickiego na temat komunizmu". Zarówno KGB jak i PRL-owskie służby usilnie rozpracowywały Sobór Watykański II. I miały w tym względzie niemałe sukcesy – przekonuje Sławomir Cenckiewicz. Ten pogląd – zaznaczmy – budzi polemiki nie tylko wśród tzw. otwartych katolików (których otwartość w kolejnych latach sięga coraz to nowych kręgów).

„Historia" Cenckiewicza to książka, którą chciałoby się przeczytać na raz, od deski do deski, zarywając trzy lub cztery noce. Rzadko kto może sobie dziś pozwolić na taki luksus. Na szczęście, można po tę lekturę sięgać niespiesznie, wybierać poszczególne rozdziały, artykuły i felietony. I do woli zgadzać się lub nie zgadzać z gdańskim historykiem. ■

Książka do nabycia na sklep.gazetapolsk.pl i pod nr tel. 722-111-655.

eprasa.pl 506c78f0aa

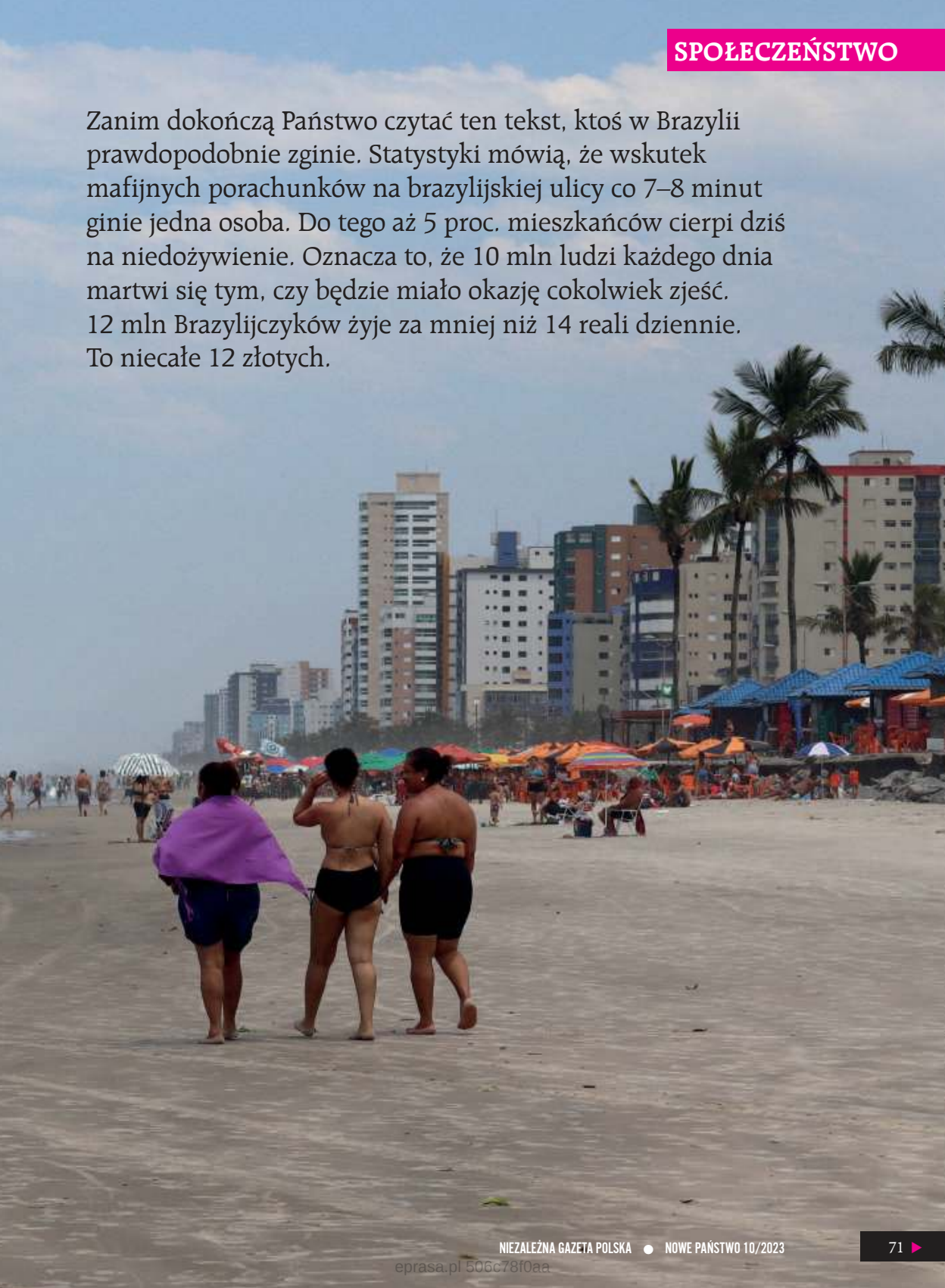


Stefan Czerniecki
czerniecki.net

Być wiernym pomimo wszystko. Migawka z brazylijskiej faweli pod Mongaguá

eprasa.pl 506c78f0aa

Zanim dokończą Państwo czytać ten tekst, ktoś w Brazylii prawdopodobnie zginie. Statystyki mówią, że wskutek mafijnych porachunków na brazylijskiej ulicy co 7–8 minut ginie jedna osoba. Do tego aż 5 proc. mieszkańców cierpi dziś na niedożywienie. Oznacza to, że 10 mln ludzi każdego dnia martwi się tym, czy będzie miało okazję cokolwiek zjeść. 12 mln Brazylijczyków żyje za mniej niż 14 reali dziennie. To niecałe 12 złotych.



eprasa.pl 506c78f0aa



Bez ładu, bez planowania. Wioski wokół miasta rosną bez niczyjej kontroli.

Brazylijskie wybrzeże stanu Paraná. W tym miejscu dwupasmową trasę międzystanową nr 101 dzieli od piaszczystej plaży zaledwie 300 metrów. Asfaltowa droga wiedzie jeszcze od portowego Santos. I będzie prowadzić aż do utkwionego już w interiorze Pedro Barros. Tam, gdzie wkoło widać już tylko znikające za horyzontem uprawy soi i kukurydzy. Póki co jednak droga wiedzie tędy: nad samym oceanem. Gdzie prowadzący auto kierowca ma z jednej strony widok na długą plażę, z drugiej zaś sześciusetmetrowej wysokości szczyty pasma Serra do Mar.

Miejscowość Mongaguá. Pięćdziesięciotysięczne miasteczko wybrzeża. I jak to w Brazylii zwykle bywa: miasteczko kontrastu. Z pięknymi piaszczystymi plażami, na których wypoczywają zagraniczni turyści. Przy których wejściach codziennie ustawiają się sprzedawcy owoców, kolorowych drinków i innych smakowicie wyglądających napojów chłodzących. Ale nie trzeba w Mongaguá wcale pojechać daleko od plaży, aby znaleźć zupełnie odmienne oblicze tego miasta. To porastające miejscowość od zachodu slumsy. Dzielnice biedy, na które każdego roku ściągają kolejni przybysze. Tutejsi mieszkańcy raczej nie bywają na plaży. Nie zapuszczają się w pobliże porośniętego palmami deptaka przy Mário Covas Júnior. Ci ludzie mają na głowie zupełnie inne sprawy niż wypoczynek i zabawa na plaży. Chcą po prostu przeżyć.

W drodze do pracy

Nad szutrową drogą prowadzącą między niskimi murowanymi domkami unosi się delikatna smuga pyłu. Przed chwilą przejechał tędy stary szary pickup, podrywając z drogi wysuszony nieustającym upałem piach. Pickup wiozący kilkoro robotników. Jadą do oddalonego o 70 kilometrów stąd São Paulo. To mieszkańcy Mongaguá. I zarazem szczęśliwcy, którym udało się załapać na dzisiejsze prace na przedmieściach aglomeracji. Zarobią za ten dzień pracy po 50 reali każdy. Wrócą do domów późnym wieczorem. Szczęśliwi i spełnieni. Następnego dnia będą mogli wreszcie pójść do pobliskiego sklepu i zrobić upragnione zakupy dla najbliższych. Pieczywo, mleko, może kilka parówek. Tyle, na ile starczy. Już nie na kreskę. W cichej nadziei, że kierownikowi robót będzie potrzebna jeszcze pomoc. I znów zatrudni robotników z Mongaguá.

eprasa.pl 506c78f0aa



Codzienny posiłek wcale nie jest dla tutejszych mieszkańców oczywistością. 5 procemt Brazylijczyków zmaga się z niedożywieniem.

Póki co robotnicy drzemią w ciasnym pickupie. Część jedzie w szoferce, część na pace z tyłu auta. Podskakując na kolejnych nierównościach.

– O, Domingos! Oi! O, Domingos! Cześć! – wykrzykują na widok chudego mężczyzny spacerującego wzdłuż zakurzonej drogi.

– Bom dia! Dzień dobry! – odpowiada cicho mężczyzna, unosząc lekko rękę w geście pozdrowienia.

Jednak spieszący się do pracy kierowca pickupa nie zamierza wcale zwalniać. Mija mężczyznę tak prędko, że ten nie nadąża nawet rozpoznać, którzy to koledzy siedzieli na pace auta. I kto wykrzyknął jego imię. Jeszcze przez chwilę spogląda za znikającym na trawiastym horyzoncie samochodem. W takim krajobrazie wzbite w powietrze tumany kurzu są widoczne dość długo. Nawet z daleka. Wszystko przez równinny charakter nadmorskiej części prowincji São Paulo. Porośniętej raczej krzewami niż drzewami. Gęstą trawą niż polami uprawnymi. Z nieużytkami niż terenami przemysłowymi. Prowincji, w której nie ma przyszłości. Gdzie bezrobociem dotknięty jest coraz większy odsetek mieszkańców. Mieszkających właśnie w takich miasteczkach nędzy jak to tutaj. Na północno-zachodnich przedmieściach Mongaguá.

▶ Zwolnić sprawiedliwego

To już kolejny miesiąc, jak Domingos nie może znaleźć pracy. Kolejny miesiąc, jak jego żona oraz dwoje dzieci bezradnie patrzą w jego stronę, gdy ten kolejny raz wraca do domu smutny. Chowający ze wstydu twarz przed najbliższymi. Niemający dla nich żadnych dobrych wieści. Absolutnie żadnych perspektyw, na których można by budować jakąś nadzieję.

A przecież jeszcze nie tak dawno nic nie wskazywało na taki obrót rzeczy. Była praca, było jedzenie, był dom. Zwykłe życie, wprawdzie bez luksusów, ale za to w spokoju i cichości. W uczciwości i pokornym znoszeniu codzienności. Aż do pamiętnego dnia. Domingos wciąż ma przed oczami miny ludzi, którzy z zimnym wzrokiem oskarżali go o oszustwo. Z którymi wcześniej nie chciał iść na nieuczciwą współpracę. Pamięta efekt intrygi uknutej przeciwko niemu w jego własnej firmie. Gdy kierownictwo z dnia na dzień pozbawiło go środków do życia. Nie dając szans na

eprasa.pl 506c78f0aa



Centrum Mongaguá zupełnie nie przypomina dzielnic ją okalających.

wytłumaczenie. Zapominając nagle o nieposzlakowanej opinii Domingosa jako pracownika. Któremu nigdy nie przyszło do głowy, aby cokolwiek ukraść. Aby komukolwiek uczynić krzywdę. „Przecież to nie mogłoby się podobać Bogu" – tłumaczył dziwiącym się kolegom, gdy ci pytali, dlaczego nie chce pójść na współpracę. Dlaczego nadal jest tak uparty i nie chce przyłożyć ręki do niegodziwego interesu. Tłumaczył, ale tamci nie rozumieli.

Po stracie pracy musiał wraz z rodziną szukać innego domu do zamieszkania. Tak trafił tutaj. Na przedmieścia nadmorskiego Mongaguá. Miasteczka słynącego z pięknych, szerokich i piaszczystych plaż. Ale także z porastających je dokoła dzielnic nędzy. Slumsów rozrastających się i namnażających jak grzyby po deszczu. Niestety także z udziałem domu rodziny samego Domingosa.

Bez chleba, bez nadziei

Od tamtej pory każdy jego dzień przypomina kalkę dnia poprzedniego. Poranna pobudka i spacer do pobliskiego sklepu po mleko. Tak długo, jak wystarczy pieniędzy. Gdy te się skończą, przeciągające się w nieskończoność rozmowy z właścicielką piekarni, by znów zapisała jego zakupy na kreskę. Najgorsze były zwykle te kolejne dni. Gdy nadal nie było pracy, pieniędzy. I gdy wreszcie kończyła się cierpliwość wierzycieli. Wtedy pozostawało już tylko długie snucie się po okolicy. Szukanie po omacku. W bezsilności. W poczuciu wstydu. By żona i dzieci nie widziały. Gdy do głowy przychodziły najróżniejsze myśli.

Właśnie w takim stanie rozmyślań minął dziś Domingosa tamten pickup. Gdy mężczyzna znów wyszedł z domu, nie bardzo wiedząc, czego szukać. Gdy znów stanął nad przepaścią beznadziei. Mijając piekarnię, przez dłuższą chwilę zastanawiał się, czy pomimo braku pieniędzy jednak nie wejść. A nuż będą dziś mieli coś w nadmiarze? Pragnienie, aby wreszcie przynieść do domu świeże pieczywo, jest zbyt silne, by dać mu odpór. Po wejściu do środka Domingos tym bardziej utwierdza się w przekonaniu, że to była dobra decyzja, gdyż na ladzie widzi wystawione dwa bochenki chleba.

– Przykro mi, Domingos. Dziś nie mogę ci ich dać. Są dla kogoś innego… – słowa obserwującej go uważnie pani Gabrieli są dla niego jak piorun z nieba.

– Rozumiem… A nie masz nic innego? – odpowiada ze smutkiem.

– Niestety. Wszystko mi dziś zeszło.

Wychodząc z piekarni, Domingos już sam nie wie, gdzie iść dalej. Czy znów wracać do domu z pustymi rękami? Czy może dać sobie szansę gdzieś jeszcze? Ale jeśli już, to gdzie? W którą stronę udać się teraz, aby

eprasa.pl 506c78f0aa



Położone wokół brazylijskiej Mongaguá fawele wyglądają nieco inaczej od tych słynnych z Rio de Janeiro. Co nie znaczy, że zmagają się z innymi problemami.

poszukać szczęścia? Co robić? Targany tymi samymi myślami co zwykle, mężczyzna rusza przed siebie. Powłócząc nogami, ze wzrokiem utkwionym w ziemi.

Cud na wysypisku

Tak dociera do lokalnego wysypiska śmieci. Z wysypanym gruzem. Z walającymi się wszędzie plastikowymi butelkami. Z połamanymi drewnianymi deskami od jakiegoś mebla. Naraz w tej bezładnej masie mętnego brudu i nieładu wzrok Domingosa pada na dwa czerwone przedmioty. Stoją tuż obok kilku pustaków, które ktoś ustawił jeden na drugim. Chcąc jakby zbudować atrapę niewielkiej ścianki w miniaturowym domku dla lalek. Domingos podchodzi bliżej. Nie wierzy. Te dwa jaskrawoczerwone przedmioty to dwa kartony mleka. Jeszcze nieotwartego. Obok nich leży kostka margaryny. Mężczyzna rozgląda się, czy czasem ktoś nie robi sobie z niego żartów. Póki co jednak wkoło nie widać ani żywego ducha. Domingos jest tu sam.

Wraca do domu pełen wzruszenia.

– Adrina! Adrina! – woła, jeszcze nie dotarłszy do domu. – Zobacz! Nie uwierzysz!

Zdezorientowana kobieta podbiega do drzwi. By zobaczyć ukochanego męża niosącego z dumą dwa kartony mleka i margarynę.

– Sprzedali ci jednak? – pyta z przejęciem.

– Nie uwierzysz… Dobry Bóg zesłał nam to mleko. W piekarni powiedzieli, że dziś nie mam czego u nich szukać. Szedłem więc dalej. I wtedy znalazłem to. Leżało na wysypisku śmieci, rozumiesz? Przez nikogo nie ruszone. Jakby ktoś mi to specjalnie zostawił.

Tego dnia rodzina Dos Santos będzie miała co jeść. Mleko z płatkami. I fasola z ryżem na obiad przyrządzona przez troskliwą Adrinę. Głód na chwilę zostanie stłumiony. Znów będzie można zająć myśli czymś przyjemniejszym. Znów będzie można normalnie pożyć.

Czas jednak płynie nieubłaganie. Bezradny Domingos ponownie wyjdzie szukać. Ponownie będzie zmuszony do żebrania o litość. Gdy jego ufność Bogu znów zostanie wystawiona na próbę. Podobnie jak trzy dni temu.

Propozycja

Nadal pamięta o tamtej wizycie nieznanych mu ludzi. Podjechali pod piaszczystą skarpę kończącą uliczkę, przy której znajduje się jego dom. Przypominający bardziej drewnianą szopę niż gospodarstwo, w którym mieszka czteroosobowa rodzina. Trzech barczystych mężczyzn od razu przeszło do rzeczy. Bez zbędnych przywitań.

eprasa.pl 506c78f0aa

– Ty jesteś Domingos? – zapytał najniższy z nich. Krótko ostrzyżony. Z ciemnymi okularami na oczach. Z obcisłą koszulką akcentującą umięśnione ciało mężczyzny.

– Tak, to ja. A co? – odpowiedział nadal zaskoczony Domingos.

– Flávio nam o tobie opowiadał. Podobno masz problemy…

– A co wam dokładnie powiedział? – wygląd gości nie wzbudził w Domingosie zaufania.

– Niewiele. Tylko tyle, że jesteś tu nowy. I że szukasz pracy.

– Bo to prawda – chcąc ukryć zawstydzenie na twarzy, Domingos pochylił nieco głowę.

– To już ją znalazłeś… – odpowiedział naraz surowym tonem mężczyzna.

– Nie rozumiem…

– Chodź – nieznany mężczyzna gestem głowy poprosił Domingosa, aby ten podszedł za nim. Wyszli na podwórze. Do pozostawionego tam samochodu. Na komendę mężczyzny jego towarzysz, rozglądając się uprzednio dookoła, czy nikt nie widzi, szybko otworzył tylny bagażnik auta. Domingos zobaczył trzy walizki. Drugi z kompanów niskiego mężczyzny, który wyglądał na szefa, sprawnym ruchem ręki otworzył po kolei każdą z nich. W środku znajdowały się foliowe torebki z białym proszkiem.

– Ale… – próbował oponować Domingos.

– Układ jest prosty. Dostajesz 10 procent od każdej transakcji, jaką uda ci się zrobić. Pełna dyskrecja. I czysty zysk. Dla ciebie i twoich najbliższych – wypowiadając ostatnie słowa, mężczyzna zdjął okulary. Dopiero wtedy Domingos zobaczył u niego wielką bliznę nad prawym łukiem brwiowym. – Wchodzisz w to?

Domingos z wrażenia aż usiądł na kamieniu. Wszystko działo się jak dla niego zdecydowanie za szybko. Widząc wychylającą się zza drzwi żonę, szybkim gestem kazał jej schować się z powrotem do domu. Do szefa grupy zaś odezwał się możliwie najbardziej uprzejmym tonem, na jaki było go w tej chwili stać.

– Bardzo panu dziękuję. Naprawdę. Za to, że przyjechaliście. Że pomyśleliście akurat o mnie. Za troskę... Ale… – tutaj głos Domingosowi na chwilę się załamał – ...ale nie mogę przyjąć waszej oferty.

– Wracamy… – mężczyzna nawet nie podał ręki na pożegnanie. Podobnie jak dwóch pozostałych. Prędko wrócili do samochodu i z rykiem silnika odjechali z faweli.

▶ Dar serca

– Nie mogłem przyjąć tej oferty, proszę księdza… – rozmawiając z księdzem Edmundem Grabowskim MIC Domingos nie potrafi powstrzymać łez. – Choć muszę uczciwie przyznać, że pokusa naprawdę była olbrzymia. Wreszcie miałbym na chleb na córki. Dziś rano znów powiedziała mi, że jest głodna.

– Poczekaj tu chwilkę… – słuchający uważnie słów zapłakanego mężczyzny zakonnik wstaje szybko od stołu, przy którym siedzą na mariańskiej plebani w Mongaguá. Po kilku minutach ksiądz Edmund wraca do pokoju z pokaźną reklamówką w ręku. – To tyle, ile mogę ci dzisiaj dać. Za tydzień przyjadę do was, to przywiozę więcej…

– Ale księże… Jak to? Dla nas? To wszystko dla nas? – Domingos zagląda do wręczonej mu przed chwilą reklamówki

– Tak, nie odmawiaj, proszę. Tylko tyle możemy dać…

Domingos czyni pospiesznie znak krzyża. On akurat doskonale wie, kto zesłał mu tych ludzi. Tutaj, na zapomniany skrawek brazylijskiej ziemi. Gdzie obok radosnego krzyku bogatych plażowiczów coraz częściej słychać znacznie cichszy szloch biedoty. Ludzi, dla których każdy kolejny dzień stanowi prawdziwe wyzwanie rzucone rzeczywistości. Beznadziejną konieczność wyszarpania tych kolejnych kilkunastu godzin z gardła codziennego żywiołu walki o przetrwanie.

Ksiądz Edmund posługuje w Brazylii już od ponad 40 lat. To wystarczająco długo, aby na dobre poznać tajemnice tego lądu. Z jego jasnymi i ciemnymi stronami. Posługując w nadmorskiej Mongaguá, zwłaszcza z tymi drugimi. Gdy Bóg skierował mariańskich księży do zajęcia się najbardziej ubogimi mieszkańcami tego regionu. A to wiązało się z koniecznością udania się na pobliskie fawele. I tak też marianie uczynili. Tak też zrobił ksiądz Edmund.

▶ Pomoc od świata dla maleńkiej chatki pod Mongaguá

Tegoroczna pora deszczowa jest dla Brazylii wyjątkowo obfita w ulewy. Od początku kwietnia i tak już mocno wezbrane rzeki zostały jeszcze dodatkowo zasilone kolejną porcją wody. Podmyte brzegi od tygodni zwiastują nadchodzące wydarzenia. Przedstawiciele lokalnych władz twierdzą, że kontrolują sytuację. I rzeczywiście raz po raz ogłaszany jest kolejny alert powodziowy. Niektórym mieszkańcom sugeruje się wprost ewakuację. Dla większości rezydentów podmongaguańskich faweli nie ma to jednak większego znaczenia. Oni nie mają i tak żadnej alternatywy przenosin. W poczuciu bezczynności czekają na to, co przyniesie kolejny dzień. Wśród nich jest także Domingos.

Gdy przychodzi kolejna fala, nie mają gdzie uciekać. Na szczęście woda nie jest na tyle wielka, aby zagrozić

eprasa.pl 506c78f0aa



Marzenia mieszkańców slamsów Mongaguá mają zupełni inny wymiar od tych, z którymi my obcujemy na co dzień.

ich życiu. Zadowoli się dobytkiem. Rujnując domy, zabierając wszystko, co zdążyli zebrać dokoła. Sprawiając, że z dnia na dzień z biedaków stali się nędzarzami.

– Woda zabrała wszystko… – Domingos nadal nie może wyjść z szoku. Oprowadza księdza Edmunda po swoim domu. A właściwie po tym, co z niego zostało. Zawilgocone ściany, zapiaszczone mokrą gliną okna, stojące nadal w kątach kałuże. I przechadzająca się między tym wszystkim zmoczona, przestraszona kura. Duchowny przygląda się wszystkiemu z troskliwą uwagą. Póki co nic mówi. Woli posłuchać Domingosa. – Nie wiem, co Bóg chce nam powiedzieć przez to wydarzenie, proszę księdza. Ale nadal chcę ufać. Takiej wiary nauczyła mnie mama. Takiej wiary nauczyła moją żonę jej mama. Chcemy wytrwać. Choć po ludzku jest naprawdę ciężko.

– Jedliście dziś już coś? – po dłuższej chwili milczenia odzywa się wreszcie sam marianin.

– Prócz płatków z mlekiem rano jeszcze nie – odpowiada Domingos. – Adrina pewnie przyrządzi po siedemnastej ryż z fasolą. Tego mamy jeszcze spory zapas. Da się ksiądz zaprosić?

– Nie, nie… – duchowny jest wyraźnie speszony usłyszaną odpowiedzią. Nie takiej się spodziewał. – Pytałem, bo mam coś dla was.

Ksiądz Edmund wraca na chwilę do samochodu. Zaraz pojawia się z trzema torbami jedzenia.

– Proszę księdza… – Domingos jest wyraźnie onieśmielony. – Czym my sobie zasłużyliśmy na waszą hojność i pomoc?

– Zaufaniem Bogu, kochany Domingos, zaufaniem Bogu – uśmiecha się marianin. – On nigdy nie zostawia swoich synów samych sobie.

Za kilka miesięcy dom państwa Dos Santos ulegnie gruntownemu remontowi. Księża marianie przy współudziale ludzi dobrej woli z całego świata (zrzeszonych w organizacjach o nazwie Pomocnicy Marianscy) zbiorą wystarczającą ilość środków, aby Domingosowi i jego najbliższym postawić prawdziwą łazienkę. Odremontować kuchnię. Wymienić lodówkę. I wyposażyć ją w jedzenie.

Widząc kolejnych ludzi wnoszących sprzęty do nie tak dawno doszczętnie zalanego domu, Domingos przysiada po cichu w jednym z kątów izby wejściowej. Tutaj w całym tym harmidrze przez krótki moment nie będzie przez nikogo zauważany. Po chwili skrywa twarz w swych dłoniach. Jest naprawdę wzruszony. Nie wie, co powiedzieć. Nie wie, co myśleć. Nie zna tych wszystkich ludzi, dzięki którym za kilka dni jego dom będzie zupełnie odbudowany. Wyremontowany i odświeżony. Nie ma nawet pojęcia, z jakich krajów pochodzą. Ale wie coś innego, Że choć dziś nadal nie ma pracy, to właśnie zdobył pewność, że tamta decyzja o wierności Bogu była najlepszą z możliwych. I nigdy nie będzie jej żałować. ■

eprasa.pl 506c78f0aa





Krzysztof Karnkowski

Uwagi do „Raportu”

„Raport Pileckiego” to film dobrze zrobiony. Czy dobry? To już trudniejsze pytanie. Na pewno dobrze, że powstał. Czy jednak musiał być właśnie taki?

eprasa.pl 506c78f0aa











FOT. MAT. PRAS.

Losy rotmistrza Pileckiego niewątpliwe były dramatyczne, zwłaszcza w ostatniej części życia. Tortury i atmosfera ubeckich katowni pokazane są w filmie bardziej wiernie, niż kilka wątków z biografii Pileckiego. Sama praca nad filmem nie przebiegała, jak to prawie zawsze w takich sytuacjach, bez napięć. Efekt na pewno stanie się polem do popisu dla z zasady nieprzychylnej takim produkcjom krytyki (ta rozpływa się właśnie nad „Zieloną granicą" Agnieszki Holland), jednak obawiam się, że tym razem kilku argumentów dostarczyli sami twórcy. No dobrze, ale czy to znaczy, żeby nie iść do kina? Iść, ale pod pewnymi warunkami.

Obraz bardzo brutalny

Pierwszy z nich już zasygnalizowałem. To potworne nagromadzenie przemocy. Nie wiem, czy ktoś pokazał już ubeckie piekło w takim natężeniu. Oś narracyjna filmu snuta jest wokół kolejnych, coraz bardziej brutalnych przesłuchań, które przetykane są nie zawsze chronologicznymi wspomnieniami bohatera – sprzed wojny, pierwszych walk, okupacji, wreszcie z Auschwitz. Gdy więc kolejne tortury przełamane są dramatycznymi scenami innej kaźni, trudno to przełknąć, choć przecież tak było. Więc może i tak właśnie trzeba było to pokazać? W trakcie seansu przyszedł mi do głowy bezlitosny dla widza i postaci gatunek „torture porn" (wbrew nazwie nie chodzi tu o pornografię jako taką, lecz o oparcie obrazu na naturalistycznych, skondensowanych scenach sadystycznej przemocy). Wychodząc z kina po przedpremierowym pokazie dla dziennikarzy, miałem już bardziej nobilitujące skojarzenie z „Pasją" Mela Gibsona, które zresztą towarzyszyło samemu reżyserowi. Tyle że przecież i wobec „Pasji" stawiano zarzut koncentrowania uwagi na jednym – krwawym aspekcie przynoszącego chwałę i nadzieję wydarzenia.

Gdy rok temu pisałem o całkiem niezłym filmie „Orlęta. Grodno 1939" w reżyserii tego samego Krzysztofa Łukasiewicza, zwracałem uwagę na to, że okrucieństwo niektórych scen sprawia, iż trudno będzie pokazywać ten film młodzieży szkolnej, która wydawałaby się jego najbardziej naturalnym, a może i pożądanym odbiorcą. Tutaj jest tak samo, to nie jest film, który można obejrzeć z dzieckiem. Gdyby decyzja zależała ode mnie, rekomendowałbym to widzom od 18., a może nawet 21. roku życia.

Wróćmy do odbioru krytyki. „Los rotmistrza jest dla twórców interesujący tylko dlatego, że jak w soczewce skupia bestialstwo zarówno nazizmu, jak i komunizmu. Bestialstwo, w którym twórcy się z lubością rozsmakowują, wiele miejsca poświęcając przemocy, torturom, opresji, a opisując je, zbliżają się wręcz do estetyki gore wywołującej mdłości, skąpiąc przy tym na emocjach, emocji tu za to

epiasa.pl 6c78f0aa

niewiele. Sam Pilecki jest dla autorów istotny o tyle, że całego tego zła doświadczył na własnej skórze i własną biografią może zaświadczyć, że w mokotowskim więzieniu rozgorzało to samo piekło (choć twierdził, że nawet większe) co w Auschwitz" – pisze na Filmwebie Michał Przepiórka i bardziej się z tym opisem zgadzam, niż zgodzić się bym chciał.

Nieco nieścisłości

Film historycznie skupia się na obarczeniu odpowiedzialnością za taki, a nie inny los rotmistrza nie tylko zbrodniczego systemu komunistycznego, lecz także jednego, jedynego człowieka, czyli Józefa Cyrankiewicza. Ta teza czy też hipoteza jest oczywiście wiarygodna, według niej Pilecki był dla komunistycznego kacyka zagrożeniem, znając prawdę o jego pobycie w Auschwitz, na którym mit Cyrankiewicza był budowany przez propagandę. Problem w tym, że ta niechęć czy raczej strach, skutkujący dramatem Pileckiego, nie jest w opowieści filmowej wystarczająco mocno umotywowany. „I też nie ma co eksponować zarzutów, co robił Cyrankiewicz w Auschwitz, współpracował z Gestapo czy handlował kosztownościami na terenie obozu. Tego się raczej nie dowiemy. Dlatego też Cyrankiewicz w filmie się po prostu boi, czy i co mógł na jego temat napisać w raportach czy choćby zeznać na UB Pilecki" – tłumaczył Łukaszewicz w rozmowie z „Gazetą Polską".

To jednak moje subiektywne odczucia. Ale są także zarzuty formowane przez znawców postaci rotmistrza. Choć bowiem, a były takie obawy, film nie wpisał się na szczęście w konstrukcję postkomunistycznej propagandy, próbującej z tego bohatera masowej historycznej świadomości Polaków zrobić przestraszonego, złamanego kolaboranta, to jednak ujmuje mu trochę z bohaterstwa, choćby w chwili, gdy ten wyrusza do Auschwitz. Na rozkaz, może nawet zaszantażowany emocjonalnie przez dowództwo, lecz czy w związku z tym pozostaje w filmie ochotnikiem? To dość dyskusyjne. Inaczej też niż w prawdziwej historii, rotmistrz do transportu trafia z łapanki. Zabieg ten służyć ma pokazaniu walki wewnętrznej, rozterek, Łukaszewicz porównuje tu Pileckiego do Chrystusa w ogrodzie oliwnym. Artystycznie jest to do obrony, jednak z prawdą historyczną mija się dość daleko. Niektórzy mają też pretensję o scenę wykonania przez podziemie egzekucji na zdrajcy bez sądu i wyroku, w trybie doraźnym, choć tu na swoją obronę reżyser ma świadectwa żołnierzy z innych tego typu sytuacji.

Długi i trudny proces twórczy

Część kłopotów bierze się zapewne z barwnej historii dotyczącej powstawania filmu. Produkcja miała szczęście do budżetu (ponoć trzeciego w historii polskiego kina po 1989 roku), lecz pecha do reżysera. Wybrany jako pierwszy Leszek Wosiewicz po wyreżyserowaniu sporej części filmu został odsunięty od pracy i zastąpiony przez Krzysztofa Łukaszewicza, który skromnie nie chce w związku z tym odbierać żadnych splendorów. Czuć w tym jakiś konflikt między twórcami a zleceniodawcami, którego przyczyn bardziej możemy się domyślać, niż czegoś o nich dowiedzieć – zwłaszcza że chętnie pisały o nich media mające interes w przedstawieniu produkcji w złym świetle. Jednak fakt, że w filmie zabrakło kilku scen, które wcześniej rzekomo miały się w nim pojawić, wskazuje, że może nie była to najgorsza decyzja. Wosiewicz obecnie procesuje się z wytwórnią, zgłaszając pretensje w imieniu nie tylko swoim, lecz także dobrego imienia bohatera, a jego nazwisko nie pojawia się w napisach. Bardzo długo trwały też prace nad filmem, które rozpoczęto jeszcze przed pandemią. Przez to wszystko wokół filmu wytworzył się pewien informacyjny chaos i trudno dziś ustalić, które zarzuty stawiać należało której z ekip. Obie odwołują się do pamięci o Witoldzie Pileckim, mimo opisanych wcześniej dyskusyjnych scen nie można uznać filmu za próbę demitologizacji tej postaci, odbrązawiania jej na siłę. Kimś w rodzaju idola, na pewno autorytetu czy inspiracji pozostaje on i dla drugiego reżysera, mającego na koncie ciekawe, mieszczące się w nurcie kina patriotycznego produkcje (poza wspomnianymi już „Orlętami" Łukaszewicz nakręcił też udaną „Karbalę" o wielkiej akcji polskiej misji w Afganistanie), i dla niewątpliwie zafascynowanego Pileckim odtwórcy głównej roli, Przemysława Wyszyńskiego.

Na koniec

W 2022 roku powstał krótkometrażowy „Rotmistrz Pilecki" (reż. Miłosz Kozioł, Miłosz A. Lodowski), dostępny w całości na YouTube. To całkiem udany, choć oczywiście dość skromny, finansowany przez crowdfunding obraz, mający chyba większy potencjał jako materiał edukacyjny. W planach, przybierających jednak wreszcie konkretniejsze kształty, jest wyczekiwana od dawna hollywoodzka superprodukcja o rotmistrzu, mająca nosić tytuł „Enemy of my enemy". Tymczasem „Raport Pileckiego" trafił już do kin i, niestety, nie święci w nich oczekiwanych triumfów. Co prawda przez pierwsze dwa weekendy był najchętniej oglądanym polskim filmem, jednak w weekend otwarcia obejrzało go trochę ponad 23 tys. osób, w kolejny natomiast – 14 tys. widzów, a od premiery do 10 września łącznie sprzedano na niego niecałe 55 tys. biletów. To wynik dość typowy jak na polski patriotyczny film historyczny, jednak nakład środków i pracy sprawia, że mimo wszystkich spisanych wyżej uwag, „Raport" zasługuje moim zdaniem na dużo większą popularność. ■

eprasa.pl 506c78f0aa

Małgorzata Matuszak



MASTURDATING – dbanie o siebie czy narcyzm?

Współczesny człowiek coraz częściej staje przed problemem, jak radzić sobie ze swoim osamotnieniem. Umiejętność bycia ze sobą jest niezwykle ważna, czerpania przyjemności ze spędzania czasu we własnym towarzystwie również, ale niepokojące jest to, że z przebywania sam na sam ze sobą czyni się jakąś nową ideologię, dziwacznie w dodatku nazwaną. Bo za taką uznać można „masturdating", cieszący się – według obserwatorów zjawiska – coraz większym zainteresowaniem.

FOT. ADOBE STOCK

Żyjemy w czasach, w których coraz bardziej doskwiera nam samotność. Izolujemy się, nie potrafimy nawiązywać bliskich relacji z innymi ludźmi, nawet z tymi, których uważamy za swoich bliskich. Jesteśmy pośród innych ludzi, a jakby obok nich.

Czym jest masturdating?

Masturdating to nowy, popularny trend społeczny. Ten anglojęzyczny termin powstał z połączenia dwóch słów: „masturbacja" i „dating", czyli „randkowanie". Nazwa może być myląca, gdyż kojarzy się z dostarczaniem sobie przyjemności seksualnej, a chodzi tu o coś, co polega o zadbaniu o siebie, o możliwość przebywania ze sobą i czerpania z tego przyjemności. Masturdating zalecany jest nie tylko osobom samotnym, lecz także tym będącym w związkach, jako sposób na odnalezienie i wzmocnienie siebie.

Pojęcie to oznacza – jak przyjęło się je tłumaczyć – „randkę z samym sobą", czyli bycie zadowolonym w swoim towarzystwie, zdobywanie siebie, dawanie sobie w pojedynkę uwagi, troski i miłości. Jest to forma, która służy temu, aby osiągnąć relaks, spokój i wejść w kontakt z samym sobą. To neutralne określenie wobec potrzeb seksualnych, choć ich równocześnie się nie wyklucza, jeśli ktoś uznaje ten sposób spędzania ze sobą czasu za najwłaściwszy i dostarczający największej przyjemności. Masturdating generalnie jest raczej przejawem „zdrowego egoizmu", próbą zbudowania przestrzeni dla samego siebie w natłoku spraw i obowiązków oraz życiu w stresie i pośpiechu. To również sposób na to, aby nauczyć się być ze sobą w przyjemny sposób bez obciążania innych ludzi tymi potrzebami, które możemy zaspokoić sami, jak wyjście do kina czy na basen samemu, gdy nie może być z nami ktoś bliski. To pojęcie oznacza więc dobrze znaną pewnie już od wieków umiejętność bycia w „dobrej samotności". Jest to jednocześnie okazja do przyjrzenia się sobie i zagłębienia w siebie oraz oddania swobodnej refleksji nad sobą i swoim życiem.

Wydawać się może to dziwne, iż ludzi dzisiaj trzeba uczyć, że spędzanie czasu ze sobą może być twórcze i nie należy od niego stronić, i że w pojedynkę również można miło spędzać czas. A jednak trzeba. Być może dlatego, że bycie samemu oznacza dla nich bezrefleksyjne przeglądanie portali społecznościowych i życiowe zagubienie, zapominanie się w codzienności i codziennych obowiązkach. Takie wrażenie można odnieść, czytając wypowiedzi osób, dla których odkrycie masturdatingu było sposobem na poradzenie sobie z problemami z samym sobą. „Generalnie raczej jestem człowiekiem biegającym, który dużo czasu spędza z ludźmi. I zawsze miałem problem z tym, że nie dostrzegałem momentu, kiedy coś mnie przebodźcowywało. Jakoś pół roku temu po przeczytaniu pewnego artykułu uznałem, że może nie mam nikogo, ale to nie oznacza, że nie mogę spędzić czasu w podobny sposób, tylko sam. Szczerze, to było coś cudownego. Może na początku było mi ciężko, bo przez to, że jestem »zwierzakiem« społecznym, to nie miałem do kogo się odezwać. Jednak dzięki temu, że nie musiałem wchodzić w dialog z kimś innym, to mogłem wejść w dialog ze sobą i to nie dołujący, jak to zwykle bywało w momentach kryzysowych, a przyjemny. Może sama nazwa trendu brzmi dziwnie, ale polecam każdemu, by spróbować" – mówi Paweł. Równie odkrywcze było to dla Pauliny, która stwierdza: „Uwielbiam sama spędzać czas, ale do randek z samą sobą podchodzę nieco inaczej. Planuję je wcześniej, ładniej się ubieram. To czas dla mnie, by właśnie »ukochać« samą siebie. Poleciła mi to koleżanka, jak byłam po rozstaniu i miałam wielkiego doła. Uważałam to za głupie, ale szczerze – teraz jestem jej bardzo wdzięczna za to, że mi to zaproponowała, bo sama zawsze do takich spraw »self-care« podchodziłam z dystansem. A to potrafi naprawdę dużo zmienić w naszej głowie".

Nowe słowo na stare potrzeby

Ludzie od wieków wiedzieli, że życie w społeczeństwie jest ważne, ale również potrzebne są chwile odosobnienia i wyciszenia, które kiedyś najczęściej służyły duchowej kontemplacji, a współczesność do tych chwil bycia ze sobą dodała również aspekt przyjemności, który polega po prostu na miłym spędzeniu czasu z samym sobą. Już dawne szkoły ascetyczne zalecały bycie z sobą. Metodyczne odosobnienie religijne praktykowano już w starożytności greckiej u pitagorejczyków oraz stoików, uznając, że dusza powinna się oczyszczać z uwikłania w świat zmysłowy i namiętności tego świata. Znane są odosobnienia również w kontemplacyjnych nurtach monasterów chrześcijańskich. Powszechne, a nawet będące niezbędną częścią rozwoju duchowego, są odosobnienia praktykowane też we wschodniej kulturze. W dawnych Chinach i Japonii były one częścią życia dobrego wojownika oraz mnicha.

Współczesność, dodając do tej potrzeby izolacji od świata aspekt hedonistyczny, nie musi być cał-

eprasa.pl 506c78f0aa

kowitym zaprzeczeniem idei dawnych odosobnień. Również w czasie tych spotkań ze sobą, zwanych współcześnie masturdatingiem, można odciąć się do świata i zagłębić w swoje wnętrze. Ta forma spędzania czasu ze sobą również jest dopuszczalna i możliwa, gdyż wszystko tu zależy od indywidualnych preferencji, na co przeznaczymy ten samotny czas.

Można powiedzieć, że „randki z samym sobą" są dość pozytywnym trendem, gdyż budują w nas poczucie samowystarczalności oraz dają możliwość poznania i zbudowania swojego świata również w oderwaniu od życia innych ludzi. Są w tym aspekcie przejawem higieny psychicznej oraz mogą umożliwić człowiekowi odzyskanie równowagi psychicznej w natłoku spraw życia codziennego i bycia w hałasie i tłumie wielkich miast.

Jednak czy w samo pojęcie ranki z samym sobą nie jest wpisane pewne niebezpieczeństwo? Czy randka z samym sobą, która oznacza przecież potocznie spotkanie miłosne, spotkanie mające na celu flirt i zdobywanie kogoś drugiego, jest w pełni zdrową tendencją, jeśli odnosi się do samego siebie? Jak z bycia dobrym dla siebie nie przejść na narcystyczne samouwielbienie dla siebie i tylko dla samego siebie?

Przyjaciel samego siebie czy narcyz?

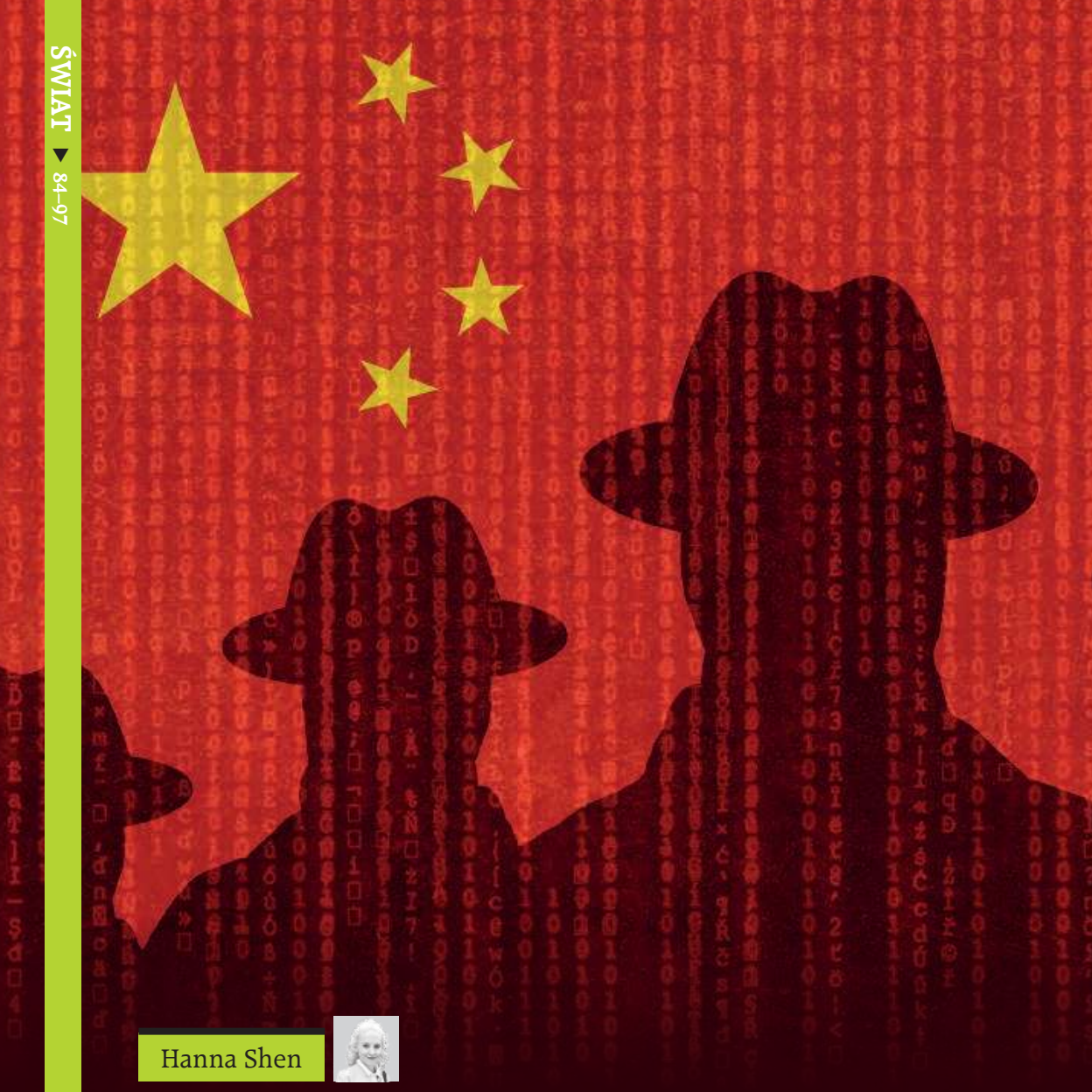
Wszystko zależy tu od naszego podejścia oraz naszych predyspozycji i potrzeb, które wyznaczają granice tego, czy ten trend okaże się zdrowy, czy ujawni swoje bardziej niebezpieczne oblicze. Nie ma nic niebezpiecznego w miłym spędzaniu czasu ze sobą, o ile nasze życie nie ogranicza się do tego i nie rezygnujemy przez to z kontaktów z innymi, uważając, że inni ludzie są nam niepotrzebni do szczęścia, bo przecież również z samym sobą „bawimy się dobrze", a nawet czasem lepiej, gdyż drugi człowiek nie narzuca nam ograniczeń i swoich oczekiwań. W takiej sytuacji trend społeczny będzie oznaczać jakąś formę narcyzmu społecznego i źle pojętą ideę samowystarczalności, kiedy to drugi człowiek nie jest już wyborem, ale kimś zbędnym, podczas gdy dobra idea samowystarczalności mówi tylko o tym, aby wybierać kogoś nie z powodu konieczności życiowych, lecz dla niego samego. Nasuwa się również refleksja, czy ten trend społeczny nie jest tylko reakcją na zauważalną już postępującą epidemię samotności w społeczeństwie współczesnym. Czy nie jest tak, że skoro wielu ludzi czuje się samotnymi, a nawet skazanymi w pewnych okolicznościach na samotność, nie starają się oni uczynić tej samotności znośną, miłą, a nawet modną? Czy nie następuje tutaj sytuacja, że aby ratować się przed zwątpieniem, które grozi komuś, kto czuje się samotny, szuka się wyjścia w samotności tej gloryfikacji?

Może w tym stwierdzeniu jest również pewna prawda, bo nie zawsze przecież wybieramy samotność dlatego, że możemy, ale czasem przebywamy ze sobą dlatego, że musimy. Na pewno jednak pozytywną tendencją jest to, że – czy samotność jest koniecznością, czy wyborem – uczynić można bycie ze sobą możliwie najlepszym czasem, a nie tylko momentem rozgoryczenia i zazdrosnego patrzenia na ludzi, którzy są razem. Jeśli bowiem sami jesteśmy zadowoleni z siebie i ze swojego życia, łatwiej dać nam też innym ludziom z siebie coś dobrego. Tylko ten wszak, kto uważa, że może być dobrym towarzyszem dla samego siebie, może być z całą pewnością też dobrym towarzyszem dla innych. Pozytywnym aspektem omawianego masturdatingu jako trendu społecznego jest to, że ludzie przestają uciekać przed samotnością, widząc w niej zagrożenie i gorszą odmianę bycia, ale są w stanie się z nią zmierzyć i jeszcze uczynić ją przyjemną. W ten sposób stają się przyjaciółmi dla samych siebie, odkrywając w sobie również kogoś ważnego. Umiejętność bycia z samym sobą, również w dobie pogłębiającej się epidemii samotności społecznej, nawet jeśli do końca nie została ona wybrana, może okazać się niezwykle cenną umiejętnością.

Dziwne czasy

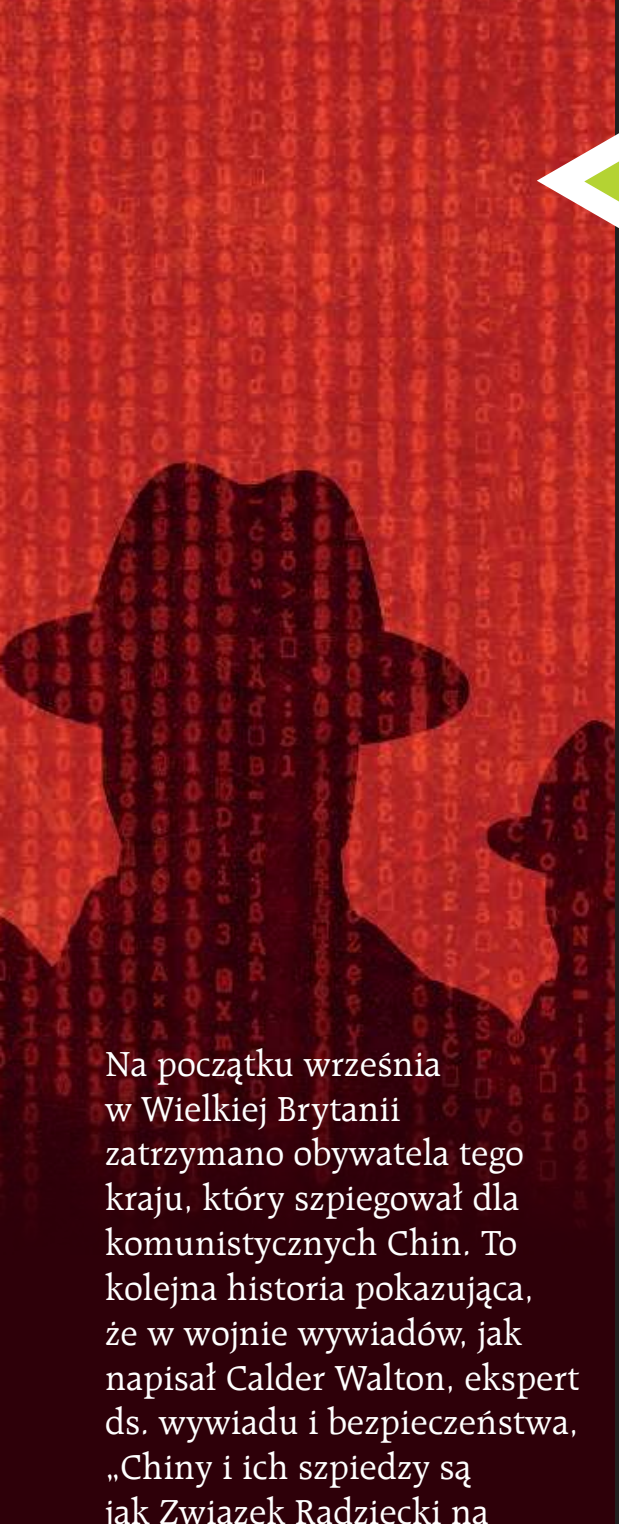
Inną nazwą masturdatingu jest „masterdating", czyli „bycie panem, mistrzem randek ze sobą", co wydaje się znacznie adekwatniejszym terminem dla określenia tego, co kryje się pod pojęciem masturdatingu. Niemniej trudno się oprzeć wrażeniu, iż dziwne nastały czasy, że sprawy dla człowieka oczywiste muszą zyskać angielską nazwę, by zwrócić na nie uwagę. Tylko dlaczego umiejętność pójścia samemu na spacer, do kina, czy poświęcaniu czasu na coś, co po prostu sprawia nam przyjemność, etykietować jakimś obco brzmiącym terminem? Odkrywać coś, co dawno zostało odkryte? Czy dlatego, że ludzie pragną być dzisiaj indywidualistami, a tak naprawdę tego nie potrafią? Są samotni, a nie umieją się do tego przyznać? Pragną być z kimś, a nie potrafią zbudować bliskości? Gloryfikują samotność, bo nie są w stanie budować satysfakcjonujących związków? Bo weszli w związki, nie wiedząc, kim naprawdę są? Aby prawdziwie być z kimś, by budować bliskość, trzeba wiedzieć, kim się jest, znać prawdę o sobie i o kimś, z kim ten związek chce się zbudować. Z tym dzisiaj jest problem. Trzeba wrócić do podstaw rozumienia siebie i budowania bliskości z drugim człowiekiem. ■

eprasa.pl 506c78f0aa



Hanna Shen

CHIŃSKIE SZPIEGOWANIE NA STERYDACH



Na początku września w Wielkiej Brytanii zatrzymano obywatela tego kraju, który szpiegował dla komunistycznych Chin. To kolejna historia pokazująca, że w wojnie wywiadów, jak napisał Calder Walton, ekspert ds. wywiadu i bezpieczeństwa, „Chiny i ich szpiedzy są jak Związek Radziecki na sterydach".

FOT. ADOBE STOCK

Chris Cash spędził dwa lata w Chinach, pracując dla British Council, a także dla międzynarodowej sekcji szkoły średniej Hangzhou Dongfang. Brytyjskie służby twierdzą, że to wtedy został zwerbowany jako uśpiony agent, a następnie odesłany do Wielkiej Brytanii w celu, jak pisze „Sunday Times" „infiltracji sieci polityków krytycznych wobec reżimu w Pekinie".

Kret z dużymi uprawnieniami

W swojej ojczyźnie Cash pracował dla China Research Group (CRG), think tanku powszechnie postrzeganego jak ten, który opowiada się za bardziej „jastrzębią" polityką Wielkiej Brytanii wobec Chin. Organizację w kwietniu 2020 roku założyli konserwatywni politycy, m.in. Tom Tugendhat, obecnie minister ds. bezpieczeństwa, i Neil O'Brien, obecny brytyjski minister ds. zdrowia, a w pewnym momencie w jej skład wchodziło aż siedmiu parlamentarzystów.

Cash miał przepustkę do parlamentu i łatwy dostęp do czołowych brytyjskich polityków. Mógł mieć wgląd w wysoce wrażliwe dokumenty, a także prywatne informacje ministrów, urzędników wyższego szczebla i dysydentów krytycznych wobec rządzącej Chinami partii komunistycznej.

Nie wiemy jeszcze, jakie informacje dokładnie Chris Cash przekazał Pekinowi, ale na ciekawy aspekt jego działalności zwrócił uwagę sir Iain Duncan Smith, parlamentarzysta, lider Partii Konserwatywnej w latach 2001–2003. Smith jest też członkiem Międzyparlamentarnego Sojuszu ds. Chin (Inter-Parliamentary Alliance on China/IPAC), grupy skupiającej posłów z wielu krajów, którzy chcą stworzyć skoordynowaną politykę państw demokratycznych wobec Chin w kwestiach światowego handlu, bezpieczeństwa i praw człowieka. Według niego to właśnie przeciwko politykom skupionym w IPAC często występował Cash. Smith twierdzi, że działalność chińskiego szpiega z pewnością polegała na osłabianiu partii rządzącej poprzez tworzenie w niej podziałów i niszczenie pozycji brytyjskich polityków krytycznych wobec Chin.

Pluskwa w samochodzie premiera

Brytyjskie media i politycy przyznają, że sprawa Casha może nie być odosobniona i że w najbliższych miesiącach służby mają zdemaskować całą siatkę chińskich szpiegów mających dostęp do brytyjskiego parlamentu i wysoko postawionych polityków. Informacje te wywołały szok w Wielkiej Brytanii, ale nie były niczym nowym.

strona nr 6c78f0aa

W 2020 roku trzej chińscy dziennikarze zostali wydaleni z Wielkiej Brytanii, ponieważ w rzeczywistości pracowali dla wywiadu ChRL. Wykorzystywanie pracy dziennikarskiej jako przykrywki jest od dawna praktyką wywiadowczą i jest metodą preferowaną przez Pekin w działaniach ich wywiadu politycznego i gospodarczego na całym świecie.

W 2022 roku MI5, brytyjski kontrwywiad, ostrzegł parlamentarzystów przed działalnością agentki współpracującej ze Zjednoczonym Frontem, organizacją, która, jak piszą autorzy raportu na temat zagrożeń ze strony Chin francuskiego think tanku – Instytutu Badań Strategicznych Szkoły Wojskowej (IRSEM) – ma „identyfikować i klasyfikować cele i wrogów partii". W tej sprawie chodziło o 58-letnią prawniczkę Christinę Ching Kui Lee, która za pośrednictwem swojej kancelarii prawniczej Christine Lee & Co. aktywnie zakłócała procesy polityczne w parlamencie Zjednoczonego Królestwa i, jak Cash, miała łatwy dostęp do polityków. Lee była m.in. długoletnim darczyńcą na rzecz biura posła Partii Pracy Barry'ego Gardinera. Polityk ten w laburzystowskim gabinecie cieni za czasów poprzedniego lidera partii Jeremy'ego Corbyna był odpowiednikiem ministra handlu międzynarodowego i wspierał projekt powstania elektrowni jądrowej w Hinkley Point, w której chińska firma była inwestorem mniejszościowym. Od 2005 roku Christine Lee przekazała na rzecz Partii Pracy ponad 675 tys. funtów, głównie za pośrednictwem biura Gardinera. Jednym z asystentów Gardinera był syn prawniczki, Daniel Wilkes.

W sierpniu bieżącego roku w rozmowie z Nickiem Ferrari, dziennikarzem radia LBC, sir Iain Duncan Smith stwierdził, że wiarygodne źródła poinformowały go o istnieniu urządzeń śledzących ukrytych w samochodach brytyjskiego rządu. Auta te miały części wyprodukowane w Chinach i tam ukryte były urządzenia pozwalające na szpiegowanie na przykład premiera Wielkiej Brytanii. „Te urządzenia, które instalują [Chińczycy – przyp. red.] w samochodach dla Downing Street, choć się do tego nie przyznają, śledzą, dokąd jedzie premier, wiedzą, z kim się spotyka; to jest dokładnie to, co mogą zrobić z bateriami i swoimi samochodami. […] To daje im możliwość monitorowania rządu przez miesiące i lata, ciągłego rejestrowania ruchów i budowania w ten sposób bogatego obrazu działalności".

Zintensyfikowany atak szpiegowski

To tylko niektóre z wielu działań chińskiego wywiadu na terenie Wielkiej Brytanii. Nic dziwnego, że w listopadzie 2022 roku w corocznej mowie na temat zagrożeń dla Wysp szef MI5 Ken McCallum ostrzegł przed chińskimi próbami wywierania wpływu na polityków i osoby publiczne. „Jeśli są gotowi wykazywać się tak dużą cierpliwości oraz inwestować taką ilość pieniędzy i wysiłku w rozwijanie bardzo dużej liczby potencjalnych agentów w całym naszym systemie, to wydaje mi się to ogromnym i trwałym wyzwaniem" – powiedział McCallum. A posługując się analogią sportową, dodał: „Rosji łatwo przychodzi uderzanie łokciem w twarz i rutynowe oszukiwanie, aby osiągnąć swój cel. Władze chińskie to inny rodzaj wyzwania. Próbują napisać na nowo zasady gry, kupić ligę i zrekrutować nasz sztab trenerski, aby dla nich pracował".

Z określeniem szefa MI5, że Chiny i ich działalność są wyzwaniem, nie do końca zgadza się coraz więcej konserwatywnych polityków brytyjskich. Chcą oni, aby bardziej dobitnie i w sposób bardziej oddający rzeczywistość opisać relacje Londynu z Pekinem. A więc nie mówić o wyzwaniu, lecz o chińskim zagrożeniu dla Wielkiej Brytanii i całego wolnego świata. „Problemem jest bałagan, jaki sami stworzyliśmy w związku z tym, jak definiujemy Chiny w odniesieniu do nas. Czy stanowią zagrożenie, czy nie? Jeśli stanowią zagrożenie, dlaczego nie nazwiemy ich zagrożeniem i nie podejmiemy odpowiednich działań, które są niezbędne, aby na tej podstawie się z nimi uporać i nałożyć sankcje na niektóre osoby?" – mówił w brytyjskim parlamencie sir Iain Duncan Smith już po ujawnieniu afery szpiegowskiej z Chrisem Cash w roli głównej.

Calder Walton, brytyjski ekspert ds. wywiadu i bezpieczeństwa i autor wydanej niedawno książki pt. „Szpiedzy: epicka wojna wywiadowcza między Wschodem a Zachodem" („Spies: The Epic Intelligence War Between East and West"), uważa, że Pekin prowadzi zintensyfikowany „atak szpiegowski na Wielką Brytanię". W przypadku Londynu, i całego Zachodu, chodzi tu o wywiad polityczny i o sieć agentów wpływu, których celem jest kształtowanie zachodniego procesu decyzyjnego.

Poznaj swojego wroga

Jak na razie Londyn jest w stanie wyłapać tylko pojedyncze akty chińskiego szpiegostwa, a to dlatego, że nadal brak zrozumienia wszystkich elementów i skali wojny wywiadowczej prowadzonej przez komunistyczne Chiny.

Walton wskazuje, że służby wywiadowcze na usługach Komunistycznej Partii Chin działają inaczej niż te na Zachodzie. „Chin nie ogranicza niezależny nadzór polityczny lub sądowy ani wolna prasa. Mają strategię wywiadu obejmującą całe społeczeństwo, wykorzystu-

eprasa.pl 506c78f0aa

ją każdą część swojego rządu i społeczeństwa do kradzieży zagranicznych tajemnic, wywierania wpływu na rządy i potencjalnego ich cyfrowego sabotażu. Chińskie służby wywiadowcze atakują zachodnie parlamenty i decydentów, łącząc w tych działaniach ludzką inteligencję i możliwości cybernetyczne" – twierdzi Walton. Działalność szpiegowska chińskiego rządu za granicą prowadzona jest różnymi metodami za pośrednictwem Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego, Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, Zjednoczonego Frontu, Armii Ludowo-Wyzwoleńczej (poprzez Biuro Wywiadu Departamentu Połączonych Sztabów) oraz licznych organizacji frontowych i przedsiębiorstw państwowych. Podstawową strategią tajnych służb ChRL jest utrzymanie KPCh u władzy i uczynienie z Chin wiodącej i samowystarczalnej potęgi militarnej i gospodarczej na świecie. Jak pisze Walton: „Celem jest odwrócenie krajobrazu technologicznego, tak aby inne kraje były zależne od technologii chińskiej, a nie zachodniej". Temu służy m.in. plan prezydenta Chin Xi Jinpinga „Made in China 2025", który usprawiedliwia kradzież od USA i ich sojuszników technologii niezbędnych dla „odrodzenia chińskiego narodu". Jak twierdzi Walton, przez serię drakońskich przepisów dotyczących bezpieczeństwa narodowego przyjętych przez prezydenta Xi Jinpinga, „Chiny łączą handel ze szpiegostwem w jednym celu: zdobyć dla Pekinu jak najwięcej zasobów za pomocą wszelkich niezbędnych środków. Chiny są największym na świecie złodziejem własności intelektualnej, a ich łupy szacuje się ostatnio na 600 mld dolarów rocznie".

Pekin werbuje zachodnich szpiegów na wiele sposobów. Mogą to być w pełni opłacani agenci lub ci, którzy, jak to określa Walton, „zostali oszukani – lub oszukują samych siebie – myśląc, że pracują dla kogoś innego". Podczas pandemii okazało się, że działalność szpiegowska może przenieść się do Internetu, a LinkedIn, międzynarodowy serwis społecznościowy specjalizujący się w kontaktach zawodowo-biznesowych, stał się dla Chin nowym rynkiem rekrutacji zagranicznych agentów. Opublikowany niedawno raport Komisji Wywiadu i Bezpieczeństwa ds. Chin brytyjskiego parlamentu szczegółowo opisał, jak odbywała się rekrutacja wśród brytyjskich urzędników państwowych. Chiński szpieg używał kilku nazwisk. Jednym z najbardziej znanych był Robin Zhang, który oferował urzędnikom korzyści finansowe za uzyskanie poufnych informacji. Za każde przekazanie przez rekruta danych osoby pracującej dla brytyjskich służb wywiadowczych Zhang oferował kwotę do 8 tys. funtów (około 43 tys. zł). Niektóre osoby proszono o dostarczenie raportów, a mając je w ręku, chiński szpieg mógł następnie dalej szantażować urzędnika, zażądać innych bardziej poufnych dokumentów. Często celem było zwabienie ludzi do Chin, a następnie tam skompromitowanie ich i wykorzystanie tego do dalszego wyłudzania informacji.

Jak odeprzeć ofensywę wywiadowczą Chin?

Czy państwa zachodnie, które w różnych swoich strategiach określają Chiny jako wyzwanie, konkurencję, ale często boją się nazwać je zagrożeniem, mogą jeszcze odeprzeć tę chińską ofensywę wywiadowczą? W przypadku Wielkiej Brytanii Calder Walton mówi, że trzeba zacząć poważną dyskusję na temat chińskich studentów i badaczy przebywających na uczelniach w tym kraju. Są oni celem rekrutacji dla chińskich służb wywiadowczych. Zaraz po wybuchu skandalu z Chrisem Cashem zaczęto w tej kwestii podejmować pewne decyzje. Według gazety „Daily Mail" w brytyjskim rządzie zapadła już decyzja, by w brytyjskich szkołach nauczycieli języka chińskiego pochodzących z Chin zastępować tymi z Tajwanu. Pracownik wywiadu powiedział gazecie, że: „Musimy poważnie podejść do zagrożenia, przed którym stoimy ze strony Komunistycznej Partii Chin – jest ono systemowe, szeroko zakrojone i bezlitosne. Tajwan jest naszym sojusznikiem i musimy go wspierać, jak tylko możemy – ich nauczyciele mogą wykonać świetną robotę tutaj, na naszych uniwersytetach i w szkołach. Nie chcemy agentów chińskich służb wywiadowczych w naszym kraju, a już na pewno nie chcemy, aby pracowali w naszym systemie edukacji".

Trzeba także przyznać, uważa Walton, że „skala szpiegostwa [ze strony Chin – przyp. red.] jest zbyt szeroka dla brytyjskich służb wywiadowczych". KPCh próbuje angażować całe społeczeństwo w swoje operacje wywiadowcze i dlatego potrzebna jest „holistyczna strategia", aby temu przeciwdziałać. W sektorze biznesowym prywatne przedsiębiorstwa muszą dokonać oceny ryzyka związanego z prowadzeniem działalności gospodarczej w Chinach lub ze współpracą z chińskimi podmiotami gospodarczymi.

Walton radzi, aby agendy rządowe i przedsiębiorstwa korzystały z usług ekspertów do spraw białego wywiadu w celu przeprowadzenia oceny ryzyka dotyczącego ich pracowników. W ten sposób mogą zostać ujawnione ukryte powiązania między, na przykład, danym pracownikiem a chińskim rządem. I wreszcie, postuluje Walton, trzeba postawić na technologie. Kierujący chińskim wywiadem wykorzystują nowe technologie przeciwko zachodnim rządom, „ale te same technologie sektora prywatnego stanowią również najlepszą obronę Zachodu". ■

eprasa.pl 506c78f0aa



Antoni Rybczyński

Najemnicy, firmy, trolle. Dzielą spadek po Prigożynie

Imperium biznesowe Jewgienija Prigożyna – od Prywatnej Spółki Wojskowej (CzWK) Wagnera, przez firmy cateringowe i wydobywające złoto, po spółki medialne i „fabrykę trolli" – zostało zbudowane w taki sposób, że nie trzeba wiele wysiłku, aby je przenieść pod czyjąś kontrolę lub podzielić między innych ludzi Kremla. Od strony prawnej. Bo są jeszcze nieformalne uwarunkowania – choćby w Afryce. Ale chyba głównym problemem jest to, że do podziału zgłosiło się wielu chętnych. Oligarchowie, wywiad wojskowy, resort obrony, służby cywilne, urzędnicy z administracji prezydenckiej. Co ciekawe, najsmaczniejsze kąski to wcale nie Grupa Wagnera. Choć to wokół niej kręciła się większość interesów Prigożyna.

eprasa.pl 506c78f0aa

Głównym fizycznym aktywem Grupy Wagnera (nie samego biznesmena Jewgienija Prigożyna) w Rosji zawsze były baza i centrum szkolenia najemników z poligonem w pobliżu wsi Mołkino w Kraju Krasnodarskim na południu Rosji. Jak pisała „Nowaja Gazieta", w ciągu ośmiu lat baza CzWK Wagnera przekształciła się w prawdziwy ośrodek także biznesowy. Ale zarówno baza, jak i poligon zostały uroczyście zamknięte natychmiast po czerwcowej rebelii. Wróciły w ręce wojska. Po wagnerowcach pozostał cmentarz. Następnie, w ramach przygotowań do przeniesienia części ludzi na Białoruś, CzWK Wagnera przekazała ministerstwu obrony swój ciężki sprzęt: czołgi, BMP, transportery opancerzone, artylerię, a także amunicję. Na Białoruś trafiły już tylko lekkie pojazdy kołowe i ciężarówki.

Wagner 2.0 czy rozbiór?

Białoruski epizod, który być może będzie można nazwać epilogiem, dobiegł końca, nim na dobre się zaczął. W połowie września na Białorusi pozostawał już tylko niecały tysiąc wagnerowców. Dwustu pełniło funkcję instruktorów w oddziałach specjalnych MSW i ministerstwa obrony Białorusi. Reszta już siedziała na walizkach. Władze Białorusi proponowały umowę z własną firmą najemniczą Gardserwis tym najemnikom Grupy Wagnera, którzy nie chcą podpisać kontraktu z ministerstwem obrony Rosji i walczyć na Ukrainie. Gardserwis utworzono w 2019 roku na mocy specjalnego dekretu Alaksandra Łukaszenki i przygotowywana jest ona głównie do działań przeciwko opozycji na Białorusi.

Pod koniec września pojawiły się też doniesienia, że pewni dowódcy z Grupy Wagnera są w ścisłym kontakcie z Rosgwardią w sprawie porozumienia, które pozwoli byłym najemnikom Prigożyna powrócić na front na Ukrainie jako oddzielna jednostka. Moskwa wciąż boryka się z problemami kadrowymi, a nie chcąc ogłaszać kolejnej mobilizacji, trzeba szukać innych sposobów. Stąd przeproszenie się z wagnerowcami, których wycofano z frontu po czerwcowym buncie. Tyle że wielu z nich nie chce podpisywać kontraktów z regularną armią. Wyjściem więc może być służba w ramach Rosgwardii – pytanie jeszcze, na jakich zasadach? Grupa Wagnera cechowała się pewną elastycznością i zdolnością do wprowadzania czegoś nowego w trakcie operacji bojowych. Co jest całkowicie sprzeczne z kulturą rosyjskiej armii, która od dawna potrzebuje modernizacji. Jeśli wojsko spróbowałoby wprowadzić scentralizowaną strukturę dowodzenia i swoje metody do przejętej formacji wagnerowców, te wspomniane wcześniej zalety najemników po prostu by zniknęły. Być może inaczej byłoby w Rosgwardii. Scenariusz, w którym Grupa Wagnera działa nadal jako samodzielna struktura, tylko z nowym szefem? Opcja jest taka, że Putin wyznaczy kogoś innego na miejsce Prigożyna. W połowie lipca spotkał się z ludźmi Grupy Wagnera na Kremlu, gdzie mógł przyjrzeć się bliżej Andriejowi Troszewowi, człowiekowi z doświadczeniem wojskowym, który wydawał się skłonny dostosować się do życzeń prezydenta. Troszew został zwolniony z Grupy Wagnera pod koniec czerwca z powodu plotek, że komunikował się z Kremlem w sprawie rebelii. Taki Troszew wszedłby w buty Dmitrija Utkina i częściowo Prigożyna (z ostatnich miesięcy). Sama CzWK Wagnera zaś mogłaby być oddana pod zarząd jednego z rosyjskich oligarchów, który ma doświadczenie w zarządzaniu podobnymi strukturami (na przykład Giennadij Timczenko), lub innej mało znanej postaci. Przecież niewiele osób wiedziało o Prigożynie, gdy ten zostawał największym kontrahentem ministerstwa obrony.

Prigożyn miał nie tylko najemników. Był właścicielem różnych firm, w tym mediów i struktur sieci społecznościowych (takich jak „fabryka trolli Olgino"). GRU mogło przejąć niektóre z nich pod swoją kontrolę, ponieważ w przeszłości wywiad wojskowy był również zaangażowany w kampanie dezinformacyjne. Ale pozostałe – poza najemnikami – interesy Prigożyna trudno byłoby przejąć resortowi obrony, wojsku, GRU. Tym bardziej, że Prigożyn i jego otoczenie nawiązali bardzo złożone relacje handlowe z różnymi podmiotami za granicą.

Afryka, złoto, najemnicy

Główne kontrakty i aktywa CzWK Wagnera zawsze znajdowały się w Afryce. Skali tego biznesu w jego oficjalnej części nie można nazwać ogromną – „FT" na początku tego roku szacował, że łączne przychody zagranicznych firm Prigożyna w latach 2018–2021 wyniosły 250 mln dolarów. W Rosji struktury Prigożina zarobiły tyle w ciągu dwóch miesięcy. Ale… Powołując się na swoje rosyjskie źródło, „The New York Times" cytuje Putina z zamkniętego spotkania 27 czerwca. Dyktator miał tam jakoby stwierdzić, że Prigożyn zarobił w Afryce 4 mld dolarów na „złocie i biżuterii". Afrykańscy przywódcy sprzymierzeni z Rosją przyzwyczaili się do kontaktów z Jewgienijem Prigożynem. Podróżował po kontynencie prywatnym odrzutowcem, oferując wsparcie reżimom bronią i pro-

FOT. ANATOLY MALTSEV/PAP/EPA

eprasa.pl 506c78f0aa

pagandą w zamian za złoto i diamenty. Grupa Wagnera miała zawarte umowy o współpracy wojskowej z rządami co najmniej czterech krajów afrykańskich: Republiki Środkowoafrykańskiej, Sudanu, Libii i Mali. CzWK Wagnera działała również w Syrii i wykorzystywała rosyjską powietrzną bazę w syryjskim Chmejmim jako punkt tranzytowy do Afryki. We wszystkich tych krajach firmy Prigożyna otrzymały prawo do zagospodarowania złóż surowców w zamian za swoje usługi wojskowe. Wojna na Ukrainie w niewielkim stopniu zmieniła rozległe interesy spółek Prigożyna w Afryce. Większość najemników tam pozostała, a francuski wywiad oszacował ich liczbę na około 4000. Według „The Wall Street Journal" to około 5000 ludzi.

Republika Środkowoafrykańska była głównym bastionem struktur Prigożyna w Afryce. Ich głównym aktywem w tym bogatym w minerały kraju jest kopalnia złota Ndassima. Rosja zachowa kontrolę nad tym aktywem (jest to rozwijane przez podlegającą sankcjom spółkę Midas Resources) niezależnie od losu CzWK Wagnera. Złoże może przynieść do 1 mld dolarów przychodów rocznie. Drugim najważniejszym środkowoafrykańskim biznesem Prigożyna były kopalnie diamentów, rozwijane przez spółkę Lobaye Invest. Sudan to z kolei kluczowy kraj tranzytowy, bez którego ciężko byłoby działać w położonej w głębi kontynentu Republice Środkowoafrykańskiej. Struktury Prigożyna pojawiły się Port Sudan nad Morzem Czerwonym w 2016 roku i wykorzystują go jako centrum logistyczne. Stąd idą dostawy dla wagnerowców w RŚA, a w drugą stronę (drogą morską do Rosji) złoto i diamenty. Zresztą sam Sudan jest trzecim producentem złota w Afryce. Prawa do części kopalni dostała spółka Prigożyna Meroe Gold. Struktury Wagnera były w stanie utrzymać wpływy w Sudanie nawet po zamachu stanu w 2019 roku, w którym wojsko i paramilitarna formacja RSF obaliły dyktatora Omara al-Baszira. Pod rządami al-Baszira firmy powiązane z Prigożynem otrzymały prawo do zagospodarowania największych złóż złota w kraju w zamian za broń i pomoc wojskową; układ ten przetrwał pod rządami nowego reżimu. Sytuacja skomplikowała się dopiero po wybuchu wojny domowej w Sudanie między dotychczasowymi wspólnikami w juncie. Wagnerowcy wsparli po cichu RSF, ale z wojskiem też Moskwa utrzymuje dobre relacje. Podobną politykę Rosja prowadzi od lat w Libii. Podczas wojny domowej w tym kraju Wagner od 2018 roku pomagał siłom generała Chalify Haftara, które kontrolują większość kraju, w przejmowaniu i utrzymywaniu roponośnych prowincji. Jednocześnie Moskwa utrzymuje dobre relacje z konkurencyjnym ośrodkiem władzy, legalnym rządem w Trypolisie. Libia to też kluczowy punkt powietrznego tranzytu wagnerowców między innymi krajami afrykańskimi a Syrią i Rosją. Przez Libię trafiała też do Sudanu pomoc wagnerowców dla RSF. Ostatnim afrykańskim krajem, który oficjalnie przyjął wagnerowców, jest Mali. Po dwóch zamachach stanu, dojściu do władzy junty wojskowej i ewakuacji wojsk francuskich, najemnicy mają wspierać armię w walce z islamskimi rebeliantami, którzy opanowali północ kraju. W stolicy Mali, Bamako, znajduje się baza wagnerowców, w kraju jest około tysiąca najemników działających z niezwykłą brutalnością, a firmy Prigożyna eksplorują złoża złota. W ostatnich dniach swojego życia Prigożyn poleciał do Mali, skąd nagrał swoje ostatnie wideo.

Powołując się na swoje rosyjskie źródło, „The New York Times" cytuje Putina z zamkniętego spotkania 27 czerwca. Dyktator miał tam jakoby stwierdzić, że Prigożyn zarobił w Afryce 4 mld dolarów na „złocie i biżuterii".

Sieć Wagnera za granicą, głównie w Afryce, przejdzie pod bezpośrednie zarządzanie ministerstwa obrony, twierdzi Bloomberg. Formalnie pośrednikiem między rosyjskimi i afrykańskimi wojskowymi może stać się trzecia struktura, związana z rosyjskim ministerstwem. Pośrednikiem miałaby być wojskowa spółka związana oficjalnie z ministerstwem obrony. Albo jedna z istniejących, na przykład firma najemnicza Redut, albo specjalnie do tego celu powołana. Następnie resort obrony chce stopniowo wycofać wagnerowców i zastąpić ich innymi najemnikami. W przeddzień śmierci Prigożyna delegacja ministerstwa obrony pod przewodnictwem wiceministra Junus-Beka Jewkurowa,

eprasa.pl 506c78f0aa

którego Prigożyn publicznie upokorzył podczas rebelii, odwiedziła Libię i Syrię. Według dziennikarza Andrieja Zacharowa, który obszernie pisał o Prigożynie, na wytyczne delegacji władze syryjskie zażądały, by Grupa Wagnera opuściła kraj do końca września. W Libii Jewkurow rozmawiał z dowódcą Libijskiej Armii Narodowej gen. Chalifą Haftarem o zawarciu przez jego rząd formalnego porozumienia o współpracy wojskowej z Rosją. Zakładającego m.in. zastąpienie wagnerowców innymi najemnikami rosyjskimi. Nie wiadomo natomiast, jak potoczą się losy spółek Prigożyna, które mają podpisane umowy i otrzymane koncesje od afrykańskich rządów. Zacharow pisał, że po buncie Prigożyn odbył nie jedno spotkanie, lecz co najmniej dwa spotkania z Putinem – i na drugim, mniej publicznym, prezydent obiecał pozostawić wagnerowcom część operacji w Afryce. Ale ministerstwo obrony już pracowało nad przejęciem aktywów swego wroga na Czarnym Lądzie. Podczas swojej ostatniej podróży do Moskwy Prigożyn podobno próbował rozwiązać ten właśnie problem.

Catering i trolle

Dokładnie rozmiar biznesowego imperium „kucharza Putina" ocenić niełatwo, ponieważ cała sieć firm była z nim powiązana nieoficjalnie, a na ich czele stały „słupy". Zarządzać tą siecią miała „jedna z większych platform gotówkowych z darknetu" [darknet – sieć nakładkowa w internecie, do której dostęp można uzyskać tylko za pomocą na przykład określonego oprogramowania – przyp. red.], twierdził rozmówca portalu Bell, który pracował w strukturach medialnych Prigożyna. Głównym talentem Prigożyna w biznesie była umiejętność zdobywania kontraktów rządowych. Żaden inny obszar jego działalności nie jest porównywalny pod względem skali. Władimir Putin natychmiast po buncie czerwcowym powiedział, że tylko od maja 2022 do maja 2023 roku CzWK Wagnera otrzymała 86,2 mld rubli na utrzymanie i płatności motywacyjne, kolejne 110,1 mld rubli jako płatności ubezpieczeniowe, kontrakty na catering dla wojska wyniosły kolejne 80 mld rubli. A następnie Dmitrij Kisieliow w telewizji Rossija 1 podał oszałamiającą liczbę prawie 2 bln rubli, które CzWK Wagnera i główny aktyw biznesowy Prigożyna, czyli holding Konkord, otrzymały z budżetu państwa przez cały okres swojej działalności. „Nie oznacza to, że zarobili tak dużo, ale nadal mówi o skali biznesu" – mówił czołowy kremlowski propagandysta.

Głównym źródłem dochodów Prigożyna były państwowe kontrakty na dostawy żywności dla armii i państwowych instytucji społecznych. Portal Bell szacuje, że w Rosji istnieją co najmniej 184 firmy i spółki jednoosobowe utworzone w jego interesie, a co najmniej 123 osoby pracowały dla niego jako założyciele i dyrektorzy generalni. Większość kontraktów dotyczyła około trzech tuzinów podmiotów prawnych o łącznych przychodach około 150 mld rubli rocznie. Oficjalnie zatrudniały one setki, a częściej tysiące osób. Zyski spółek powiązanych z Prigożynem, a świadczących usługi armii Rosji, wyniosły w 2022 roku ponad 50 mln dolarów. Rosyjską armię w żywność zaopatrują 32 firmy – kontrahenci państwowej spółki Wojentorg. Aż 18 z 32 powiązanych było z Prigożynem. Dziennikarze portalu Wiorstka ustalili, że w 2022 roku przypadło na nie 89 proc. zysków wszystkich kontrahentów związanych z armią. Co ciekawe, nieudany czerwcowy bunt Prigożyna oraz jego śmierć w katastrofie lotniczej, do której doszło 23 sierpnia, nie spowodowały zerwania umów. Od 23 czerwca firmy powiązane z Prigożynem otrzymały zamówienia państwowe na dostawy żywności i cateringu od agencji rządowych o wartości co najmniej 3,6 mld rubli. Ale już w lipcu, jak pisał portal Fontanka, kontrakty Prigożyna „zaczęły przechodzić w inne ręce".

Podobnie jak w przypadku sieci firm stworzonej w celu szerokiego zdobywania kontraktów państwowych, Prigożyn nie sformalizował też kontroli swoich aktywów medialnych i słynnej „fabryki trolli". Po czerwcowym buncie praca trolli została na jakiś czas sparaliżowana. Organy ścigania zajęły sprzęt ze wszystkich biur w Petersburgu. Pracownicy fabryki trolli i licznych mediów Prigożyna, które były zjednoczone w holdingu Patriot, spodziewali się rychłej zmiany właściciela, uważając Jurija Kowalczuka za najbardziej prawdopodobnego kandydata. Ostatecznie jednak Prigożyn zdecydował się pójść drogą samolikwidacji swojego imperium. Niecały tydzień po buncie zorganizował spotkanie z kierownictwem Patriota, na którym poinstruował podwładnych, aby „położyli wszystko pod nóż". Media zaczęły jedno po drugim ogłaszać zamknięcie. Ale praca „fabryki trolli" trwała nadal, choćby dlatego, że jest finansowana do końca 2023 roku na podstawie umowy z administracją kremlowską. Co będzie dalej? W przeciwieństwie do mediów, Kreml jest bardzo zainteresowany jej utrzymaniem. Wielu bowiem próbowało powtórzyć sukces Olgino, od prokremlowskich agencji PR po służbę prasową ministerstwa obrony, ale nikomu nie udało się stworzyć tak dobrze naoliwionego mechanizmu dezinformacji i propagandy jak Prigożynowi. ■

eprasa.pl 506c78f0aa

Hanna Shen



Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim i wokół niego? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

Chiny–Tajwan

Pekin przedstawił 21-punktowy plan integracji gospodarczej z Tajwanem. Obejmuje on stworzenie „strefy pokazowej" w chińskiej prowincji Fujian, która ma pełnić funkcję pomostu pomiędzy ChRL i Tajwanem oraz przyciągać tajwańskie inwestycje oraz Tajwańczyków. Fujian nie został wybrany przypadkowo. To głównie do tej południowo-wschodniej prowincji ChRL wybierają się Tajwańczycy i firmy poszukujący możliwości inwestycyjnych i zarobkowych w Państwie Środka.

Zgodnie z planem integracyjnym mieszkańcy Tajwanu będą traktowani jak mieszkańcy ChRL, bez konieczności „rejestracji pobytu tymczasowego", wymaganej zwykle od cudzoziemców; zamiast tego otrzymaliby odrębne „pozwolenie na pobyt". Oferowane będą także możliwości do zakupu nieruchomości i studiowania w Chinach, dotyczące m.in. usług społecznych, takich jak opieka medyczna, a także obniżki podatków i utworzenie strefy wolnego handlu.

Pomimo nacisku na gospodarkę 21-punktowy plan jest narzędziem politycznym skierowanym do Tajwańczyków (zwłaszcza środowisk biznesowych) w celu wzmocnienia istniejących podziałów przed styczniowymi wyborami prezydenckimi i parlamentarnymi na Tajwanie.

Rządząca Tajwanem Demokratyczna Partia Postępu (DPP), która skłania się ku formalnej niepodległości wyspy, jest nie do zaakceptowania dla chińskiego rządu. Faworyta wyborów prezydenckich, obecnego wiceprezydenta Williama Lai, Pekin określa jako separatystę. Chiny odmawiają rozmów z rządzącą od 2016 roku partią Lai'a, DPP i faworyzują kandydatów opozycji, którzy opowiadają się za pogłębioną współpracą z kontynentem.

Jest też inny ważny aspekt nowego projektu Pekinu: punkt dziesiąty planu mówi o większej integracji technologicznej. „Będziemy zachęcać przedsiębiorstwa i instytucje naukowo-badawcze zarówno z Fujianu, jak i Tajwanu do wspólnego tworzenia platform badań i rozwoju wspólnych technologii oraz promowania cyfryzacji i zastosowania inteligentnych technologii dla tajwańskich przedsiębiorstw w Fujian" – czytamy w dokumencie. Oznacza to, że Pekin chce stworzyć szarą strefę pomiędzy ChRL a Tajwanem, aby mógł wykorzystać współpracę do dogonienia wyspy technologicznie, a tym samym do zmniejszenia jej przewagi strategicznej.

Prowincja Fujian jest już objęta kilkoma projektami finansowanymi w ramach planu prezydenta Chin Xi Jinpinga „Made in China 2025", który ma na celu zapewnienie ChRL dominującej pozycji w światowej produkcji zaawansowanych technologii. Do 2020 roku władze przekazały chińskim prowincjom ponad 41 mld dolarów na rozwój m.in. półprzewodników, z czego ponad 6 mld trafiło do prowincji Fujian, czyli tyle samo co do Szanghaju, a więcej niż do jakiejkolwiek innej prowincji.

Gdyby strefa integracji w Fujian stała się rzeczywistością, zapewniłoby to Pekinowi kontrolę procesu transferu technologii, usuwając znaczną część istniejącej luki rozwojowej pomiędzy Tajwanem a Chinami. Cały proces szacowany jest na 10 lat.

Władze Tajwanu odrzuciły 21-punktowy plan Chin i określiły go jako próbę przejęcia wyspy i podporządkowania jej ludności i przedsiębiorstw Komunistycznej Partii Chin.

Japonia

Jak wynika z opublikowanych we wrześniu danych rządu Japonii, osoby w wieku 80 lat i więcej po raz pierwszy stanowią więcej niż 10 proc. populacji Japonii wynoszącej

eprasa.pl 506c78f0aa

około 124,6 mln osób. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Komunikacji podało, że liczba osób w tym przedziale wiekowym wzrosła o 270 tys. w porównaniu z rokiem poprzednim. Kraj Kwitnącej Wiśni jest państwem o najwyższym na świecie odsetku osób starszych i cały czas zmaga się z problemem szybko starzejącego się społeczeństwa. Według innych danych osoby w wieku 65 lat i starsze to 36,23 mln, czyli 29,1 proc. całkowitej populacji.

W 2022 roku 25,2 proc. osób starszych w Japonii pracowało, a liczba ta wzrosła dziewiętnasty rok z rzędu do 9,12 mln, co stanowi kolejny rekord. Osoby starsze stanowią 13,6 proc. całkowitej siły roboczej w kraju. Rząd japoński twierdzi, że dołoży wszelkich starań, aby spadek liczby ludności nie zaszkodził gospodarce, a jednocześnie będzie odpowiadać na pilne i rosnące potrzeby osób starszych, z których wiele żyje samotnie i potrzebuje wsparcia.

Według naukowców populacja Japonii osiągnęła szczyt w 2017 roku, kiedy Kraj Kwitnącej Wiśni zamieszkiwało 128 mln Japończyków i od tego czasu jej liczba systematycznie spada. Pod koniec XXI wieku ma ona osiągnąć poziom niecałych 53 mln mieszkańców.

Chiny–Rosja–Korea Północna

Delegacje polityków z Rosji i Chin spotkały się w lipcu z przywódcą Korei Północnej Kim Dzong Unem podczas parady z okazji 70. rocznicy zakończenia wojny koreańskiej. W połowie września Kim udał do Władywostoku z wizytą u prezydenta Rosji Władimira Putina.

RAND Corporation, amerykański think tank i instytut badawczy, zwraca uwagę na rozwijające się „trójstronne partnerstwo imperialistyczne" pomiędzy Chinami, Rosją i Koreą Płn. Bruce W. Bennett, analityk RAND zajmujący się kwestiami obronności, twierdzi, że taki sojusz stwarza co najmniej cztery zagrożenia. Po pierwsze, znaczna pomoc militarna Pjongjangu i Pekinu dla Moskwy przedłuży wojnę na Ukrainie i zwiększy wyrządzone szkody oraz podniesie koszty wojny. Będzie to także oznaczać, że Zachód w większym stopniu wyczerpie swój sprzęt i zapasy wojskowe. Po drugie, działania Chin i Korei Płn. mogą nie ograniczać się tylko do wysyłania sprzętu wojskowego, lecz także prawdopodobne jest wysłanie personelu wojskowego i ekspertów technicznych. „Takie postępowanie przekształci Ukrainę w laboratorium Rosji, Chin i Korei Północnej, w którym będą badać i udoskonalać różnego rodzaje broń i taktyki w rzeczywistych działaniach wojennych" – pisze Bennett. Po trzecie, skoro wszyscy trzej członkowie tego trójstronnego imperialistycznego partnerstwa dążą do kontrolowania terytoriów poza swoimi obecnymi granicami, mogą w pewnym momencie zdecydować się na jednoczesne rozpoczęcie wojen. „Atakując w tym samym czasie, wywarliby maksymalną presję na siły zbrojne swoich przeciwników, podobnie jak państwa Osi na początku II wojny światowej". Po czwarte, Chiny, Rosja i Korea Płn. posiadają broń nuklearną, a więc każda większa wojna, którą rozpoczną, wiąże się ze znacznym prawdopodobieństwem użycia tej broni.

Odnosząc się do artykułu Benneta, Kyle Bass, analityk finansowy kierujący Hayman Capital Management i członek zarządu China Center w amerykańskim konserwatywnym think tanku Hudson Institute, napisał na Twitterze, że posiada informacje z wiarygodnego źródła wywiadowczego o tym, że „Rosja zamierza dobić targu z żołnierzami z Chin i Korei Płn., aby walczyli na Ukrainie za żywność".

Bennett stwierdza, że nie będzie łatwo przeciwdziałać rozwijającemu się partnerstwu na linii Rosja–Chiny–Korea Północna. „W końcu ataki wojskowe na północnokoreańskie i chińskie dostawy wojskowe w drodze do Rosji mogą eskalować tę i tak już bardzo poważną wojnę" – pisze analityk RAND, ale wskazuje, jakie kroki powinien podjąć Zachód w odpowiedzi na ten sojusz. Po pierwsze, wymagana jest większa współpraca USA i ich sojuszników w celu „lepszego zrozumienia przyszłych działań wojennych, w tym związanej z nimi ogromnej ilości niewiadomych". Po drugie, Stany Zjednoczone muszą w dalszym ciągu rozwijać nowe zdolności wojskowe, które pozwolą im stawić czoło Rosji, Chinom i Korei Płn. Chodzi tu zarówno o wykorzystanie zaawansowanej technologii, jak i „rozwój strategii, taktyk i sztuk operacyjnych niezbędnych do poradzenia sobie z potencjalnymi zagrożeniami". Dodatkowo, Waszyngton powinien określić, jakie siły zbrojne i środki wymagane są do stawienia czoła wszelkim działaniom wojennym rozpoczętym przez partnerstwo Rosji, Chin i Korei Płn. i zacząć realizować te wymagania. „Ukraina przekonała się, że choć przed wojną trudno jest sobie pozwolić na odpowiedni budżet obronny, to koszt niedoszacowanego budżetu obronnego może być znacznie wyższy, jeśli nie zniechęci się przeciwnika do rozpoczęcia wojny" – pisze Bennett.

Poza tym amerykański analityk zwraca uwagę, że choć Rosja, Chiny i Korea Północna wydają się być naturalnymi sojusznikami, to w ich stosunkach istnieją tarcia, które należy wykorzystać. „Na przykład Chiny opublikowały niedawno mapę obejmującą część terytorium Rosji jako część Chin. Mocarstwa zachodnie powinny skupić na tej kwestii uwagę świata i regularnie zwracać się do Chin o wyjaśnienia. Albo Rosja może odkryć, że Korea Północna chce więcej w zamian za swoje pociski artyleryjskie, niż Rosja jest skłonna zapewnić. Jeśli po negocjacjach północnokoreańskie dostawy okażą się złej jakości lub jeśli jakakolwiek technologia dostarczona Korei Północnej przez Rosję nie zadziała, to stworzy to dalsze możliwości operacji informacyjnych" – stwierdza Bennett. ■

eprasa.pl 506c78f0aa

OPRACOWAŁ
Antoni Rybczyński

Czasem zapomina się, że Rosja jest państwem wielonarodowym, wielowyznaniowym i federacyjnym. Spuścizna stuleci podbojów, a zarazem – od czasu do czasu – skutki tej polityki bywają koszmarnym snem dla władców Kremla. Strach przed separatyzmem, secesją czy po prostu potężnym buntem przeciwko rządzącym Rosjanom pojawia się zwłaszcza w chwilach kryzysu moskiewskiego państwa. I budzi brutalną reakcję Kremla, wystarczy wspomnieć, co z Tatarami krymskimi czy Czeczenami uczynił Stalin w czasie II wojny światowej. Dziś koszmar wraca. Reżim boi się też już nie tylko kaukaskich separatyzmów.

ZIELONY, NIEBIESKI, KARMAZYNOWY. TRZY UKRAIŃSKIE „KLINY” NIEPOKOJĄ KREML

eprasa.pl 506c78f0aa



FOT. ADOBE STOCK

Cztery miesiące po przystąpieniu Finlandii do NATO Nikołaj Patruszew, sekretarz rosyjskiej Rady Bezpieczeństwa i najbliższy powiernik prezydenta Władimira Putina w kwestiach bezpieczeństwa, ogłosił, że Zachód i Ukraina rozpoczęły szeroko zakrojoną kampanię destabilizacji… Karelii poprzez podsycanie nastrojów secesjonistycznych. Patruszew 31 lipca oświadczył, nie przedstawiając dowodów, że chodzi o próby przeprowadzenia ataków terrorystycznych w Karelii, z których wszystkie zostały udaremnione przez rosyjskie służby bezpieczeństwa. Co więcej, rzekomo Zachód i Finlandia starają się zmobilizować młodych ludzi przeciwko Rosji, organizując Batalion Karelski do walki o niepodległość republiki.

„Z jednej strony słowa Patruszewa służą jemu samemu, ponieważ odzwierciedlają jego pogląd, podzielany przez Putina, że Rosja jest otoczona przez wrogów i że tylko agencje bezpieczeństwa mogą dać nadzieję na obronę kraju przed Anglosasami. Co więcej, uzasadniają one dalszą ekspansję FSB, którą Patruszew kierował przez osiem lat przed objęciem obecnego stanowiska. W końcu, jeśli jesteś młotkiem, wszystko wygląda jak gwóźdź, a sekretarz Rady Bezpieczeństwa wygłosił podobne przemówienia na temat sytuacji w innych regionach przygranicznych Federacji Rosyjskiej" – zauważa Paul Goble w swojej analizie pt. „Patruszew mówi, że Zachód organizuje spiski terrorystyczne w Karelii dla promocji separatyzmu" (Eurasia Daily Monitor, 10 sierpnia 2023).

„Zielony klin"

Taki „inny region" Patruszew wskazał na początku roku. Ogłosił, że ukraiński aktywizm staje się zagrożeniem na rosyjskim Dalekim Wschodzie – a dokładniej w jego części, do której pod koniec caratu napłynęły tysiące Ukraińców z zachodniej części imperium i który Ukraińcy nazywają dziś „zielonym klinem". W wywiadzie dla gazety „Argumenty i Fakty" z 11 stycznia bieżącego roku po raz pierwszy od dziesięcioleci wysoki rangą urzędnik rosyjski odniósł się do ludności ukraińskiej na Dalekim Wschodzie, co wskazuje na niepokój Kremla. Patruszew powiedział, że „w południowych częściach Dalekiego Wschodu, biorąc pod uwagę duży udział tych, którzy przesiedlili się tam już w czasach Stołypina, znaczna liczba mieszkańców uważa kulturę narodu ukraińskiego za swoją rodzimą".

Co więcej, swego czasu ukraińscy mieszkańcy „zielonego klina" próbowali nawet zbudować własne niepodległe państwo. Pisze o tym Marina Aronowa w artykule pt. „Moglibyśmy żyć we własnym kraju »zielonego klina«. Jak Ukraińcy z Dalekiego Wschodu próbowali stworzyć niezależne państwo" (Sibreal.org, 7 czerwca 2023). „Masowa migracja Ukraińców na Daleki Wschód rozpoczęła się w ostatnim ćwierćwieczu XIX wieku. Minęło ponad sto lat od czasu, gdy ogromne terytoria na lewym brzegu Amuru

eprasa.pl 506c78f0aa

przeszły z Chin do Rosji zgodnie z traktatem z Aigun, ale nie można było ich nazwać gospodarczo prosperującymi lub przynajmniej po prostu rozwiniętymi. Rosjanie z europejskiej części imperium nie spieszyli się z przeprowadzką na odległe nowe ziemie, a brak ludności był głównym hamulcem ich rozwoju. Dlatego w 1882 roku postanowiono zorganizować przerzut chłopów drogą morską na koszt państwa w celu szybkiego zasiedlenia regionu Południowego Ussuryjskiego. Podróżowali oni z portu w Odessie, co w dużej mierze przesądziło o regionach exodusu – przede wszystkim stały się nimi obwody czernihowski, połtawski i charkowski. Ukraińcy, zazwyczaj chłopi, opuścili swoją ojczyznę z powodu głodu ziemi. Najbardziej przyciągało ich południe Dalekiego Wschodu ze swoim korzystnym klimatem i żyzną ziemią, gdzie w początkowym okresie przesiedlenia każdej rodzinie przydzielano bezpłatnie 100 dziesiatyn [czyli 100 ha – A.R.]".

Pierwsze parowce z ukraińskimi chłopami przybiły do portu we Władywostoku w kwietniu 1883 roku. „Do 1891 roku udział rdzennych mieszkańców ukraińskich prowincji wynosił 89,2 procent całkowitej liczby imigrantów na południe Dalekiego Wschodu. W rezultacie na początku XX wieku Ukraińcy stali się drugą co do wielkości grupą etniczną nie tylko w regionie Primorskim, lecz także na całej Syberii i Dalekim Wschodzie, ustępując jedynie Rosjanom. Transporty morskie chłopów na Daleki Wschód ustały w 1902 roku. Ale początek regularnego ruchu wzdłuż Kolei Transsyberyjskiej dał nowy impuls do przesiedleń. Ogółem, od 1883 do 1917 roku, spośród 266 281 imigrantów do regionu Primorskiego, 179 753 pochodziło z Ukrainy – czyli 67,5%. Daleki Wschód stał się najgęściej zaludnionym regionem przez Ukraińców poza ich historyczną ojczyzną."

„Początkowo »zielony klin« obejmował południową część Primorja i Kraju Ussuryjskiego. Jednak stopniowo osadnicy przemieszczali się na północny zachód wzdłuż granicy z Chinami wzdłuż rzek Ussuri i Amur oraz na północ wzdłuż wybrzeża Morza Japońskiego i Morza Ochockiego. W ten sposób »zielony klin« objął większość Kraju Chabarowskiego i Obwodu Amurskiego, a jego łączna powierzchnia przekroczyła milion kilometrów kwadratowych. Na północy sięgał aż do Jakucji. Do 1917 roku liczba mieszkańców »zielonego klina« przekroczyła 1,5 miliona osób, a większość z nich stanowili Ukraińcy. Według spisu ludności z 1917 r., w Obwodzie Amurskim rdzenni Ukraińcy stanowili 43,2 procent mieszkańców, w regionie Primorskim – 48,2 procent".

Nic dziwnego, że gdy upadł carat, zaczęli wysuwać postulat autonomii. Zabrzmiał on głośno w czerwcu 1917 roku, gdy zwołano w obecnym Ussuryjsku I Wszechukraiński Zjazd Dalekiego Wschodu. Tyle że niedługo potem upadł rząd tymczasowy Rosji. Na drugim zjeździe (styczeń 1918 roku) w Chabarowsku wybrano delegatów, którzy udali się do Kijowa. Mieszkańcy „zielonego klina" chcieli być częścią niepodległej Ukraińskiej Republiki Ludowej. Tyle że rodacy znad Dniepru nie byli w stanie pomóc, bo sami zaczęli mieć poważne kłopoty. Rządzący w Kijowie zmieniali się jak w kalejdoskopie, a przez Ukrainę przetaczały się oddziały niemieckie, polskie, bolszewickie, „zieloni" itd. W tej sytuacji, w kwietniu 1918 roku III Wszechukraiński Zjazd Dalekiego Wschodu przyjął postanowienie o powołaniu na terytorium „zielonego klina" własnego niepodległego państwa. Padły propozycje nazwy: Zielona Ukraina lub Nowa Ukraina. Dalekowschodni Ukraińcy zdążyli jeszcze zwołać IV Zjazd (październik 1918 roku), wybrać władze (Sekretariat z Jurijem Hłuszko-Mową na czele), sformować własne oddziały i opracować projekt konstytucji. Los niepodległego „zielona klina" był jednak z góry przesądzony, podobnie jak innych państwowych projektów na Syberii (choćby teokratycznego w Buriacji), bo niezależnie, kto by wygrał rosyjską wojnę domową, był wrogiem. Zarówno „biali", jak i „czerwoni" nie zamierzali tolerować ukraińskiego państwa. Początkowo jednak Ukraińcy wspierali rząd admirała Kołczaka, wysłali nawet na jego żądanie na front walki z bolszewikami pierwszą sformowaną dywizję. Gdy jednak latem 1919 roku zawiązali spisek i zamierzali wystąpić wspólnie z Czeskim Legionem przeciwko Kołczakowi, ten wyprzedził ich ruch. Liderów „zielonego klina" aresztowano, z Hłuszko-Mową na czele. Ostateczny cios niepodległościowym aspiracjom Ukraińców zadali bolszewicy. Gdy w październiku 1922 roku Czerwona Armia wkroczyła do Władywostoku, w pierwszej kolejności aresztowano nie „białych" oficerów, lecz około 200 Ukraińców, od działaczy po nauczycieli. Wszystkie ukraińskie organizacje rozwiązano, a ich majątek skonfiskowano. To był początek rusyfikacji, która przyspieszyła po 1927 roku.

„W ciągu ostatnich stu lat, według oficjalnych danych, liczba Ukraińców na rosyjskim Dalekim Wschodzie zmniejszyła się ponad 10-krotnie. Tak więc, jeśli w obwodzie Władywostoku w 1926 roku było 32,6 procent Ukraińców, to w Kraju Nadmorskim w 2010 roku podczas spisu powszechnego tylko 2,76 procent mieszkańców nazywało siebie Ukraińcami. W obwodzie chabarowskim w 1926 roku było 28,1 procent Ukraińców, a do 2010 roku pozostało tylko 2,08 procent. Sytuacja jest podobna we wszystkich regionach Dalekiego Wschodu. Badając przyczyny tak gwałtownego spadku, eksperci doszli do wniosku, że głównym powodem jest to, że mieszkańcy Dalekiego Wschodu pochodzenia ukraińskiego nazywają siebie Rosjanami" (Marina Aronowa, „Moglibyśmy żyć we własnym kraju »zielonego klina«. Jak Ukraińcy z Dalekiego Wschodu próbowali stworzyć niezależne państwo", Sibreal.org, 7 czerwca 2023).

▶ „Karmazynowy klin"

„Niewiele osób na Zachodzie, a nawet w Moskwie, wie o tych społecznościach. Ale dla Ukraińców są one kluczo-

eprasa.pl 506c78f0aa

wymi placówkami ukraińskiej cywilizacji" – przypomina wspomniany już wcześniej Paul Goble w analizie pt. „Kreml zaniepokojony o ukraińskie »kliny« wewnątrz Rosji" (Eurasia Daily Monitor, 18 stycznia 2023). Ten znakomity znawca tematyki etnicznej i wyznaniowej w Federacji Rosyjskiej pisze tak: „Od dawna nazywają je »klinami«, przy czym ten na Dalekim Wschodzie między Władywostokiem, Wostokiem i Chabarowskiem jest klinem »zielonym«, a inne, takie jak te wzdłuż granicy rosyjsko-kazachstańskiej i na Kubaniu, są odpowiednio klinem »niebieskim« i »karmazynowym«".

Kubań to historyczny region obejmujący Kraj Krasnodarski i część Kraju Stawropolskiego, położony między Ukrainą a nierosyjskimi republikami Północnego Kaukazu. „Historia Kubania jest skomplikowana, odzwierciedlając zarówno ogólne trendy w historii Rosji, jak i specyficzne cechy regionu. Przed rewolucją bolszewicką rząd nie sprzeciwiał się republikom narodowym i towarzyszącej im samoidentyfikacji etnicznej, a po 1917 roku, kiedy ustanowiono granice republik, były one często przesuwane, aby zaspokoić potrzeby państwa sowieckiego, a nie pragnienia lub cechy ludności. Oznacza to, że ani Rosyjska Federacyjna Socjalistyczna Republika Sowiecka (RFSRS), ani Ukraińska Socjalistyczna Republika Sowiecka nie istniały, a tożsamości etniczne konkurowały z innymi identyfikacjami, w tym z warstwami społecznymi, takimi jak te, które władze rosyjskie zawsze przypisywały Kozakom. Kubań nie był zatem częścią ani Rosji, ani Ukrainy i stał się częścią RFSRS dopiero w 1924 roku, po okresie nieokreślonego statusu, podczas którego część jego mieszkańców dążyła do niepodległości, a inni do zjednoczenia z Ukrainą" („The Kuban: A Real »Wedge« Between Russia and Ukraine", Eurasia Daily Monitor, Volume: 20 Issue: 14, January 24, 2023). Jeszcze w 1926 roku ponad 60 proc. populacji Kubania stanowili etniczni Ukraińcy. Polityka Stalina, w tym Wielki Głód, sprawiła, że odsetek spadł w 1939 roku do mniej niż 5 proc. Ale ukraiński pozostawał na Kubaniu językiem urzędowym do 1932 roku.

Jak pisze Paul Goble, w czasach sowieckich wszelkie publiczne dyskusje na temat ukraińskich „klinów" były zabronione. Ale wraz z głasnostią i ponownym pojawieniem się państwa ukraińskiego, kwestia ta stawała się coraz bardziej gorąca. Kijowscy komentatorzy i politycy częściej mówili o potrzebie wspierania przez Ukrainę „klinów", w tym tego na Kubaniu. Rosjanie, z prezydentem Władimirem Putinem na czele, odpowiadali, że Ukraińcy nie mają do tego prawa, ponieważ teraz i na zawsze są to tereny rosyjskie. „Od 2014 roku do rozszerzonej inwazji Putina na Ukrainę w lutym 2022 roku, kwestia ta nadal rosła, a coraz więcej Ukraińców popierało włączenie regionu do Ukrainy; coraz więcej mieszkańców Kubania popierało ten pomysł lub nawet całkowitą niepodległość; i coraz więcej Rosjan wyrażało oburzenie z powodu obu możliwości. Sytuacja nabrała nowego znaczenia w 2020 roku, kiedy to grupa deputowanych Rady Najwyższej utworzyła grupę wzywającą do powrotu Kubania na Ukrainę pod hasłem Kubań jest Ukrainą".

Ukraiński strach Kremla

Moskwa długo i ciężko pracowała nad powolnym zniszczeniem ukraińskich społeczności w trzech wspomnianych „klinach", z mieszanym sukcesem. Jednak dopóki ukraiński rząd nie zaczął podnosić tej kwestii po 2014 roku, niewielu zwracało uwagę na to, co robi Moskwa i jak reagują na to Ukraińcy tam lub w Kijowie. Goble wskazuje na trzy zjawiska z ostatnich lat, które sprawiły, że Kreml zaczął się znów przejmować ukraińskimi „klinami" w Federacji Rosyjskiej. Szczególnie tym dalekowschodnim. Po pierwsze, w Moskwie wielu postrzegało potężny i długotrwały opór wobec władz centralnych w Chabarowsku jako odzwierciedlenie ukraińskiego pochodzenia ludności tej dalekowschodniej republiki. Po drugie, ukraiński rząd coraz częściej zwraca uwagę na te obszary, co rozwścieczyło Rosję, która rości sobie prawo do interwencji w imieniu etnicznych Rosjan za granicą, ale jest oburzona, gdy ktokolwiek inny robi to samo w odniesieniu do innych grup etnicznych w Rosji. „Dlatego każda wzmianka o »zielonym klinie« uruchamia dzwonki alarmowe w państwie rosyjskim, które jest podejrzliwe wobec wszystkiego, co mówią inne kraje". Wreszcie, po trzecie, Ukraińcy w Kijowie zaczęli mówić o innych „klinach" wewnątrz Federacji Rosyjskiej, co może zaczynać brzmieć tak, że Moskwa stoi w obliczu ukraińskich zagrożeń w znacznie większej liczbie miejsc niż tylko na odległym Dalekim Wschodzie. „W latach 90. w Kijowie prowadzono dyskusje na temat tych »klinów«, ale w pierwszej dekadzie XXI wieku dyskusje te przycichły. Agresja Rosji przeciwko Ukrainie spowodowała jej odrodzenie" – pisze Goble.

Jak czytamy, wspominając Ukraińców na rosyjskim Dalekim Wschodzie i „zielony klin", Patruszew podniósł tę sprawę na nowy poziom, sygnalizując, że Kreml obawia się nie tylko Ukraińców jako takich, lecz także ludzi z ukraińskimi korzeniami, którzy przyjęli obywatelstwo rosyjskie, ale zachowali ukraińską tożsamość. „Wszystko to prawdopodobnie przygotowuje grunt pod nową kampanię Moskwy przeciwko Ukraińcom wewnątrz Federacji Rosyjskiej, a zwłaszcza tym związanym z »klinami«. To, czy taka kampania się powiedzie, jest jednak kwestią otwartą. Użycie siły, które jest najbardziej prawdopodobnym wyborem Kremla, może być jak próba ugaszenia płonącego tłuszczu wodą: nie ugasi go, a jedynie doprowadzi do rozprzestrzenienia się, a wysiłki zmierzające do wycięcia jednego lub więcej »klinów« doprowadzą do pojawienia się kolejnych". ■

eprasa.pl 506c78f0aa



Marcin Wolski

Linia Wisły

Określenie „strusia polityka", czyli w momencie zagrożenia chowanie głowy w piasek, najmniej trafne jest wobec strusi. Spośród zwierząt stosuje ją tylko człowiek. Pozostałe – uciekają albo walczą. I to mimo dysproporcji sił. Na afrykańskiej sawannie widziałem na własne oczy antylopę, która uciekła przed szybszym od niej gepardem. Była zwinna i stosowała błyskawiczne zwody, aż drapieżnik się zmęczył. A w moim ogródku całkiem niedawno jeż wygrał z rottweilerem. Schwytany w paszczę potężnego potwora, naprężył swoje kolce, i jak myślicie, kogo trzeba było ratować? Skunks nie wygra walki z wilkiem, ale jego smród jak najbardziej. W świecie ludzi praktyka taka nazywa się odstraszaniem. Agresor jeśli nie jest idiotą, prowadzi bilans zysków i strat. Bywa, że się cofnie. Natomiast strategia nastawiona na ustępstwa prowadzi prostą droga do kapitulacji.

W historii nie brak przykładów, że pewne koncepcje wykluczano z góry, uważając je za zbyt straszne. Tak było z przedwrześniową Polską nieposiadającą żadnego wariantu na wypadek wojny na dwa fronty. Podobnie rozumował zapewne rząd Tuska, starający się ugłaskiwać potencjalnego napastnika poprzez demonstrowanie własnej słabości. To, że Putin to imperialny ludobójca, który przy pierwszej okazji spróbuje zbrojnie odbudować ZSRS i podporządkować sobie bliską zagranicę, było jasne dla każdego sąsiada, ale zbyt straszne, aby przygotowywać się do takiej agresji serio. Rozbroić się, zlikwidować jednostki wojenne i w najgorszym razie okopać się na przykład na linii Wisły i liczyć na sojuszników, którzy – jak sądzę – najpierw będą dodawać otuchy, potem przygotowywać się, a na koniec rozłożą ręce i zaproponują rokowania. Rząd Polski będzie wtedy na ostatnim skrawku dawnego terytorium w Świnoujściu.

Zastanawiam się, jaki geniusz strategiczny wymyślił linię obrony na Wiśle. Sądzę, że ktoś w sztabie NATO zarządzający geopolityką z perspektywy globusa. Bug, Wisła, Odra – to tylko kreseczki na mapie, a ludzie terytoriów oddanych w pierwszych dniach wojny to statystyka? Cóż, zawsze trzeba brać pod uwagę straty dopuszczalne. Teren w końcu się pewnie odzyska, ludzi też wszystkich nie zabiją, nie zgwałcą, nie wywiozą… Ważne, że wróg nie dojdzie od razu do Odry albo Renu… Idąc po myśli swych zagranicznych protektorów, pomysł inwestowania w obronę uznano za nieopłacalny. Obronę terytorialną wyśmiano, walkę o tarczę przeciwrakietową uznano za machanie szabelką. Wyznam szczerze – więcej wyobraźni miał dyktator Albanii Hodża, budując na każdym kroku bunkry, czy Szwajcarzy gotowi w każdej chwili zmienić swój kraj w niezdobytą twierdzę, w której każdy obywatel będzie żołnierzem.

> Pomyślmy, co by było, gdyby na miejscu Zełenskiego znalazł się ktoś pokroju Tuska? Pewnie by uciekł, a ktoś z jego otoczenia prędko by skapitulował i ukorzył się przed Putinem.

Wojna na Ukrainie wykazała, że obrona każdej piędzi terenu ma głęboki sens. Że nie sprawdziła się wizja szybkich operacji powietrzno-desantowych, a czołgowe blitzkriegi nieudolnych następców Guderiana skończyły się w składnicach złomu. Ukraińcy zdecydowali się na walkę, i to na wielu frontach (a Łukaszenka zawsze może wbić nóż w plecy). Ponoszą ogromne koszty i ofiary, ale pomyślmy, co by było, gdyby na miejscu Zełenskiego znalazł się ktoś pokroju Tuska?Pewnie by uciekł, a ktoś z jego otoczenia prędko by skapitulował i ukorzył się przed Putinem. Infrastruktura pewnie by ocalała, większość ludności niezaangażowanej politycznie pewnie też. Tylko o niepodległość musiałyby walczyć kolejne pokolenia przez dekady, a może stulecia. Z niepewnym skutkiem. ■

eprasa.pl 506c78f0aa



Tomasz Sakiewicz

Niemiecki problem – suwerenna Polska

Zapewne z wielkim rozczarowaniem wielu Polaków przyjęło zachowanie prezydenta Ukrainy Wołodymyra Zełenskiego, który zaczął ostatnio ostro atakować Polskę. Pretekstem jest embargo na wpuszczenie na nasz rynek ukraińskiego zboża. Trzeba wyraźnie podkreślić, że nie chodzi o tranzyt przez Polskę, lecz sprzedaż na terenie naszego kraju produktów rolnych, które nie spełniają unijnych norm. Zresztą normy to tylko jeden z problemów, zasadniczym byłaby całkowita destabilizacja polskiego rynku. To zboże jednak pochodzi z Ukrainy. Stało się to po wizycie szefowej Komisji w Kijowie. Z punktu widzenia Ukrainy samo zniesienie unijnego embarga dokładnie nic by nie dało. Ci, którzy nie chcą tego zboża, i tak go nie wpuszczą.

Zyski Kijów widzi w innych obietnicach ze strony UE, zapewne zupełnie fikcyjnych. Jednak te obietnice to jedynie alibi dla silnego lobby niemieckiego na Ukrainie, by przystąpić do ataku na Polskę.

Niemcy w tej kampanii wyborczej użyli Kijowa jako taniego instrumentu do wzmocnienia ich kandydata, czyli Donalda Tuska, do przejęcia władzy w Warszawie. Tusk gwarantuje Berlinowi powrót do polityki, w której kluczowe polskie decyzje będą zatwierdzane za Odrą. Nie chodzi tylko o Centralny Port Komunikacyjny czy wiek przejścia na emeryturę, lecz także o większość inwestycji infrastrukturalnych. Dotyczy to również liczby żołnierzy i ilości uzbrojenia polskiej armii czy nawet budowy elektrowni atomowych. Te wszystkie projekty zostaną po wyborach zrewidowane, i to w bardzo szybkim tempie. Polska może się rozwijać jedynie jako zaplecze Niemiec. To jednak nie wszystko. Ujawnione przez ministra obrony narodowej Mariusza Błaszczaka i w serialu „Reset" dokumenty wskazują, że Polski jako takiej w ogóle mogło nie być. Około 40 proc. terytorium miało być, w razie wojny, w planach ekipy Tuska, oddanych Rosji, a reszta podporządkowana całkowicie Niemcom.

Berlin najwyraźniej nie pogodził się z naszą niepodległością. Na zachodzie na razie bez zmian. ■

NIEMCY W TEJ KAMPANII WYBORCZEJ UŻYLI KIJOWA JAKO TANIEGO INSTRUMENTU DO WZMOCNIENIA ICH KANDYDATA, CZYLI DONALDA TUSKA, DO PRZEJĘCIA WŁADZY W WARSZAWIE. TUSK GWARANTUJE BERLINOWI POWRÓT DO POLITYKI, W KTÓREJ KLUCZOWE POLSKIE DECYZJE BĘDĄ ZATWIERDZANE ZA ODRĄ.

eprasa.pl 506c78f0aa

plus

polsat box

Telewizja Polsat Box z Disney+ + Światłowód Plusa



Telewizja Pakiet S – 55 kanałów z Disney+. Światłowód S – do 300 Mb/s.
Od 13. mies. 98,99 zł/mies. z rabatami, od 25. mies. 127,99 zł/mies. z rabatem.

Telewizja

Światłowód

Disney+
Oglądaj teraz

Pobierz ulotkę

Oferta dotyczy wybranych wariantów ofert dla nowych Klientów, którzy łącznie kupią ofertę internetu stacjonarnego Plusa i telewizji Polsat Box z pakietem podstawowym S i pakietem dodatkowym Disney+ z umowami na okres podstawowy 24 mies. **Internet stacjonarny S** do 300 Mb/s z abonamentem przez pierwszych 12 mies. za 19 zł/mies. z rabatami za e-fakturę 10 zł, smartDOM 9 zł specjalny 21 zł. Od 13. do 24. mies. za 40 zł/mies., z rabatami za e-fakturę 10 zł i smartDOM 9 zł. Od 25. mies. za 59 zł/mies. z rabatem za e-fakturę 10 zł. Szczegóły w Regulaminie Promocji z grupy ofert „Plus Internet Stacjonarny – oferta łączona" na plus.pl. **Telewizja satelitarna/kablowa IPTV** z pakietem S i pakietem dodatkowym Disney+ przez pierwszych 12 miesięcy bez opłat (dotyczy tylko pakietu S z pakietem dodatkowym Disney+ i nie obejmuje innych pakietów dodatkowych, opłaty jednorazowej za aktywację dekodera ani opłat za internet), od 13. do 24. mies.od 58,99 zł/mies. Od 25. mies. od 68,99 zł/mies. Technologia kablowa IPTV działa z internetem stacjonarnym Plusa (min. prędkość 8 Mb/s dla kanałów HD i 25 Mb/s dla kanałów 4K na dekoder). Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie na polsatbox.pl. **Warunkiem skorzystania z rabatu** jest zachowanie warunków programu smartDOM i zgoda na przekazywanie danych pomiędzy Cyfrowym Polsatem S.A. a Polkomtelem Sp. z o.o. Szczegóły w Regulaminie „smartDOM 5 – Telewizja, Internet, Telefon" na polsatbox.pl i plus.pl. Oferta ważna na dzień 18.09.2023 r.

© 2023 Disney i podmioty powiązane

eprasa.pl 506c78f0aa